cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #223 05/2025

Piotr Lisiewicz
PRYWATNA WOJNA Z KOMUNIZMEM RAFAŁA GAN-GANOWICZA

Antoni Rybczyński
TRUMPA GRA W SZACHY Z PERSAMI

Rozmowa Wołodźki:
GOTÓWKA – NARZĘDZIE LUDZI WOLNYCH

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO



SKOŃCZYŁY SIĘ ŻARTY!
IDŹ NA WYBORY!
ZAGŁOSUJ ZA POLSKĄ!

Nie daj im POGRZEBAĆ POLSKI

ISSN 1895-4960 05

OKŁADKA: MARIUSZ TROLIŃSKI

TEMAT NUMERU ▼ 4–14



Obalić system III RP. Stawka wyborów prezydenckich / 4

IDEE ▼ 16–30



Wincenty Kadłubek definiuje naród polski / 16

HISTORIA ▼ 38–61



Prywatna wojna z komunizmem Rafała Gan-Ganowicza / 38

KULTURA ▼ 66–74



Z wiktoriańskiego brukowca / 66

ŚWIAT ▼ 76–98



Hongkong umiera / 76

Spis treści

TEMAT NUMERU

Wojciech Mucha
Obalić system III RP. Stawka wyborów prezydenckich 4

Z prof. Grzegorzem Kucharczykiem rozmawia Grzegorz Wszołek
Wybory o fundamentalnym znaczeniu dla ustroju państwa 8

Dawid Wildstein
To nie będzie dyktatura 12

IDEE

Tomasz Gromadka
Wincenty Kadłubek definiuje naród polski 16

Ewa Polak-Pałkiewicz
Dom polski, dwór ziemiański 22

Małgorzata Matuszak
Jakiej chcemy starości? Między samotnością a piękną starością 28

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Prywatna wojna z komunizmem Rafała Gan-Ganowicza 38

Dariusz Jarosiński
Pamięć wileńskich rojstów 44

Agnieszka Kowalczyk
Piotr Wysocki. Od nocy listopadowej po kaźnie Sybiru 50

Jakub Maciejewski
Jakobin, konserwatysta, zdrajca – koncepcja J.K. Szaniawskiego 56

Marian Zdziechowski
Bolszewizm i wszechświatowa propaganda 60

KULTURA

Łukasz Czarnecki
Z wiktoriańskiego brukowca 66

Krzysztof Karnkowski
Nie budzić Śnieżki 72

ŚWIAT

Hanna Shen
Hongkong umiera 76

Antoni Rybczyński
Trumpa gra w szachy z Persami 80

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 86

oprac. Antoni Rybczyński
Między Ameryką a Chinami. Arktyczna strategia Rosji 88

Stefan Czerniecki
Miasteczko wiedźm 92

Stałe rubryki



Katarzyna Gójska
To wybory o trwaniu demokracji
NA POCZĄTEK 3



Marcin Wolski
Gra o wszystko
PAPKULTURA 15



Małgorzata Matuszak
Czym jest... cud
KATECHIZM INTELIGENTA 31



Rozmowa Krzysztofa Wołodźki
Gotówka – narzędzie ludzi wolnych
PRZYSPOSOBIENIE OBRONNE 32



Krzysztof Wołodźko
Elity III RP. Patopaństwo zamiast szklanych domów
DZIENNIK LEKTUR 62



Marek Kalinowski
Deszcze niespokojne
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 75



Tomasz Sakiewicz
Nowa generacja solidarnych
OSTATNIE SŁOWO 99

OD GRUDNIA 2024
„NOWE PAŃSTWO”
DOSTĘPNE WYŁĄCZNIE W PRENUMERACIE!
Zamów na prenumerata.swsmedia.pl i zyskaj dostęp do treści, które mają znaczenie!

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko
SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Troińska
DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz
PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński
DTP
Aleksander Razcwarkow
KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl 639267e58f



Katarzyna Gójska

To wybory o trwaniu demokracji

18 maja i 1 czerwca w lokalach wyborczych odbędzie się przede wszystkim wybór przyszłości Rzeczypospolitej. Coś znacznie istotniejszego niż demokratyczny werdykt – to będzie bowiem werdykt dotyczący demokracji.

Nigdy wcześniej w III RP nie mieliśmy do czynienia z tak bezczelnym i aroganckim łamaniem prawa. To prawda, iż nasza rzeczywistość po PRL była daleka od standardu, który można by z czystym sumieniem uznać za w pełni akceptowalny, ale dokonania obecnego rządu Tuska to czas mroku w naszej najnowszej historii. Dlatego właśnie wybory prezydenckie są takie wyjątkowe – bo stanowią ostatnią demokratyczną szansę na powstrzymanie dalszej dekonstrukcji demokracji w Polsce. Formalnie będziemy wybierać głowę państwa, ale faktycznie obywatele dokonają oceny działań tzw. koalicji 13 grudnia oraz zdecydują, czy chcą zablokować polityczny zamordyzm w Polsce. A wybór jest bardzo czytelny. Trzaskowski, czyli człowiek Donalda Tuska, w Pałacu Prezydenckim oznacza legalizację łamania prawa i gwarantuje, iż proceder niszczenia wolności będzie mógł liczyć na ustawową legitymację, porażka tego układu da szansę na powstrzymanie bezprawia. I o to są te wybory. Czy bezwzględna władza, zmierzająca do autorytaryzmu, posługująca się pogardą i prostactwem, zyska komfort udawanej legalności, czy też nie. Przegrana Trzaskowskiego z automatu nie zmieni sytuacji w Polsce. Bo opozycja musi mieć plan działania, zewrzeć szeregi i wyjść z konstruktywną alternatywą, a nie skupiać się na biadoleniu. Mimo wszystko Tusk i jego zaplecze nie zyskają poczucia pełnej kontroli nad instytucjami państwa, a aparat urzędniczy otrzyma jasny i czytelny sygnał, iż zapewnienia o bezkarności za niszczenie praworządności w naszym kraju są wyjątkowo złudne.

18 maja i 1 czerwca w lokalach wyborczych odbędzie się zatem przede wszystkim wybór przyszłości Rzeczypospolitej. Coś znacznie istotniejszego niż demokratyczny werdykt – to będzie bowiem werdykt dotyczący demokracji. W trwającej kampanii wyborczej kandydat Platformy Obywatelskiej zmienia poglądy jak szalony kameleon – kordon propagandowy wręcz nie nadąża za jego kolejnymi wcieleniami, a sam Trzaskowski zdaje się nie pamiętać własnych deklaracji sprzed dwóch czy trzech tygodni. Jest jednak temat, w którym działa z żelazną konsekwencją: wykluczanie za poglądy, ograniczanie wolności słowa. Tak samo było przed pięciu laty. Wówczas zapowiadał likwidację TVP Info, publicystyki w mediach publicznych oraz wyeliminowanie krytycznych dziennikarzy z debaty publicznej (jego słynne powiedzenie: „Te wybory są o tym, by nie było takich pytań"). Dziś powtarza to samo, tylko bardziej brutalnie, bo ma asystę instytucji państwa, w tym służb. I to są realne zapowiedzi jego prezydentury, cała reszta nie ma znaczenia, ale rzeczywiście zamordyzm, który proponuje, należy traktować serio. Skoro może segregować dziennikarzy, pozbawiać ich prawa do wykonywania zawodu (do tego de facto sprowadzają się jego wypowiedzi i zachowania) jeszcze jako kandydat, to należy zadać pytanie, co będzie robił jako prezydent? ■

Trzaskowski, czyli człowiek Donalda Tuska, w Pałacu Prezydenckim oznacza legalizację łamania prawa i gwarantuje, iż proceder niszczenia wolności będzie mógł liczyć na ustawową legitymację, porażka tego układu da szansę na powstrzymanie bezprawia.

eprasa.pl 639267e58f

Obalić system III RP. Stawka wyborów prezydenckich

Wojciech Mucha



W niemal każdych wyborach po 1989 roku zwykliśmy słyszeć, że są one „najważniejszymi wyborami po '89". Nigdy jednak ten wyświechtany już przecież slogan nie zawierał w sobie tyle prawdy co dziś. Jest to być może ostatni moment na powstrzymanie nieodwracalnych zmian.



ILUSTRACJA: MARIUSZ TROLIŃSKI

eprasa.pl

Wyjściowe pytanie, przed jakim zostałem postawiony przed pisaniem niniejszego tekstu, brzmi: czy obecne wybory przesądzą o trwaniu demokracji w Polsce? Odpowiedź może być tylko jedna. Nie, ponieważ w Polsce demokracja nie funkcjonuje. To, co widzimy i w czym bierzemy udział, to jedynie jej pozory lub tzw. resztówki, niezniszczone jeszcze przez zrekonstruowany i uruchomiony w ekspresowym tempie po 13 grudnia 2023 roku mechanizm pod nazwą „system III RP".

Ten obrazowy wstęp jest konieczny, jednak dla uważnego obserwatora nie jest on przecież zaskoczeniem. W ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy mamy do czynienia z restytucją najgorszych z możliwych, skumulowanych mechanizmów psucia państwa. Przy tym jest to działanie celowe, nakierowane z jednej strony na bezprawne zagarnięcie jak największych obszarów władzy, z drugiej – na osłabienie państwa. I nie ma w tym paradoksu.

III RP powróciła

Większość sejmowa, tzw. koalicja 13 grudnia, nie ma bowiem legitymacji do dokonywania wielu zmian, które podejmuje. Czyni je więc bezprawnie – (zamiast de iure – de facto, niczym, cóż, Rosjanie anektujący Krym). To m.in. nielegalne przejęcie mediów publicznych i Polskiej Agencji Prasowej, nielegalne przejęcie Prokuratury Krajowej, atak na Krajową Radę Sądownictwa, zakusy na Trybunał Konstytucyjny i ignorowanie orzeczeń tego ostatniego (którego prezes, Bogdan Święczkowski, złożył zresztą zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa dotyczącego zamachu stanu przez m.in. Donalda Tuska). Wreszcie to ściganie i wtrącanie do więzień przeciwników politycznych po pokazowych, często widowiskowych jak w przypadku posła Dariusza Mateckiego, zatrzymaniach. Dodajmy do tego próbę zagłodzenia największej partii opozycyjnej poprzez odebranie jej finansowania, mnożenie zarzutów prokuratorskich wobec ludzi prawicy, zastraszanie, zwalnianie z pracy i „czyszczenie z pisowców" – wszystko to „urobek" ostatnich kilkunastu miesięcy.

Jednocześnie dokonuje się działań o charakterze destrukcyjnym, ukrytym często pod pozorem rzekomego „naprawiania szkód". To nie tylko serwilizm w polityce zagranicznej, kompletna nieudolność w polityce fiskalnej, dożynanie gigantów z Orlenem na czele czy ostentacyjnie grzebanie wielkich projektów rozwojowych jak symboliczny już Centralny Port Komunikacyjny. W chwili gdy piszę te słowa, pojawia się informacja, że prawdopodobnie nie dojdzie do skutku zamówienie na osławione „500 wyrzutni Himars", których zakup przez Polskę deklarował poprzedni rząd. O małych rektorach atomowych i wielkich elektrowniach, o komputerach kwantowych, rozwoju sztucznej inteligencji, szansie na polską fabrykę samochodów elektrycznych – szkoda nawet o tym mówić, bo i tak nikt już o tym nie pamięta. W zamian pojawiają się miraże, jak tzw. Tarcza Wschód, czy inne, niesprecyzowane, żyjące po kilka tygodni pomysły – wrzutki: repolonizacja, deregulacja i inne. Obraz jaki się z tego pozornego chaosu wyłania, to Polska z jednej strony przekształcana w żerowisko, a jednocześnie powoli, lecz systematycznie wygaszana.

Tak, Szanowni Państwo, dość prędko przechodzimy nad kolejnymi „incydentami" do porządku dziennego, jedno wydarzenie jest przykrywane drugim, a ważne sprawy i wielkie afery nie żyją w mediach dłużej niż kilka dni. Tymczasem skutki są druzgocące – w ostatnich miesiącach doszło do rekonstrukcji III RP i przepoczwarzenie jej w coś w rodzaju dystopijnej, groźnej karykatury. Wszystkie patologie obecne w Polsce po 1989 roku nabierają jaskrawszych barw i są pogłębiane – od kryzysu w służbie zdrowia, przez pogłębiające się nierówności społeczne, do walki z opozycją metodami, jakich nie powstydziłaby się postubecka banda, zwalczająca w latach 90. środowisko Porozumienia Centrum. Wszystko przy użyciu narzędzi, o jakich esbecja mogłaby pomarzyć – od aparatu państwa, przez media, aż po „zielone światło" od patronów zza granicy. To dlatego wszystko wygląda tak, jakby wykonawcy tego wygaszania działali sukcesywnie i zgodnie z powziętym „gdzieś" planem. Planem „domknięcia systemu".

Dorżnąć watahę

Ale integralną częścią tego planu jest trwałe pozbycie się opozycji politycznej w postaci obozu niepodległościowego. Nie ma w tym przesady, wszak to nie kto inny jak Donald Tusk tuż po wyborach wyrażając się o opozycji, powiedział „ich już nie ma". Słowa Tuska z tamtego czasu dość prędko nabrały realnego wymiaru, jednak zrealizują się w pełni jedynie wówczas, gdy uzyska on pełnię władzy – gdy prezydentem zostanie reprezentant jego obozu politycznego, Rafał Trzaskowski.

Ich zadanie jest bardzo konkretne: zniszczenie polskiej prawicy to warunek spokoju lewicowo-liberalnych elit Unii Europejskiej, które doskonale zdają sobie sprawę, że tzw. obóz niepodległościowy z zapleczem strukturalnym, ale przede wszystkim bazą wyborczą, szacowaną na grubo ponad 10 mln świadomych obywateli, jest stałym zagrożeniem dla projektów „reformujących" Unię Europejską, zagrażającym wszystkim państwom narodowym. Wiedzą, że dopóki serce europejskiej prawicy bije w Polsce, nie mogą czuć się swobodnie z realizacją tych projektów.

To dlatego obecnym władzom w Warszawie zezwala się na stosowanie niedemokratycznych metod, a unijne instytucje, tak ochoczo tropiące przecież każdy przejaw rzekomego braku praworządności w latach 2015–2023,

eprasa.pl 639267e58f

dziś pozostają ślepe na jaskrawe przykłady łamania prawa. Zresztą – nie tylko one. O łamaniu wolności słowa milczą organizacje dziennikarskie w typie „Reporterów bez Granic", a jeśli ktokolwiek przejmuje się sytuacją w Polsce, to są to badacze z dalekich USA, jak autorzy raportu Hudson Institute, wprost wskazujący na to, że rząd Tuska „przekroczył czerwoną linię", czy niszowe, elitarne think tanki, jak włoskie Centrum Studiów Politycznych i Strategicznych Machiavelli, które od lat bada kwestie suwerenności i wolności obywatelskich.

Autorzy tego ostatniego piszą wprost: „Włochy muszą patrzeć na Warszawę z niepokojem, i to nie tylko z powodu autentycznej i uzasadnionej troski o wolność narodu polskiego i jego politycznych przedstawicieli, ale również z powodu możliwego negatywnego przykładu. Tak, w kuźni, jaką stała się Polska, wykuwają się właśnie młoty na prawicę w całej Europie".

▶ Wielkie zwycięstwo zatrzyma fałszerstwo (i III RP)

Zresztą – sam Tusk, o którym z dużym prawdopodobieństwem powiedzieć można, że porusza się w wyznaczanej przez narcyzm, psychopatię i makiawelizm „ciemnej triadzie", niemal wprost mówi, że nie chodzi mu o nic innego jak pognębienie przeciwników politycznych, i daje temu wyraz. To przecież dlatego kandydat obywatelski Karol Nawrocki poddawany jest przeróżnego rodzaju szykanom i dezinformacji, a w ostatnich tygodniach także próbie systemowego zniszczenia za pomocą organów państwa. Przecież to nie przypadek, że Najwyższa Izba Kontroli, właśnie przeprowadzają potężny audyt w zarządzanym przez Karola Nawrockiego IPN, a jej kierownictwo nawet nie ukrywa, że szuka haków, które mają posłużyć w kampanii wyborczej do oczernienia mającego szanse na zwycięstwo kandydata. To dlatego zależne od władzy media III RP dwoją się i troją, by oczernić Nawrockiego, przyszywając mu nie tylko rzekome związki ze światem przestępczym, lecz także gębę człowieka prymitywnego, nieuka czy osoby niewychowanej, niegodnej urzędu. To stąd opłacane przez spółki skarbu państwa i deweloperów wielkie kampanie dezinformacyjne.

Tak, w tym kontekście głosując przeciwko Trzaskowskiemu, nie próbujemy „obronić demokracji". To rozpaczliwa próba zatrzymania dalszej mutacji III RP. Tej III RP, która po blisko 35 latach od transformacji ustrojowej wróciła i jawi się jako głęboko patologiczny, pasożytniczy i zmutowany system o nieposkromionym apetycie. System, który niepowstrzymany przepoczwarzy się po raz kolejny – być może i w coś na kształt mechanizmu władzy kraju federalnego Unii Europejskiej, gdzie za cenę suwerenności i niepodległości grono „administratorów" sprawować będzie nadzór nad resztą Polaków ich kosztem. Administratorzy są oczywiście gotowi na to poświęcenie.

Zwycięstwo Rafała Trzaskowskiego otworzy obecnej władzy „szybką ścieżkę" do dalszego osłabiania pozycji Polski, wprowadzania niechcianych przez Polaków reform, pogłębiania nierówności i spychania milionów obywateli na margines życia publicznego, ale przede wszystkim pozbawienia ich reprezentacji politycznej, co siłą rzeczy będzie musiało doprowadzić do potężnych napięć wewnętrznych. Co stanie się z takim państwem? Cóż, taki scenariusz każdy może sobie wyobrazić – od kolejnego, liczonego w latach okresu „tuskowej smuty" w najlepszym razie, przez lata dalszego gnicia państwa, grzebania demokracji i szans, po którym to okresie potrzebne będą dekady odbudowy, aż po kres suwerenności, by nie wspomnieć o rozwiązaniach bardziej tragicznych, gdy państwo stanie się niewydolne lub utraci suwerenność w inny sposób. Scenariusze to dość smutne, szczególnie w roku tysiąclecia koronacji pierwszego z władców Polski, Bolesława Chrobrego.

Jakie jest na owe scenariusze antidotum? Tylko jedno. Wielkie, niepodważalne zwycięstwo kandydata, który zatrzyma owo przepoczwarzanie się III RP i grożące nam w najlepszym razie ubezwłasnowolnienie i marginalizację Polski. Zwycięstwo, którego nie będzie można ani podważyć, ani sfałszować. Jakkolwiek to zabrzmi – zwycięstwo na miarę tysiąclecia. A potem się zobaczy. ■

ZNISZCZENIE POLSKIEJ PRAWICY TO WARUNEK SPOKOJU LEWICOWO-LIBERALNYCH ELIT UNII EUROPEJSKIEJ, KTÓRE DOSKONALE ZDAJĄ SOBIE SPRAWĘ, ŻE TZW. OBÓZ NIEPODLEGŁOŚCIOWY Z ZAPLECZEM STRUKTURALNYM, ALE PRZEDE WSZYSTKIM BAZĄ WYBORCZĄ, SZACOWANĄ NA GRUBO PONAD 10 MLN ŚWIADOMYCH OBYWATELI, JEST STAŁYM ZAGROŻENIEM DLA PROJEKTÓW „REFORMUJĄCYCH" UE, ZAGRAŻAJĄCYM WSZYSTKIM PAŃSTWOM NARODOWYM.

eprasa.pl 639267e58f



Tłumne pójście na wybory prezydenckie 18 maja jest fundamentalnie ważne. Tylko od nas zależy, czy system polityczny się domknie. Przed nami rodzi się taka oto perspektywa: czy demokracja parlamentarna w Polsce – taka, jaką znaliśmy do tej pory – w ogóle przetrwa – ostrzega w prof. Grzegorz Kucharczyk, historyk, znawca polityki niemieckiej, pracownik Instytutu Historii PAN oraz Akademii im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie Wielkopolskim. Rozmawia Grzegorz Wszołek.

Grzegorz Wszołek

Wybory o fundamentalnym znaczeniu dla ustroju państwa

eprasa.pl 6392f67e58f

▶ Panie Profesorze, przed każdymi wyborami słyszymy od polityków niezależnie jakiej opcji, że „teraz to będą najważniejsze wybory w historii". Czy jednak tym razem nie jest to prawda? O czym tak naprawdę zdecyduje nasze głosowanie 18 maja, a później – wszystko na to wskazuje – 1 czerwca w drugiej turze?

Koronnym argumentem, który jest w zasadzie ciągle dostarczany na rzecz takiej oto tezy, że te wybory będą wyjątkowe, to strategia obecnych rządów Donalda Tuska i jego koalicji 13 grudnia. Działania podejmowane po przejęciu władzy przez premiera charakteryzują się zupełnie niespotykanym stopniem zapiekłości, jak sami twierdzą, w ramach demokracji walczącej, czyli polityki łamiącej wiele zasad demokratycznego państwa prawa. Wcześniej tego nie było w Polsce w aż takim natężeniu, nie podejmowano takich działań tak ostentacyjnie, więc już mamy argument zasadniczy, który każe patrzeć na wybory prezydenckie jako elekcję wyjątkową. Bo jeżeli mają służyć domknięciu systemu, a ten system, który od 13 grudnia 2023 roku rysuje się przed nami, rodzi poważne wątpliwości w tym sensie, czy demokracja parlamentarna w Polsce – taka, jaką znaliśmy do tej pory – w ogóle przetrwa, to nie powinniśmy mieć wątpliwości. Głosowanie 18 maja jest fundamentalnie ważne.

▶ Historyk profesor Andrzej Nowak często podkreśla, że stawką wyborów prezydenckich jest nawet nasza suwerenność i niepodległość. Zgadza się Pan z tak postawioną diagnozą?

Polska pozbawiona wszelkich atrybutów charakterystycznych dla nowoczesnego państwa prawa i demokracji parlamentarnej będzie łakomym kąskiem dla graczy, którzy chcą umacniać nad Wisłą swoje strefy wpływów lub je na nowo budować. W najnowszej odsłonie zagrożeń dla Polski nie muszą to być rozbiory w wydaniu XVIII-wiecznym, ale trwałe podporządkowanie Warszawy cudzym planom i interesom oraz nałożenie szklanego sufitu bariery rozwojowej na ambitne projekty, które powodowałyby wzrost potencjału rozwojowego w naszym kraju na kolejne dziesiątki lat. Nie ma żadnych wątpliwości, iż to jest rzeczywiste zagrożenie. Taka będzie stawka wyborów prezydenckich: rozwój i ambicja albo uległość i brak perspektyw, suwerenność na serio czy suwerenność udawana. Tym bardziej, gdy pamiętamy choćby wypowiedzi Rafała Trzaskowskiego, sondażowego lidera w peletonie prezydenckich kandydatów, który deklarował, że obce są mu projekty prorozwojowe. Wszak po co nam hub lotniczo-kolejowy CPK, skoro mamy lotnisko w Berlinie? Prezydent stolicy prezentuje od wielu lat tego typu logikę, która nie skłania do połączenia ambicji gospodarczych z trwałą i rzeczywistą suwerennością. Te aspekty nie idą u niego w parze. A zatem zgadzam się z tezą prof. Andrzeja Nowaka: stawką batalii o Pałac Prezydencki jest nie tylko przyszłość polityki wewnętrznej, krajowej, lecz także nasza pozycja na arenie międzynarodowej. Czy pójdziemy w stronę rzeczywistej budowy perspektyw rozwojowych Polski i wzmocnienia naszej suwerenności, czy zaakceptujemy kierunek na „jeszcze ściślejsze" jednoczenie Europy, czyli de facto oddanie się pod protektorat państwa, które rości sobie prawo do bycia głównym motorem napędowym Starego Kontynentu, czyli Niemiec.

▶ Załóżmy, że wybory wygra Karol Nawrocki, wcześniej uzyska przyzwoity wynik w pierwszej turze, ponad 30 proc. Czy według Pana grozi nam realnie opcja unieważnienia wyborów?

Wszystkie opcje, również te niespotykane w historii politycznej III RP, są na stole, więc trudno wykluczyć i ten scenariusz. Logika działania obecnej koalicji opiera się na zasadzie, którą streścił niegdyś sam premier Donald Tusk: prawo obowiązuje tak, jak my je rozumiemy. Wtedy żadne zasady i bezpieczniki nie działają na władzę wykonawczą. Tym bardziej że obecny rząd nie uznaje orzecznictwa Trybunału Konstytucyjnego i wybiórczo traktuje orzeczenia i wyroki Sądu Najwyższego.

▶ Unia Europejska wtedy by nie zareagowała? Berlin siedziałby, mówiąc kolokwialnie, cicho, według Pana Profesora, gdyby doszło do unieważnienia wyborów?

Tu nie trzeba w ogóle gdybać, bo przecież już wiemy z doświadczenia, że Unia Europejska nie zrobiła nic, gdy doszło do nielegalnego przejęcia mediów publicznych z użyciem przemocy i łysych „karków". Nie reagowała, kiedy minister sprawiedliwości Adam Bodnar przejmował siłą Prokuraturę Krajową – również przy użyciu aparatu państwa – niezgodnie z ustawą, bez zgody prezydenta wymieniając prokuratora krajowego. Nie protestowała, gdy obecny rząd wypowiedział posłuszeństwo orzecznictwu konstytucyjnemu w Polsce. Wreszcie, Bruksela nie miała nic przeciwko, gdy do więzień byli wsadzani posłowie prawomocnie ułaskawieni przez głowę państwa z potwierdzonymi immunitetami przez Sąd Najwyższy. Żadna instancja unijna nic w tych kwestiach – rażącego łamania praworządności i praw człowieka – nie zabiera głosu, więc na pewno nie zmieni się to również w przypadku ewentualnego unieważnienia wyborów prezydenckich w Polsce.

Zauważmy, że establishmentowi unijnemu realizującemu zadania zlecone w Berlinie na rękę jest utrwala-

fot. Szymon Pulcyn/PAP

eprasa.pl 639267e58f

nie się anarchii prawnej wprowadzonej przez „demokracje walczącą". Bo gdyby w wyborach parlamentarnych wyłonił się rząd w Polsce, który chciałby na przykład wypowiedzieć Zielony Ład, mocno ograniczający naszą suwerenność energetyczną i bezpieczeństwo ekonomiczne Polaków, wtedy UE może powiedzieć: ale my nie uznajemy tego rządu, ponieważ ważność wyborów parlamentarnych stwierdziła izba SN, która jest obsadzona przez neosędziów.

▶ Przez chwilę jeszcze pozostańmy przy czarnym scenariuszu. Władza decyduje się na opcję atomową, obowiązki prezydenta po upływie kadencji Andrzeja Dudy przejmuje jako pełniący obowiązki głowy państwa marszałek Sejmu, Szymon Hołownia. Według Pana zrodziłoby to istotny bunt społeczny? Czy my jako naród wyzbyliśmy się masowego sprzeciwu wobec władz?

Nie obserwowaliśmy czegoś podobnego w wolnej Polsce, więc trudno jednoznacznie powiedzieć. Nawet rządy postkomunistyczne, czyli SLD, nie posuwały się do groźby unieważnienia wyborów prezydenckich. Z tego powodu trudno orzec, jaka byłaby amplituda społecznych protestów. Ale nie mam wątpliwości, że Polacy są w stanie się zmobilizować. Przykłady to nie tylko ostatni, piękny i liczny marsz z okazji tysiąclecia Królestwa Polskiego, lecz przecież także ostatni Marsz Niepodległości 11 listopada pokazał siłę społecznych poglądów na ulicach. Rafał Trzaskowski robił naprawdę wiele, żeby to ostatnie wydarzenie nie doszło do skutku, a jednak w ubiegłym roku przybyły do Warszawy na ten marsz setki tysięcy Polaków w różnym wieku, z różnych warstw społecznych, z różnych części kraju. Reasumując: jeśli władza zdecyduje się na opcję unieważnienia wyborów, to będzie to igranie z narodem i emocjami tysięcy obywateli.

▶ W dzisiejszych czasach, w dobie social mediów, choć biorę pod uwagę taki wariant, to trudno mi sobie wyobrazić jego sprawne przeprowadzenie, jak i to, że rząd Donalda Tuska wychodzi z kompromitacji bez szwanku.

A czy wyobrażał Pan sobie wejście do telewizji publicznej z udziałem „silnych ludzi"? Czy wyobrażał Pan sobie odbieranie koncesji opozycyjnym mediom jak Republika? Czy wyobrażał Pan sobie aresztowanie posłów, obywateli prawomocnie ułaskawionych przez prezydenta, i to jeszcze po wtargnięciu przez policję do Pałacu Prezydenckiego? Czy wyobrażał Pan sobie traktowanie wyroków sądów – w tym Sądu Najwyższego – oraz orzecznictwa konstytucyjnego „po uważaniu"? To jeszcze do tej pory wydawało się niewyobrażalne, a jednak miało miejsce w ostatnich miesiącach i ciągle trwa. Trwa testowanie granicy oporu społecznego, a to, że tę władzę stać absolutnie na wszystko, udowodnił sposób reagowania na protesty rolników.

▶ W Rumunii, po pierwotnym zatwierdzeniu wyników przez Sąd Konstytucyjny, ta sama instytucja anulowała rezultaty, następnie zablokowano kandydaturę zwycięzcy Calina Georgescu i rozpisano nowe wybory prezydenckie. We Francji poza nawias polityki wyrzucono na wiele lat Marine Le Pen, nie dając jej możliwości startu do parlamentu w 2027 roku. Akurat wtedy, gdy Zjednoczenie Narodowe rośnie w sondażach. W krajach UE sprawdza się, do czego można się posunąć?

Zauważmy, że takie zachowanie unijnego establishmentu to nie pierwszyzna. Przecież w swoim czasie UE doprowadziła do obalenia we Włoszech demokratycznie wybranego rządu Silvio Berlusconiego i zastąpienia go jakimś eurokratą powolnym w realizacji poleceń dwóch stolic na B (Brukseli i Berlina). A więc szlak jest przetarty. Symptomatyczna była reakcja tego establishmentu (furia przemieszana z lekceważeniem) na trafną diagnozę amerykańskiego wiceprezydenta J.D. Vance'a, wygłoszoną na konferencji w Monachium o kryzysie rzeczywistej demokracji w UE.

▶ Jeśli wygra kandydat układu rządzącego – Rafał Trzaskowski – system się domknie, jak mówił Grzegorz Schetyna? Co się wtedy stanie w polskiej polityce?

Z pewnością nasilą się represyjne działania władzy wobec opozycji i szerzej prawicy, ale też przestrzegam wszystkich Czytelników przed zwieszeniem głów i czarnowidztwem, jeśli ten czarny scenariusz się spełni. Jak wiemy z naszej historii w XX wieku, były o wiele trudniejsze sytuacje i naród polski dawał sobie radę. Oczywiście z Trzaskowskim w roli prezydenta dojdzie do radykalnego zmarginalizowania ugrupowań konserwatywnych, ale przecież tych wyborców, którzy głosowali wcześniej na partie prawicowe czy popierali kandydatów prawej strony w wyborach prezydenckich, nie da się usunąć. W efekcie opór społeczny – w moim przekonaniu – będzie narastać, tym bardziej że obecna koalicja nie jest monolitem i widać gołym okiem pęknięcia na tym pancerzu.

▶ Wybór Trzaskowskiego oznacza też przyspieszenie odebrania koncesji Republice. Wtedy, dzięki prezydentowi, zmieni się układ w Krajowej

eprasa.pl 639267e58f

Radzie Radiofonii i Telewizji, a ta instytucja wycofa skargę na postanowienie Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego. Decyzja się uprawomocni, Republika i wPolsce24 znikną z multipleksu.

Z pewnością można się tego spodziewać, jeśli Koalicja Obywatelska odzyska po dekadzie kontrolę nad Pałacem Prezydenckim. Jeżeli mowa o rynku medialnym, to Trzaskowski w pewnym sensie zalegalizuje bezprawie, jakim było przejęcie mediów publicznych. Niepewny będzie los Instytutu Pamięci Narodowej – pojawią się za kulisami pomysły likwidacji i połączenia z innymi instytucjami. Partia rządząca zyska pełną kontrolę nad sądownictwem, a także nad Radą Polityki Pieniężnej, wszystkimi instytucjami, na które wpływ ma prezydent. A wbrew temu, co się powszechnie mówi, głowa państwa ma spore prerogatywy w tym kontekście. W ten właśnie sposób system polityczny w Polsce zacznie się domykać. Możliwe będzie również uchwalenie obciążeń podatkowych o charakterze wywłaszczeniowym (podatek katastralny). Pamiętajmy jednak, że zawsze może wydarzyć się coś nadzwyczajnego, co wszystkie kalkulacje wywraca do góry nogami. Przed debatą w Końskich nikomu się nie śniło, że można w Warszawie bardzo wygodnie podróżować „telekomunikacją miejską" (śmiech).

▶ Rafał Trzaskowski był stawiany w roli wielkiego faworyta debaty w trzech stacjach telewizyjnych, był na swoich warunkach i własnym boisku, a wyszedł z niej mocno poobijany.

Dokładnie, i nagle zmieniła się na naszych oczach dynamika kampanii wyborczej. To było całe pasmo niekorzystnych wydarzeń – fatalny występ kandydata KO w debacie, brak udziału w dyskusjach w Republice, cała otoczka związana z przedziwną, mówiąc eufemistycznie, organizacją ponadtrzygodzinnego programu w TVP.

Potem bardzo dobrze zaprezentował się Karol Nawrocki w rozmowie z Krzysztofem Stanowskim. Z punktu widzenia czarnego PR-u, który był i jest szykowany z pewnością przeciwko prezesowi IPN, śmierć papieża Franciszka też była nie „na rękę" sztabowcom, bo w ruch miały pójść nowe kwitki na kandydata, na przykład od NIK, a tutaj zbliża się dzień pogrzebu papieża, który będzie jednocześnie dniem żałoby narodowej. No i z pewnością w PO doskonale pamiętają, że ostatnio gdy rok wyborczy w Polsce zbiegł się z rokiem śmierci papieża (2005), niezbyt dobrze wybory te skończyły się dla tej „uśmiechniętej" partii.

▶ Czy groziłoby nam z Trzaskowskim w Pałacu Prezydenckim wcielenie w życie planu, któremu kibicuje Olaf Scholz – federalizacji Europy?

Z pewnością jest to bardzo realne zagrożenie dla Polski. To można dzisiaj stwierdzić, natomiast nie wiemy, jak owa federalizacja miałaby w praktyce wyglądać w przyszłości. Może wystąpić wiele czynników, o których dziś nie wiemy (na przykład kompleks zagadnień związanych z relacjami UE z USA i Chinami).

▶ Z pewnością polskie wybory będą analizować Niemcy, którzy po 18 maja powinni mieć nowy rząd z kanclerzem Friedrichem Merzem. Donald Tusk stawia na niego w relacjach z Berlinem, choć niedawne pożegnalne spotkanie premiera w Warszawie z Olafem Scholzem należało do przyjacielskich. Faktycznie Merz jako kanclerz będzie działał inaczej niż Scholz, a wcześniej Merkel?

Merz nie różni się niczym od Scholza i Merkel w kontekście relacji z Polską. Od razu uprzedzam, że wbrew nadziejom polityków Koalicji Obywatelskiej, nie nastąpi żaden przełom na linii Berlin–Warszawa. Elity polityczne w Niemczech wykazują jedność moralno-polityczną we wszystkich najważniejszych kwestiach. A zwłaszcza gdy chodzi o relacje z Polską. Jakakolwiek zmiana będzie polegała na jeszcze trwalszym utwardzeniu stanowiska Niemiec, i tyle.

Naszym zachodnim sąsiadom zależy na tym, żeby w Polsce panowała pewna stabilizacja, nazwijmy ją polityczną i społeczną, a więc też jakaś granica dobrobytu, ale nic więcej, gdyż strategicznym celem polityki niemieckiej jest dogadywanie się z Rosją – nawiązanie do tradycji Ostpolityk, która na pewno doczeka się kontynuacji po latach zamrożenia z powodu agresji Kremla na Ukrainę. Nie będzie to powrót jeden do jednego z czasów Angeli Merkel, ale jednak nastąpi odmrożenie relacji biznesowych i politycznych Berlina z Moskwą. W tej perspektywie relacje Niemców z Polską muszą być przewidywalne z punktu widzenia przyszłego kanclerza. Oczywiście w tej frazeologii nikt nie przyzna, że Berlinowi zależy na zredukowaniu Warszawy do statusu „junior partnera", tylko będziemy słyszeć o „partnerstwie" opartym na wzajemnej współpracy gospodarczej i kulturalnej. Jednocześnie, drodzy Polacy, pożegnajcie się z tak ambitnymi planami, jak udrożnienie Odry, rozbudowa portu w Świnoujściu czy CPK w oryginalnej wersji, bo to wszystko „nie służy budowaniu relacji polsko-niemieckich". Jeżeli dojdzie do takiego rozstrzygnięcia wyborczego, że to Rafał Trzaskowski zostanie prezydentem, wówczas Niemcom będzie zdecydowanie łatwiej nas zdominować, realizując strategię „miękkiej dominacji", ale jednak – zaznaczę – dominacji. ■

eprasa.pl 639267e58f



„To będą jedne z najważniejszych wyborów po '89 roku". Przekonanie to łączy dzisiaj właściwie wszystkich po stronie propaństwowej i prodemokratycznej opozycji. Najczęściej mówi się o groźbie „domknięcia się systemu", jak to określił Schetyna, przez obecną władzę. Wprowadzenia, przy bierności marionetkowego prezydenta, uchwał bądź ustaw, które uniemożliwiają funkcjonowanie w Polsce realnej opozycji, a także krytycznych wobec rządu mediów. Niektórzy komentatorzy wprost mówią o tym, że w wypadku przegranej Nawrockiego, nasz kraj zamieni się w nową Białoruś. Pozwolę sobie zgłosić *votum separatum* wobec tego typu tez. Nie musimy się bać wprowadzenia w Polsce dyktatury. Co nie oznacza, że możemy odetchnąć z ulgą.

Dawid Wildstein

To nie będzie dyktatura

Zacznijmy jednak od wątku optymistycznego. Te wybory są tak ważne nie tylko z powodu tego, co czeka nas, jeśli pacynka Tuska, Trzaskowski, dojdzie do władzy. Równie istotne jest to, co stanie się, jeśli wygra Nawrocki. To może być dla Polski prawdziwy, geopolityczny „gamechanger" – ponieważ jednym ze skutków jego zwycięstwa będzie upadek tej patowładzy, a w konsekwencji możliwość końca PO i Tuska.

Początek końca?

Porażka Trzaskowskiego będzie dla obecnej władzy potężnym ciosem. Pogłębi ona erozję tzw. koalicji uśmiechu. Dotychczasowi „sprzymierzeńcy" (chociaż właściwszym określeniem jest „sługusy") Tuska zaczną ewakuować się z tonącego okrętu. Mnożyć się będą „akty strzeliste", takie jak ten, który ostatnio widzieliśmy w wydaniu senatora Kamińskiego. Porażka ta na pewno wpłynie też na sondaże, które już pokazują, że obecna koalicja nie będzie w stanie utrzymać władzy. Najistotniejszy jest jednak kontekst europejski. Utrata, w niecałe dwa lata, władzy może spowodować, że najważniejszy gwarant istnienia Tuska i jego partii, Berlin, zdecyduje się „postawić na innego konia". Biorąc to pod uwagę, możemy być pewni, że w wypadku przegranej uśmiechnięta Polska zrobi, co może, żeby nie uznać wyniku wyborów. Zapewne użyje w tym celu dokładnie tych samych metod, co zachodnia, „liberalna" oligarchia w państwach takich jak Francja czy Niemcy – czyli skorzysta ze sprzedanych im sądów oraz zaatakuje krytyczne względem władzy media.

Ktoś może w tym momencie zadać pytanie – jak uwaga ta ma się do tezy z początku tego tekstu. Wszak państwa zachodnie przestały już udawać, że demokracja jest dla nich wartością, wprost już mówią o konieczności zastąpienia jej (lub ograniczenia) rodzajem mniej lub bardziej autorytarnego systemu, zabezpieczającego wpływy dzisiejszych elit. Fundamentalna różnica między nami a Niemcami i Francją jest jednak oczywista. Te dwa kraje to wciąż prawdziwe potęgi, z bardzo silnymi instytucjami państwa. Polska zaś jest, niestety, krajem peryferii. Owszem, z ogromnym potencjałem, jednak w znacznej mierze niewykorzystanym, teraz zaś w wręcz zatrważający sposób marnowanym. „Domykający się system" liberalnych elit będzie tak u nas, jak i w starych demokracjach, takich jak Francja czy Niemcy, używał często podobnych metod, jednak stworzy on zupełnie inny układ władzy. Żeby to zrozumieć, należy spojrzeć na to, jak obecnie wygląda państwo Tuska oraz jak przebiegają podobne procesy w innych krajach naszego regionu.

Uśmiechniętą Polskę cechuje zadziwiający na pierwszy rzut oka melanż niebywale brutalnej, ostentacyjnej siły ze słabością i śmiesznością. Mamy bezprawne, a czasem wręcz brutalne doprowadzanie kolejnych osób związanych z opozycją przed tzw. komisje śledcze, gdzie następnie rządzący zostają przez nich ośmieszeni. Mamy niebywale okrutne praktyki, zahaczające o tortury, ze strony prokuratury i organów ścigania, okazuje się jednak, że mimo buńczucznych deklaracji władza nie jest w stanie złamać większości ze swoich ofiar i musi je wypuścić. W końcu mamy ostatnie porażki uśmiechniętej władzy – zwolnienie z aresztu Mateckiego oraz kompromitacja Bodnara w sprawie Romanowskiego, gdy Interpol ośmieszył tuskową pacynkę, odmawiając ścigania polityka PiS-u. Przykłady tego typu można mnożyć. Ich schemat jest podobny. Punktowo mamy do czynienia z ostentacyjnym łamaniem prawa, deptaniem swobód obywatelskich, realnymi tragediami. W tym uśmiechnięta Polska niewiele różni się od Białorusi. Jednak to, co zaczyna się jak dyktatura, bardzo często kończy się cyrkiem i ośmieszeniem tych, którzy chcą grać rolę bezwzględnych „twardzieli".

Państwo w stanie ciągłego puczu

Z czego wynika taka dynamika? Niestety nie z siły polskiego prawa i instytucji ani z działań opozycji. Żeby zrozumieć opisywane tu zjawisko, warto się cofnąć o kilka lat i przypomnieć sobie tzw. pucz, jaki chciała urządzić w Polsce Platforma w grudniu 2016 roku. To w tamtym czasie „szczytowe" osiągnięcie ugrupowania Tuska jak w soczewce pokazuje metody działania, będące rdzeniem tej partii, a także jej cele, niezależnie od tego, czy jest ona u władzy, czy w opozycji.

Przypomnijmy w możliwym skrócie, czym był ten słynny „pucz". Posłowie PO pod pretekstem sprzeciwu wobec zmian dotyczących pracy dziennikarzy w Sejmie, urządzili gigantyczną, prawie miesięczną, polityczną zadymę. Mieliśmy więc okupację kolejnych pomieszczeń sejmowych. Awantury przed samą siedzibą parlamentu. Posłów Tuska urządzających – oczywiście w imię demokracji i walki z reżimem – „głodówki do samego końca", które potem okazywały się rotacyjne, a następnie i tak przyłapywano ich na tym, że w tym czasie zamawiali sobie sushi oraz pizzę do Sejmu. Nie sposób też nie wspomnieć o cudownie zmartwychwstających zwolennikach PO, takich jak słynny Diduszko, który wpierw sam się położył i umarł przy samochodzie kogoś z władzy, żeby po odpowiednim obfotografowaniu spokojnie wstać i zająć się swoimi sprawami.

Z perspektywy czasu sytuacja ta wydaje się być jedną wielką groteską, jednak miała ona bardzo konkretne skutki. Na prawie miesiąc udało się częściowo sparaliżować państwo, uniemożliwiając właściwe działanie parlamentu. Zniszczono dotychczasowy obyczaj

fot. Marcin Pegaz/Gazeta Polska

eprasa.pl 639267e58f

polityczny, nastąpiła barbaryzacja zachowań na skalę nieznaną wcześniej w polskim Sejmie, typową dla bantustanów, w której parlamentarzyści okładają się po głowach. Udało się także PO pokazać realną słabość władzy, a więc i państwa, rząd musiał bowiem do pewnego stopnia zaakceptować tę szopkę. Był to też czas wyjątkowego chamstwa, agresji i werbalnej przemocy. Posłowie PO obrażali, pluli, przepychali się i wdawali się w szarpaniny z legalnie wybranym, demokratycznym rządem. Celem tych działań, pomijając równie patetyczne co durne odezwy o konieczności obalenia faszystów, nigdy nie było realne przejęcie władzy. Chodziło o osłabienie państwa poprzez działania partii, udowodnienie, że ten drugi byt jest silniejszy od tego pierwszego. Kolejny cel był ściśle z tym związany. Pamiętajmy, że te wydarzenia były całodobowo transmitowane przez zachodnie media, które, pod dyktando PO, przedstawiały je jako apokalipsę demokracji. Po raz pierwszy tak mocno zniszczono pozycję Polski w oczach zachodniej opinii publicznej, przedstawiając nasz kraj jako groteskowy cyrk, jako państwo Trzeciego Świata, niestabilne, niewiarygodne, w którym panuje chaos.

Kluczowe dla zrozumienia istoty systemu Tuska i jego celów jest to, że odkąd ówczesna opozycja w końcu dostała władzę do ręki, robi *de facto* to samo.

Oczywiście dziś jej narzędzia osłabiania państwa, brutalizacji przestrzeni publicznej i niszczenia debaty są nieporównywalnie większe niż wtedy. Niemniej to, co dziś widzimy, kolejne ataki na opozycję, wrzutki prokuratury, występy Giertycha etc. – mają podobny cel co awantura z grudnia 2016 roku. Tusk i PO rządzą tak naprawdę po to, żeby powtórzyć tamten cyrk. Oni chcą Polski w stanie permanentnego puczu. Jednak sukcesywnie osłabiając państwo i jego pozycję, PO sama siebie pozbawia siły potrzebnej, by zrobić tu nową Białoruś.

Marne pocieszenie

Demokracja zostanie więc zastąpiona nie tyle dyktaturą, ile pełzającą, mniej lub bardziej ukrytą anarchią, w której ostatnie słowo będzie miał ten, który jest silniejszy, bardziej brutalny, który potrafi głośniej wrzeszczeć. W takim systemie kluczowej roli podtrzymywania władzy oraz cenzury (a także jakiejś formy terroru) nie będzie odgrywał aparat państwowo-biurokratyczny, jak na Zachodzie, lecz funkcję tę pełnić będzie jak największa przemoc społeczna, medialna, środowiskowa.

Dyktatura wymaga bowiem silnego państwa, realnie kontrolującego dane obszary społecznej i politycznej aktywności, zdolnego także do szybkich reakcji. Polska Tuska jest odwrotnością czegoś takiego. Jest coraz słabszym, coraz bardziej podzielonym podmiotem, którym rządzą różne ośrodki władzy, z którymi PO ma klientelistyczne układy. Celem Tuska jest więc coś, co można nazwać postępującą giertychizacją państwa. Rzeczywistość polityczna ma być organizowana za pomocą kolejnych szopek i prowokacji. W takim świecie przemoc jest bardzo ważna, jednak jest punktowa, nie systemowa. Realnym celem władzy jest bowiem ciągłe dzielenie Polaków, sianie fermentu, organizacja kolejnych spektakli, wprowadzanie obywateli w histerię, podbijanie bębenka społecznych emocji.

Kluczowe pytanie brzmi: dlaczego tak wygląda system Tuska? Odpowiedź jest prosta. Tego bowiem właśnie chce od niego obecny unijny establishment.

Państwa takie jak Francja czy Niemcy, mimo zmian systemowych, mają pozostać silne. My zaś mamy wylądować w spirali chaosu i słabości.

Taki los spotkał zresztą już niektóre kraje UE. Idealnym przykładem jest tu Bułgaria. Bruksela wspiera tam ugrupowania o jednoznacznie oligarchicznej, mafijnej konstrukcji, które niszczą własne państwo. Uznała je bowiem za gwaranta ich wpływów. Jednocześnie jednak samo państwo jest w stanie ciągłego kryzysu (m.in. właśnie z powodu działań tychże prounijnych sił), niezdolne podejmować właściwie żadnych realnych działań z powodu ciągłej walki wewnętrznej. Wiele wskazuje na to, że zagraniczni mocodawcy PO uznali, że u nas, jak w Bułgarii, nie opłaca im się stabilna sytuacja, nawet kiedy rządzi lokajski względem nich rząd. Dla Brukseli istotniejsze nawet niż władza jej marionetek jest to, żeby nie zaczęli rządzić ci, którzy są w stanie ograniczyć jej wpływy. Jeśli jednak jakimś cudem zdobędą władzę, niech będą maksymalnie ograniczeni – słabością państwa i brakiem jego międzynarodowej wiarygodności, wewnętrznym chaosem, a także unijnymi regulacjami, instytucjami oraz rozmaitymi NGO-sami. Wszystko wskazuje na to, że to jest właśnie zadanie Tuska. I, jak na razie, wywiązuje się z niego perfekcyjnie.

Jeśli Trzaskowski wygra, opisane powyżej procesy przyśpieszą i być może nawet przegrana uśmiechniętej Polski w wyborach parlamentarnych nie zahamuje tego procesu.

Jednocześnie warto zauważyć, że słabe państwo w stanie takiego chaosu jest mniej niebezpieczne dla krytyków władzy niż dyktatura. Daje im większą przestrzeń wolności. Marne to jednak pocieszenie. Zwłaszcza że ten chaos może skoczyć się czymś naprawdę strasznym. Uznaniem przez USA naszego państwa za na tyle niewiarygodne, że przestanie w nie inwestować i się z niego wycofają, realizując przy okazji jedno z największych marzeń Berlina.

Paradoksalnie więc najbliższe wybory w Polsce są dlatego tak ważne, że nie grozi nam dyktatura… ■

eprasa.pl 639267e58f

Marcin Wolski

Gra o wszystko

Gdzie jest Rafał, nasz „człowiek z tektury"? – to pytanie zadaje sobie jego elektorat w nieustannym poszukiwaniu nieobecnego kandydata – w pracy go nie ma (inna sprawa – kiedy tam był?), w debatach nie uczestniczy, a na spotkaniach w terenie sądząc po głupotach, które się tam dzieją, w jego roli występuje jakiś dubler. Inna sprawa, że dla zdeklarowanych zwolenników nie ma to znaczenia. Debatę w Republice wygrał przecież pewnie jego model z tektury, który zapędził w kozi róg wszystkich Stanowskich, Jakubiaków, Nawrockich, a nawet Hołownię.

Swoją drogą, po wyborach sieroty po nim będą mogły trzymać po domach te podobizny i do nich wzdychać. Przy okazji zamiast oczu można by wstawić im kamerki. Niech wiedzą ludziska, że Wielki Brat patrzy. Czyli kto konkretnie? Myślę, że jednym mógłby być Siemoniak, drugim Bodnar, a może w ich imieniu nieustraszony stróż praworządności – Roman Giertych?

Á propos – Świetlik z Ziemkiewiczem zasugerowali niedawno, żeby się nie obcyndalać, tylko od razu wybrać na prezydenta Najjaśniejszej – Romana Giertycha. Człowieka czynu, opętanego mową miłości, całkowicie niezależnego! Może wiedzą więcej niż ja? Bo mnie się wydaje, że mecenas to jedynie marionetka w rękach Donaldinia. Owszem, wielka i trudna w manewrowaniu, ale po obcięciu sznurków łatwa do wyrzucenia na śmietnik historii. A może się mylę i to „Słońce Peru" jest pacynką na jednym z wielkich paluchów człowieka zwanego Koniem? Pytanie, z czyjego nadania. Są dwie możliwości – ze Wschodu lub z Zachodu.

Pytanie tylko, czy prezydent środkowoeuropejskiego kondominium to nie za małe stanowisko jak na człowieka z tak ogromnym ego, że nawet Sikor może się za nie schować. Owszem, przydatne w paru kwestiach, na przykład po lekkich zmianach w konstytucji można by rozszerzyć prawo do ułaskawień. Obecnie, co wykazały kłopoty Andrzeja Dudy z łaską dla Kamińskiego i Wąsika, jest mocno ograniczone, ale po odpowiednich zmianach wielki Romano mógłby ułaskawić nie tylko wszystkich kolesi z ruchu 13 grudnia, lecz przede wszystkim samego siebie za występki przeszłe i przyszłe.

Albo jeśli nie prezydent – o ministrze sprawiedliwości nawet nie wspominam – to za mało, by zaspokoić ambicje Supermecenasa. Cóż, właśnie zwolniło się stanowisko w Watykanie, jak piszczą wszystkie wiewiórki, rodzina wielkiego wszechpolaka od dawna miała tam wpływy. Powiecie: to niemożliwe.

Nie tak bardzo, jak się wydaje, jeśli ktoś w domu św. Marty znajdzie jakąś nominację in blanco i okaże się, że pan G. był kardynałem in pectore… Zresztą żeby zostać papieżem, nie trzeba być kardynałem, nie trzeba być nawet księdzem. Osławiony Rodrigo Borgia nawet nie był duchownym (miał żonę i gromadkę dzieci, a święcenia przyjął dopiero po wyborze na Aleksandra VI). Co nie udało się Janowi Kazimierzowi – mógł być szczęśliwym papieżem, a został nieszczęśliwym królem – mogłoby zdarzyć się współcześnie. Byłyby same korzyści. Po pierwsze, pozbylibyśmy się raz na zawsze mecenasa z kraju, a po drugie, mógłby dokonać niemałych oszczędności. Zrezygnować z rezydencji w Castel Gandolfo, bo przecie ma wiejską posiadłość w Toskanii…

Rozumiem, że ludzie wierzący – sam się do nich zaliczam – mogą uznać podobne rozważania za niestosowne, ale skoro nasz wielki autorytet dziennikarski Tomasz Lis porównał Trzaskowskiego z Jezusem (nie chcę pytać, kto by wygrał w przedwyborczych sondażach „Newsweeka"?), to można sobie niewinnie pofantazjować i dopisać do listy kandydatów prezydenckich kogoś, kto łączyłby Polaków, a nie dzielił, kierując się kluczem popularności, rozpoznawalności, oglądalności czy jak kto woli – klikalności. I jakkolwiek by patrzeć, wychodzi mi tu Doda – też na bakier z prawem, za to reprezentacyjna, wygadana i wyśpiewana, któż by jej nie kliknął!

A swoją drogą, panie Lis, jeśli szukamy bluźnierczych metafor, to do kandydata Rafała bardziej pasuje Budda. Zapatrzony we własny pępek, z zagadkowym uśmieszkiem i chyba w permanentnym stanie nirwany… ■

eprasa.pl 639267e58f


Vincenty Kadlubek

Tomasz Gromadka

WINCENTY KADŁUBEK DEFINIUJE NARÓD POLSKI



To właśnie Kadłubek jako pierwszy określił Polskę mianem „res publica", co nasi przodkowie spolszczyli w formie Rzeczpospolita. Jego dzieło „Kronika polska", spopularyzowane w XV wieku przez Jana z Dąbrówki i odtąd aż po XVIII wiek czytane jako szkolna, obowiązkowa lektura, to fundament, na którym stanęła Rzeczpospolita.

FOT. WIKIPEDIA (2)

eprasa.pl 639267e58f

Paweł Jasienica niewiele miejsca poświęcił Wincentemu Kadłubkowi na kartach „Polski Piastów". Pisał, że „dziwne uczucie ogarnia dziś czytelnika jego »Kroniki polskiej«. Żal, złość nawet, że wszystko tu takie pomieszane". Chodziło mu o pierwszą z czterech ksiąg kroniki Kadłubka, poświęconą pradziejom Polski – temu wszystkiemu, co wydarzyło się przed chrztem Mieszka I.

Republikański manifest Kadłubka

Wcześniejszy kronikarz, Gall Anonim, wiedział o tamtych czasach bardzo niewiele – zapisał jedynie imiona przodków Mieszka do piątego pokolenia oraz przekazał legendę dynastyczną o Piaście i Popielu. Pewne jest, że mistrz Wincenty, piszący wiek później, nie miał dostępu do żadnych innych źródeł pisanych ponad te, którymi dysponował Gall. Być może w jego czasach krążyły jeszcze jakieś ludowe opowieści, choćby o Kraku i początkach Krakowa, ale nie było ich wiele – od chrztu minęło ponad 250 lat. Tymczasem opis pradziejów Polski jest u Kadłubka wielokrotnie dłuższy niż u Galla – krakowski kronikarz cofa dzieje państwa o wiele pokoleń, co więcej – łączy je z historią antyczną, i to na sposób zdumiewający. Według niego Popiel I, ojciec Popiela II (tego, którego obalił Siemowit, a potem zjadły myszy) pokonać miał samego Juliusza Cezara, a następnie poślubić jego siostrę. Jeszcze wcześniejszy władca – Lestek I – zwyciężył z kolei Aleksandra Wielkiego, który usiłował podbić kraj Lechitów. Trudno się w takim wypadku nie zgodzić z Jasienicą, że „wszystko tu takie pomieszane". Ale… Trzeba zadać pytanie, czy naprawdę celem Kadłubka było li tylko zaleczenie polskich kompleksów i dopisanie nam tysiąca lat historii w tak prymitywny sposób? Czy kronikarz nie wiedział, że od Cezara i Aleksandra do Mieszka I minęło trochę więcej czasu niż kilka pokoleń?

Wincenty Kadłubek był prawdopodobnie najlepiej wykształconym Polakiem swoich czasów – ukończył studia na uniwersytecie w Paryżu, może też w Bolonii, gdzie zdobył naprawdę ogromny zasób wiedzy i szeroką znajomość autorów klasycznych, niemal wszystkich, do których dostęp mieli ludzie Zachodu tamtej epoki. Poznał także literaturę mu współczesną, a w Bolonii mógł zawrzeć osobistą znajomość z Gerwazym z Tilbury, wielkim angielskim uczonym swego pokolenia. Po powrocie do Polski pracował m.in. jako kapelan Kazimierza Sprawiedliwego, a potem jego syna – Leszka Białego. Następnie, w latach 1208–1218, pełnił urząd biskupa krakowskiego, którego zrzekł się, by wstąpić do klasztoru w Jędrzejowie, gdzie ostatnie lata życia upłynęły mu na pokucie i modlitwie. W 1764 roku papież Klemens XIII beatyfikował Mistrza Wincentego.

Studia na Zachodzie, potem wiele lat spędzonych u boku książąt – wszystko to zaowocowało powstaniem kroniki, w tym jej pierwszej – tak kontrowersyjnej – księgi. Wszystkie kontrowersje znikają jednak po uświadomieniu sobie, że pierwsze księga dzieła mistrza Wincentego nie jest opisem historycznym pradziejów Polski, a traktatem politycznym – i to bardzo dojrzałym, ujętym w formę przypowieści. Szukać faktów historycznych w opowieści o Lestku i Aleksandrze Wielkim, to jak liczyć na informacje o biologii gorczycy w ewangelicznej przypowieści. Kadłubek mruga porozumiewawczo do czytelnika, gdy nagina wszelką chronologię swego wykładu i umieszcza wielkie wiktorie nad starożytnymi Grekami czy Rzymianami zaledwie kilka pokoleń przed Mieszkiem I. Genialny wykład znaczenia opowieści o zwycięstwach Lechitów nad Aleksandrem, która jest w istocie traktatem antyimperialnym, znaleźć może czytelnik w pierwszym tomie „Dziejów Polski" Andrzeja Nowaka.

Genesis narodu polskiego

„Była, była ongi cnota w tej rzeczypospolitej" – tą parafrazą Cycerona rozpoczyna mistrz Wincenty swą kronikę. Trzy z czterech jej ksiąg spisane są w formie uczonych dialogów między Janem, arcybiskupem gnieźnieńskim, i Mateuszem, biskupem krakowskim, obu już w chwili pisania dzieła nieżyjących. Jak pisze mistrz Wincenty, byli oni „poważnie myślący", a rozprawiali „o początku, postępie i spełnianiu się tej rzeczypospolitej". Dialog rozpoczyna Jan: „Pytam, mój Mateuszu, w jakim to czasie, mamy przyjąć, wzięło początek niemowlęctwo naszych ustaw?".

Mateusz w odpowiedzi rysuje obraz pierwotnego chaosu, jaki panował w Polsce: „Otóż opowiadał pewien starzec, iż żyła tutaj niegdyś nieprzeliczona moc ludzi, którzy tak niezmierne królestwo cenili sobie nie więcej niż [gdyby to był tylko] jeden źreb". Kadłubkowi Prapolacy nie posiadali władcy, praw ani – co znamienne – nazwy. Nie byli narodem, lecz zbieraniną ludzi „nieuformowaną, bezkształtną masą", jakby to ujął Owidiusz. Do powstania narodu doszło dopiero później za sprawą Kraka. Kadłubek jego imię zapisał w latynizowanej formie Gracchus, nawiązując tym samym do braci Grakchów –

eprasa.pl 639267e58f

wielkich przywódców ludowych i reformatorów społecznych Republiki Rzymskiej.

„Dlatego to Grakch, powracając z Karyntii, jako że miał dar wypowiadania głębokich myśli, zwołuje na więc całą gromadę, twarze wszystkich ku sobie zwraca, wszystkich życzliwość pozyskuje, u wszystkich posłuszeństwo sobie jedna. Mówi, iż śmieszne jest okaleczone bydlę, bezgłowy człowiek; tym samym jest ciało bez duszy, tym samym lampa bez światła, tym samym świat bez słońca – co państwo bez króla. […] Obiecuje, że jeśli go wybiorą, to nie królem będzie, lecz wspólnikiem królestwa. [Bowiem] »wierzy, iż zrodzon nie sobie jest, lecz światu całemu«. Wszyscy przeto pozdrawiają go jako króla. [A on] stanowi prawa, ogłasza ustawy. Tak więc powstał zawiązek naszego prawa obywatelskiego i nastały jego urodziny. Albowiem przed nim wolność musiała ulegać niewoli, a słuszność postępować krok w krok za niesprawiedliwością. I sprawiedliwe było to, co największą korzyść przynosiło najmożniejszemu. Atoli surowa sprawiedliwość nie od razu zaczęła władać. Odtąd jednak przestała ulegać przemożnemu gwałtowi, a sprawiedliwością nazwano to, co sprzyja najbardziej temu, co może najmniej".

Ta krótka opowieść doskonale obrazuje poglądy mistrza Wincentego – to nie pochodzenie ani nawet nie język formuje narodowość, lecz wspólnota praw. Naród polski powstał w momencie, gdy otrzymał prawa, a wcześniej nie istniał. Wynika z tego, że można się do niego przyłączyć, przyjmując te prawa. Myśl ta stoi u podstaw przyszłej Rzeczypospolitej – jej realizację widzimy we włączeniu bojarów litewskich w poczet szlachty polskiej, w wiernej służbie tatarskich Lipków, w udzielaniu gościny uciekinierom spod władzy Kremla od Andrzeja Kurbskiego przez Borysa Sawinkowa, aż po Krystynę Cimanouską. Kronika mistrza Wincentego to wielki manifest republikanizmu. To właśnie Kadłubek jako pierwszy określił Polskę mianem „res publica", co nasi przodkowie spolszczyli w formie Rzeczpospolita. Jego dzieło, spopularyzowane w XV wieku przez Jana z Dąbrówki i odtąd aż po XVIII wiek czytane jako szkolna, obowiązkowa lektura, to fundament, na którym stanęła Rzeczpospolita. Pozwoliło to Andrzejowi Nowakowi nazwać Polaków „Kadłubkowym plemieniem".

I tu wracamy do Pawła Jasienicy. W swej „Polsce Piastów" wspomniał on o mistrzu Wincentym zaledwie kilka razy. Nie były to słowa pochlebne, rozwińmy cytat z początku tekstu: „Dziwne uczucie ogarnia dziś czytelnika jego »Kroniki polskiej«. Żal, złość nawet, że wszystko tu takie pomieszane, niepewne, przerosłe krasomówstwem, że tyle na siłę poprzyczepianych dodatków zaczerpniętych z dziejów starożytności klasycznej, zapożyczonych od Greków i Rzymian". Trudno uwierzyć, że nie zrozumiał on przekazu kronikarza, że nie wspomniał o jego wielkiej myśli historiozoficznej i jej wpływie na późniejszą Rzeczpospolitą szlachecką. Myśl Jasienicy była zaskakująco zbieżna z oficjalną linią historiograficzną partii – potępiał on tradycje jagiellońskie, opiewał za to państwo pierwszych Piastów, które nie tylko przypominało swoim terytorium kształt pojałtańskich granic PRL-u, lecz także wolne było od obmierzłego republikanizmu. Mistrza Wincentego należało zmilczeć, sprowadzić jego dzieło do groteski. (Szczęśliwie czasy szerokiej popularności Jasienicy przemijają, a z piedestału zepchnęły go „Dzieje Polski" Andrzeja Nowaka, w których krakowski uczony poświęcił wiele atramentu rehabilitacji kroniki Kadłubka).

MISTRZA WINCENTEGO – TO NIE POCHODZENIE ANI NAWET NIE JĘZYK FORMUJE NARODOWOŚĆ, LECZ WSPÓLNOTA PRAW. NARÓD POLSKI POWSTAŁ W MOMENCIE, GDY OTRZYMAŁ PRAWA, A WCZEŚNIEJ NIE ISTNIAŁ. WYNIKA Z TEGO, ŻE MOŻNA SIĘ DO NIEGO PRZYŁĄCZYĆ, PRZYJMUJĄC TE PRAWA.

Wspólnota krwi czy ducha?

Poglądy, że naród to wspólnota, którą łączy prawo, nie były rozpowszechnione w czasach Kadłubka, choć – co ciekawe – spotykamy je w czasach dużo wcześniejszych, u świtu średniowiecza, wśród kronikarzy barbarzyńskich, takich jak gocki Jordanes czy longobardzki Paweł Diakon. Mistrz Wincenty nie mógł jednak znać ich dzieł. W dojrzałym średniowieczu popularność zdobywało postrzeganie narodu jako wspólnoty krwi. W tym duchu ruski zbiór latopisów, znany pod nazwą „Po-

eprasa.pl 639267e58f

wieści minionych lat", wywiódł Rusinów od Jawana, jednego z potomków Noego. Franków czy Francuzów wywodzili kronikarze od homeryckiego Priama, zarówno wcześni, jak Fredegar (VIII wiek), jak i późniejsi, jak Raoul de Presles (XIV wiek). Goeffrey z Monmouth, starszy o pokolenie od Kadłubka, widział z kolei w Brytach (przodkach Walijczyków) potomków Eneasza. W tym samym kierunku podążyli późniejsi od mistrza Wincentego polscy kronikarze.

Powstała w XIII lub XIV wieku „Kronika wielkopolska" przejęła od Kadłubka jedynie faktografię, bez naczelnych idei, takich jak narodziny narodu w momencie nadania praw przez Kraka. Autor „Kroniki wielkopolskiej" cofnął przeszłość Polaków jeszcze bardziej. Rozumiał on naród jako wielki ród, wywodzący się od jednego protoplasty. Było to myślenie zaczerpnięte może ze Starego Testamentu, gdzie Hebrajczyków ukazano jako potomków jednego patriarchy Jakuba, po zwycięczy »niemierzący pokoju«. Od niego to zaczęła się niewola wśród ludzi, bo gdzie indziej wszyscy cieszyli się nienaruszoną wolnością. Najpierw spróbował on lekkomyślnie podbić braci swoich pod swe panowanie, a ta jego płocha zuchwałość narzuciła prawo niewoli nie tylko braciom jego rodu słowiańskiego, lecz także całemu światu". Piszę o tym, bo podczas gdy Kadłubek uważał Polaków za wspólnotę praw, pod względem ducha spokrewnioną z Rzymianami, tak autor „Kroniki wielkopolskiej" jednoznacznie łączy nas ze Słowiańszczyzną, i to mimo różnic kulturowych i wyznaniowych, które istniały już w jego czasach – wszak zarówno Rusini, jak i Serbowie czy Bułgarzy byli prawosławni i pozostawali poza orbitą wpływów Rzymu i cywilizacji łacińskiej. Już biskup krakowski Mateusz, ten, którego Kadłubek uczynił jednym z narratorów swej kroniki, uważał Ruś za inny krąg kulturowy. W liście do św. Bernarda z Clairvaux napisał, że „Ruthenia quasi est alter orbis"

Dziś w Polsce walczą ze sobą dwie cywilizacje – dwa ustroje życia społecznego. Jedna, łacińska, zbudowana przez Kościół na fundamencie Rzymu i Aten, druga – owoc filozoficznego idealizmu Hegla i Kanta, spuścizna rewolucji francuskiej, Marksa i Lenina.

skiej walce z Bogiem nazwanego Izraelem. Polskim patriarchą stał się mityczny Lech, który przyprowadził swój ród z Panonii. Sam był potomkiem Noego, a dokładnie jednego z trzech jego synów, Jafeta.

„Otóż powiadają, że ci Panończycy, nazywani tak od Pana, wywodzą się, jak mówią, od Janusa, potomka Jafeta. […] Z tych więc Panończyków pochodzili trzej bracia, synowie Pana, władcy Panończyków, z których pierworodny miał imię Lech, drugi Rus, trzeci Czech. I ci trzej wydawszy potomstwo z siebie i ze swego rodu, posiadali trzy królestwa: Lechitów, Rusinów i Czechów (zwano ich też Bohemi), posiadają je obecnie i na przyszłość posiadać będą, jak długo spodoba się Bożej woli".

Dalej „Kronika wielkopolska" łączy z historią Lechitów postać biblijnego Nimroda, pierwszego tyrana, wymienionego w „Księdze Rodzaju". Autor kroniki tłumaczy, że „Nemrod bowiem w [języku] słowiańskim nazywa się Niemierza [było to polskie imię, popularne w średniowieczu – przyp. T.G.], co w słowiańskim tłumaczy się »nie mir« („Ruś jest jakby innym światem"). Tymczasem w myśli zawartej w „Kronice wielkopolskiej" znajduje się zalążek wszelkich idei panslawistycznych, które tak dawniej, jak i dziś chętnie propaguje Kreml (pisał o tym Artur Wójcik w „Fantazmacie Wielkiej Lechii", a bardzo ciekawy podcast pt. „Genealogia DNA, Ario-Słowianie i rusantrop Anatolija Kliosowa", poświęcony rosyjskim źródłom „teorii" Wielkiej Lechii, nagrał Gościwit Malinowski, wybitny językoznawca z Wrocławia).

Jan Długosz, autor monumentalnych, 12-tomowych „Roczników, czyli kronik sławnego Królestwa Polskiego", poszedł w stronę wyznaczoną przez „Kronikę wielkopolską" (oraz innych dziejopisarzy, takich jak Mierzwa) i również wywiódł Polaków od Noego, a początki narodu przedstawił w formie genealogicznej. Narodowość to dla niego wspólne pochodzenie, wspólna krew. W szczegółach przedstawił rodowód narodów Europy i Azji oraz drogę, jaką przebyli nasi przodkowie z arki Noego do Polski. Protoplastą naszym uczynił Lecha, potomka Jafeta.

eprasa.pl 639267e58f

Geniusz mistrza Wincentego polega na tym, że odrzucił on archaiczne, rodowe pojmowanie narodu, na co nie mieli odwagi nawet późniejsi kronikarze, w tym Długosz, a przyjął definicję dużo bardziej dojrzałą. Jest to jednocześnie świadectwo wielkości naszych przodków, którzy taką definicję zrozumieli, zaakceptowali i wcielili w życie, i którzy widzieli w Polsce nie wspólnotę rodową, lecz Rzeczpospolitą, to znaczy „rzecz wspólną" (to to właśnie oznaczał wówczas przymiotnik „pospolita"). O dziwo Kadłubek nie budował na surowym korzeniu, bo myśl republikańska obecna była w Polsce już wcześniej. W 1153 roku w dokumencie fundacyjnym opactwa w Łeknie na Pałukach fundator, niejaki komes Zbylut, podpisał się: „Ego Zbilud Polonie civis", a więc „Ja, Zbylut, obywatel Polski". Obywatel, a nie poddany.

Podział ostateczny

Myśl Kadłubka jest zaskakująco zbieżna z nowożytnym pojmowaniem narodów. Tak jak 800 lat temu mistrz Wincenty uważał, że podstawą istnienia narodu jest jedno prawo, jeden ustrój, tak przed stu laty Feliks Koneczny pisał, że jest nim przynależność do jednej i tej samej cywilizacji. Wileński historiozof definiował cywilizację jako metodę ustroju życia zbiorowego. Ustrój życia zbiorowego obejmuje pięć podstawowych zagadnień, określonych mianem „quincunx" (łac. pięciomian): prawdę, dobro, piękno, zdrowie i dobrobyt. Stosunek do nich warunkuje przynależność do takiej, a nie innej cywilizacji. Ponieważ są one zupełnie fundamentalne, niemożliwa jest synteza cywilizacji, możliwe jest tylko zwycięstwo jednej nad drugą, na ogół prymitywniejszej nad bardziej rozwiniętą. Przykładowo każda próba syntezy cywilizacji łacińskiej i katolicyzmu z liberalizmem światopoglądowym czy komunizmem zawsze prowadzi najpierw do zrujnowania doktryny katolickiej, a ostatecznie do apostazji.

Dziś w Polsce walczą ze sobą dwie cywilizacje – dwa ustroje życia społecznego. Jedna, łacińska, zbudowana przez Kościół na fundamencie Rzymu i Aten, druga – owoc filozoficznego idealizmu Hegla i Kanta, spuścizna rewolucji francuskiej, Marksa i Lenina. Podział ten ma w sobie coś eschatologicznego, można go nazwać podziałem ostatecznym, o którym C.S. Lewis napisał: „Ostatecznie ludzie dzielą się tylko na dwie kategorie: tych, którzy mówią Bogu »bądź wola Twoja«, i tych, do których Bóg powie na końcu »bądź wola twoja«".

Konieczny uważał, że syntezy między cywilizacjami są niemożliwe, że prowadzą zawsze do zniszczenia wyżej rozwiniętej cywilizacji przez tę prymitywniejszą. Podejście lewaków i katolików (tych wiernych Credo) do prawdy, piękna i dobra, zdrowia i dobrobytu jest tak różne, jak tylko jest to możliwe. Po jednej stronie barykady stoją ludzie, którzy uważają za dobre i słuszne oddanie życia za nienarodzone dziecię (jak to zrobiła św. Joanna Beretta Molla), z drugiej – ci skłonni twierdzić, że godzi się zabić nienarodzone dziecko, gdy nie ma pieniędzy na jego utrzymanie. Cóż z tego, że mówią tym samym językiem co my, że dziedziczą podobne geny, skoro nie istnieje między nimi a nami żadna płaszczyzna porozumienia, skoro nienawidzą tego, co my kochamy? Rodowa definicja narodu, którą wyznawali Jan Długosz czy autor „Kroniki wielkopolskiej", nie przetrwała zderzenia z rzeczywistością.

Skoro niemożliwa jest synteza, skoro kompromis przynosi straty, to jedynym rozwiązaniem jest walka i podbój. Mam tu na myśli walkę duchową, ideologiczną, gdzie stawką są umysły i dusze milionów Polaków, również tych, którzy narodzą się w przyszłych latach. Żaden proces dziejowy nie jest zawczasu zdeterminowany i każde trendy da się odwrócić. Historia zna takie przypadki, choćby w XIX-wiecznej Anglii, gdzie Kościół katolicki odrodził się po 300 latach apostazji i objął swym zasięgiem widoczną część społeczeństwa. Fala konwersji trwała w Anglii aż do Soboru Watykańskiego II, a obecnie – w skromniejszej skali – powróciła dzięki działaniom Benedykta XVI.

Niewiele da zwycięstwo partii prawicowych, jeśli katolicy nie zadbają o swoją osobistą świętość. Duchowy podbój czyni się bowiem wyłącznie przez zbliżanie się do Boga. Opatrzność uzależnia swoje działania od wolnej woli stworzeń i baczy na ich starania, a nie na skalę ich możliwości. Tak właśnie zrobiła w XIX-wiecznej Anglii. „Nawet najmniejsza osoba zmienić może bieg dziejów", jak napisał Tolkien. Bóg działa, jeśli pozwoli Mu się królować w swoim życiu i w swoich rodzinach. To jest warunkiem odrodzenia Polski i oświecenia tej części narodu, która się zagubiła. Jak pisał kilkadziesiąt lat temu pewien biskup, „jeżeli On będzie królował, prawdziwy postęp i pomyślność również zapanują, a są to dobra bardziej duchowe niż materialne. Jeżeli On nie króluje, mamy dekadencję, upadek i niewolnictwo we wszystkich swych formach. […] Nie ma kierunku dla historii, jest za to cel historii, cel transcendentny; jest nim »odrodzenie wszystkiego w Chrystusie«". ■

eprasa.pl 639267e58f



Ewa Polak-Pałkiewicz



Dom polski, dwór ziemiański

Jak dwory polskie przechowywały wiarę? Jak chroniły prawdę? Odpowiedzi dostarcza sposób wychowywania i edukowania dzieci. Zwłaszcza w czasach, gdy szkoły prowadzone przez zaborców zajmowały się wynaradawianiem.

Zanim zaistniały dwory szlachty, stały na polskiej ziemi chaty. Pierwsze dwory naśladowały chłopską chatę. Czterospadowy dach, szerokie podcienia, bielone ściany. Tym, co faktycznie wyróżniało je na tle pejzażu wsi, było ich otoczenie; stawiano je na rozległych połaciach ziemi. Ziemia była nagrodą króla za męstwo w bitwie. Ziemia należała do króla i mógł on – doceniając rycerską postawę w boju – ją „nadawać" tym, którzy nie szczędzili życia, których zasługi wojenne mierzone były liczbą ran. Ziemia za odwagę, honor i wierność – taki był początek uwłaszczonego rycerstwa, nowego stanu – szlachty i późniejszych ziemian. Stopniowo niewielkie domy przekształcały się w dworzyszcza, obronne zamki, okazałe pałace. Większość potomków rycerstwa zamieszkiwała dwory i dworki.

Kiedy spytałam niedawno pewną młodą dziewczynę, czy wie, kim byli ziemianie, odpowiedziała, że wie, „to byli ci, którzy mieszkali w ziemiankach". Nasi wrogowie skrupulatnie zacierali ślady materialne świadczące o tym, kim byli ludzie tego stanu. W nowej Polsce dwory miały być zrównane z ziemią, a ich gospodarze rozgonieni na cztery wiatry. Dwory, które ocalały z wojennej pożogi, pozostawiano martwe albo zamieniano na przytułki, siedziby PGR-ów, nigdy nie remontowane – chyba że kusiły dobrym stanem, wtedy ich przeznaczeniem były specjalne ośrodki partyjnych notablów.

Ziemianin był wrogiem dla komunistów, bo uosabiał przywiązanie do własności prywatnej, umiejętność korzystania z niej, patriotyzm i wiarę. A także szacunek dla stanu kapłańskiego, wykształcenie, towarzyską ogładę, kulturę osobistą, gotowość do obrony państwa, przywiązanie do polskości oraz – najczęściej – postawę opiekuńczą wobec swoich sąsiadów chłopów. Postawę tę należy określić mianem obywatelskiej.

Liberalizm – zwłaszcza neoficki liberalizm postkomunistów – także pogardza etosem ziemiańskim. Za jego trwanie przy zdrowym konserwatyzmie, wyczuleniu na fałszywe idee. Obie te cechy mają związek z trzeźwym, realistycznym spojrzeniem na rzeczywistość ludzi, którzy na co dzień obcowali z ziemią. Znali się na niej. Nie byli teoretykami. Zajmowali się czynnie uprawą, hodowlą, leśnictwem, myślistwem. Często byli pasjonatami tych dziedzin, mieli za sobą studia, zwykle za granicą, nieraz praktyki w dużych majątkach na Zachodzie. Poznając gruntownie prawa natury, ziemianie wykształcili w sobie sceptycyzm wobec wszystkiego, co jest, jak mówią Anglicy, nazbyt sophisticated. Co mami płytką atrakcyjnością i pozorną głębią. Najwybitniejsi, najbardziej zasłużeni dla Polski przedstawiciele środowiska ziemiańskiego byli tak impregnowani na pokusy związane z nowinkarstwem ideowym, z ideologią. I przedkładali ideał wiejskiego życia nad miejskie targowisko próżności.

Imię zagrzewające do walki

Pierwszym hymnem polskim była „Bogurodzica". Dlaczego osiem wieków temu rycerstwo, które szło do bitwy, znajdowało jako najodpowiedniejsze dla siebie hasło bojowe, imię Matki Chrystusa: Bogurodzica Dziewica? Co byłoby dla dzisiejszych Polaków okrzykiem bitewnym, gdyby im się zdarzyło zewrzeć się w polu z wrogiem? Kto zostałby wezwany? Czy też Ona?

Wiele bitew zaczyna się dziś od szyderstwa lub adekwatnej odpowiedzi na szyderstwo. Jakby nie było ważne, w czyje imię będzie się toczyć walkę. Wydaje się zawsze, że oczywistym jej celem musi być dobro, skoro to jest „moje dobro". Żeby wezwać imienia Maryi przed bitwą, trzeba jednak być przeświadczonym, że cel, który ma być osiągnięty, jest o wiele większy niż moje indywidualne dobro. Taka była świadomość obrońców granic Polski.

Może nas spotkać prawdziwa katastrofa, jeśli dopuścimy do swojego umysłu kłamstwo – możemy nigdy nie rozpoznać celu swojego życia. Tak jak możemy nie odgadnąć celu stworzenia świata i stworzenia człowieka. Byłaby to z pewnością największa klęska, jaką człowiek może sobie zafundować. Gdy ktoś woła: „Bogurodzica", rozpoczynając walkę, to znaczy, że choć boi się, nie wie, czy przeżyje, wie, jaki jest cel jego życia. I dlatego jest spokojny. Nie trzęsie się ze strachu. Tym celem nie jest szczęśliwe życie na ziemi. Wojownik nie woła więc jakiejkolwiek dziewicy, nie przywołuje ludzkiego tylko piękna – niewinności, czułości, wierności, odwagi, poświęcenia – mając świadomość, że za chwilę może umrzeć. Przyzywa Tę, która powiedziała Bogu „tak". Ufność Bogu wynika z poznania Go i ze świadomości, jaki jest cel życia.

Wychować dzieci – dla Boga

Jak dwory polskie przechowywały wiarę? Jak chroniły prawdę? Odpowiedzi dostarcza sposób wychowywania i edukowania dzieci. Zwłaszcza w czasach, gdy szkoły prowadzone przez zaborców zajmowały się wynaradawianiem.

Jako jeden z priorytetów wychowania i edukacji domowej Michał Żółtowski z Czacza w Wielkopolsce wymienia kult prawdy. W swoich wspomnieniach podkreśla, że tym, co okazało się decydujące dla jego dojrzałości, nie były wykłady starannie dobranych domowych nauczycieli czy kontakt z niejedną ciekawą osobowością spośród stałych rezydentów czy gości, lecz atmosfera domu. Styl życia nadawany przez ojca

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 639267e58f

Jana Żółtowskiego, prawnika, działacza niepodległościowego i ziemiańskiego, oraz matkę Ludwikę z Ostrowskich, wykształconą w Paryżu w Akademii Sztuk Pięknych artystkę i wrażliwą społeczniczkę oraz pierwszą katechetkę swoich dziesięciorga dzieci. Milczące przysłuchiwanie się rozmowom dorosłych prowadzonym przy stole i głośne lektury powieści historycznych w salonie miały ogromne znaczenie dla układania sobie obrazu świata. Także żywoty świętych czytane wieczorami przez matkę. To wszystko było owym biernym kształceniem umysłu, którego fundamentalne znaczenie tak podkreślają tomiści, a dziś dezawuowane jest przez zwolenników jak najwcześniejszej „kreatywności" dziecka. Potem przyszedł czas wsłuchiwania się w słowa ojca, najwyższy domowy autorytet. „Miał dar rozmawiania z dziećmi o sprawach poważnych w sposób interesujący, przepadaliśmy za przyłączaniem się do niego w czasie jego przechadzek". Mama zaś, wprowadzająca dzieci w prawdy wiary, obdarzona nie tylko żywym umysłem, lecz także duchową intuicją, nieraz dodawała w czasie pogadanek religijnych: „Musicie być przygotowani na czasy, kiedy przyjdą bolszewicy i kiedy będzie prześladowanie Kościoła" albo: „kiedy nastanie reforma rolna i wszystko stracimy". A było to na początku lat 20. XX wieku.

Podobnie było w rodzinie Karśnickich z Karszewa. I tu przewodnictwo duchowe w czasach niepokoju, gdy już dobiegały odgłosy nadciągających nawałnic, także należało do matki, Wandy z Orzechowskich. „Nadszedł pierwszy piątek września 1939 – odnotowuje w swoich wspomnieniach Teresa Karśnicka-Kozłowska. – Mama zarządziła spowiedź i Komunię św., aby oczyścić serca i sumienia na ewentualny zły czas".

Jak najmniej rutyny

Polscy rodzice okresu zaborów traktowali nauczanie domowe jako pierwszą linię frontu w batalii o duchową wolność dzieci; nie da się jej osiągnąć bez poznawania prawdy. Stąd troska o dobór nauczycieli oraz o atmosferę domu, która sama w sobie kształtowała charakter, umysł, wrażliwość dziecka. Jak najmniej rutyny, jak najwięcej nauki myślenia i dużo serca – brzmiała niepisana zasada domów o ambicjach wychowania dzieci na dobrych Polaków i katolików. Podążano śladami św. Jana Bosco.

Nauczyciele zatrudniani we dworach byli często przyjaciółmi domu. Rodzice starali się dyskretnie przypatrywać ich pracy, ingerowali tylko w skrajnych sytuacjach, gdy orientowali się, że nadużyto ich zaufania. Naczelną zasadą kultury wpajanej dzieciom w domach ziemiańskich była uprzejmość wobec człowieka każdego stanu. Nieokazywanie wyższości, zniechęcenia czy znudzenia wobec osób leciwych, trudnego usposobienia czy niższego stanu. Również wobec pracowników dworu. Tego uczyło obcowanie od dzieciństwa z ludźmi o wysokiej kulturze, kontakt z dziełami sztuki oraz unikanie trywialnych rozrywek i wszelkiej wulgarności w sposobie bycia. Stąd tak wielka troska rodziców, by nauczyciele i opiekunowie byli ludźmi o nienagannej postawie moralnej. Domy ziemiańskie stawiały im wysokie wymagania. Poszukiwano nie tylko ludzi wykształconych, ale prawych, którzy stwarzają klimat bezpieczeństwa, zaufania i szczerości.

Pierwsza niania w rodzinie Żółtowskich z Czacza pochodziła z chłopskiej rodziny, gdzie nie wolno było kląć i palić papierosów. Obdarzona była samorodnym talentem pedagogicznym. Eustachy Sapieha ze Spuszy wspomina swoją nianię i zarazem pierwszą domową nauczycielkę, Angielkę, zwaną Miską: „Miska była nam trzecim rodzicem i mimo, że trzymała nas krótko i wychowywała ostro, psuła nas jednocześnie, bo nas kochała całym swym ogromnym sercem… była wykształcona dużo lepiej niż tego wymagała praca nursy. Mówiła płynnie po francusku i niemiecku (ze strasznym angielskim akcentem), ale była też zupełnie dobrze oczytana. Bardzo wierząca i praktykująca katoliczka, nie była dewotką i nie zanudzała nas, jak to się czasem zdarza, pobożnością, ale dała nam to, co się nazywa katolickim wychowaniem. […] Takiego sense of humour nigdy u nikogo nie widziałem i tego nas, prawdę powiedziawszy, nauczyła. Śmialiśmy się z nią codziennie, wszędzie i zawsze. Miała dwie życiowe pasje: kwiaty i muzykę. Uczyła nas gry na fortepianie. Podczas lekcji siedziała obok z pałeczką, którą dawała nam po palcach, jeśli robiliśmy jakiś błąd. Ta sama pałeczka była w użyciu przy stole".

„Pepuni", pierwszej niani małych Karśnickich, zawdzięczało czworo rodzeństwa pierwsze spotkania z Trylogią. „Przeczytała nam ją w całości w trakcie spacerów po alei grabowej" – pisze Teresa Karśnicka-Kozłowska. Ich nauczycielka francuskiego uczyła języka, wymyślając najróżniejsze zabawy. Panna Irena Romantowska, kolejna nauczycielka w tym domu – i późniejsza ich oddana opiekunka, gdy w czasie ostatniej wojny utraciły rodziców – „grała z nami z serso, jeździła konno i na rowerze, powoziła zaprzęgiem, malowała kwiaty z natury i sporządzała reprodukcje krajobrazów". Udzielała się społecznie, uczestniczyła w organizowanych przez dom przedstawieniach i „żywych obrazach". Autorka wspomnień zawdzięcza jej dobrą znajomość łaciny i zamiłowanie do tego języka trwające przez całe życie.

Student prawa, który uczył 12-letniego Michała Żółtowskiego łaciny we wczesnych latach 20., był człowiekiem umiejącym w sposób atrakcyjny przeka-

eprasa.pl 639267e58f

zać podstawową wiedzę ze wszystkich niemal dziedzin. „Wkrótce stał się moim ideałem, przedmiotem miłości i podziwu", wspomina Żółtowski.

W przypadku młodych Sapiehów, Eustachego i jego dwóch braci, przygotowanie do gimnazjum odbywało się w rodzinnym gronie, w pałacu Dzieduszyckich we Lwowie. „Codziennie, pod nadzorem dwóch korepetytorów, z Jankiem i Stachem Dzieduszyckimi uczyliśmy się zawiłych nauk na poziomie pierwszej klasy gimnazjalnej. Były to najprzyjemniejsze studia w moim życiu" – pisze Eustachy Sapieha. „Wujostwo Dzieduszyccy, będąc rodzicami trzynastu pociech, umieli być najmilszymi wychowawcami i opiekunami całej tej czeredy. Pałac na Kurkowej był miejscem miłym, ciepłym, o szczególnym charakterze. Dzieduszyccy mieli głęboką religijność, miłość natury po dziadku, znanym założycielu muzeum przyrodniczego we Lwowie, wysoką kulturę i brak jakiejkolwiek postawy klasowej. Wuj Włodek […] miał bezgraniczną wiarę w ludzi i w swej dobroci nie potrafił sobie nawet wyobrazić, że ktoś mógł go oszukiwać czy wprost okradać, co różni jego kontrahenci w interesach leśnych bez wyjątku robili. Ciocia Wandzia, siostra Taty, mała, cichutka, mądra, chodząca dobroć, uważała mnie za syna… Rzecz, którą pamiętam, to oryginalna seria Lituanii Grottgera, której sens tłumaczyli mi wujostwo, co zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Z ciekawostek były świstające myszy przywiezione zdaje się z Chin przez dziadka oraz dużo skamieniałych przed tysiącami lat pni drzew, też przez tego dziadka skądś przytaskanych".

Oświata w konspiracji

Ważną motywację do uczenia w domach rodzinnych przyniosły czasy zaborów. W drugiej połowie XIX wieku w warszawskich gazetach nie były rzadkością ogłoszenia dawane przez matki o tym, że „poszukują dziewczynki" (w określonym wieku) „do wspólnej z córką nauki w domu".

Trzeba było też myśleć o edukacji dzieci, które nie mogły mieć prywatnych nauczycieli. Nie tylko więc rodzinne dwory i dworki ziemian, lecz także szkoły i szkółki zakładane przez nich potajemnie (głównie w zaborze rosyjskim) i półoficjalnie, gdy było to możliwe, stawały się kuźnią polskości. Nasi przodkowie wykazywali tu inwencję, pomysłowość i niespożytą energię. Mała próbka z dalekich Kresów – pisze Maria Dunin-Kozicka: „Znacznie przed epoką wolnościową, nawet przed rokiem 1905, praca konspiracyjna szkolna funkcjonowała w Kijowie […]. Tajne szkolnictwo pod przewodnictwem Józafata Andrzejowskiego i tak zwanej babci Ułaszynowej, mając licznych współpracowników i współpracowniczki, szerzyło się w Kijowie i poza Kijowem. Zbierano po wsiach dzieci schłopiałej szlachty polskiej, oficjalistów, urzędników w różnych stronach Kresów, ucząc je po dworach. W roku 1900 pani Janina Przecławska z Lubczy założyła pierwszą w naszej okolicy szkołę polską dla dziewcząt w Stawiszczach Branickich pod nazwą szwalni, a w parę lat później takąż szkołę dla chłopców pod firmą stolarni. Na utrzymanie tych dwóch szkół szły dobrowolne podatki od obywatelstwa okolicznego. […] Powstało tedy w kraju naszym [na Kresach Wschodnich – przyp. E.P.P.] tysiąc dwieście szkół polskich z osiemdziesięcioma tysiącami uczniów i tysiąc ośmiuset nauczycielami, potworzyły się instytucje oświatowe i kulturalne, kolegia uniwersyteckie, towarzystwa naukowe […], a uświadomienie drobnej, schłopiałej i wynarodowionej szlachty polskiej, mieszkającej licznie po wsiach i miasteczkach, rozpaliło wszystkie serca". Mąż autorki wspomnień sprawował funkcję komisarza gminnego prywatnej polskiej oświaty.

W poszukiwaniu mistrza

Nie brakowało wśród zawodowych guwernerów przyszłych wielkości. Nauczycielami domowymi – z wyboru, ale też poniekąd z konieczności – byli w młodości Henryk Sienkiewicz, Stefan Żeromski, Adolf Dygasiński.

W czasie domowej nauki Konstantego M. Górskiego, przyszłego historyka literatury i malarstwa, zatrudniono Floriana Łagowskiego, „wyjątkowej szlachetności człowieka", jak pisała o nim Maria Górska. Był to dobry znajomy Sienkiewicza, Prusa, Deotymy i Dygasińskiego, „podsycał zainteresowanie swych uczniów literaturą romantyczną, uodparniając ich na ducha epoki i na oddziaływanie rosyjskiej szkoły". Odchodząc z dworu Górskich w Woli Pękoszewskiej, gdy musiał zająć się pracą naukową, Łagowski zaproponował na swoje miejsce 25-letniego młodzieńca, niedawnego powstańca styczniowego, Trybunalskiego. Zdobywał on wykształcenie samodzielnie, odsiadując czteroletni wyrok w Cytadeli Warszawskiej, obłożony książkami, potem zaś pracował jako zesłaniec w kopalni złota na Syberii. Młody nauczyciel zyskał sympatię całej rodziny, widziano w nim człowieka prawego, uczciwego i szlachetnego.

Talent pedagogiczny Wacława Iwanowskiego rozniósł się szerokim echem wśród kilku rodzin arystokratycznych na początku XX wieku. Matki uradziły, że wyślą swoich dorastających synów do państwowego gimnazjum w Pszczynie, a pan Wacław poprowadzi dla nich prywatny internat i będzie ich wychowawcą.

eprasa.pl 639267e58f

„Profesor Iwanowski (Wacio) trzymał wszystko żelazną ręką i był przez wychowanków ogromnie lubiany" – wspomina Eustachy Sapieha. Profesorowie szkoły szanowali go i trochę się bali. „Na najmniejsze ujemne ich uwagi o nas, Wacio odpowiadał atakiem prawie fizycznym. Walczył o nas jak lew, ale też po powrocie z takiej wyprawy ratunkowej dawał nam szkołę, kiedy nikt z zewnątrz nie mógł słyszeć. Poza wojskiem, takiego wyklinania nigdy nie słyszałem, litanie rozpoczynały się mniej więcej od zas… arystokratów, zgniłych nierobów, nie zmieniało to jednak naszego ogromnego szacunku i przywiązania do tego bardzo dobrego człowieka".

Niepowtarzalny styl polskiego domu

Jeszcze w czasach zaborów zadekretowany terror Rosjan wobec uczniów państwowych gimnazjów nie przerażał młodych Polaków wychowywanych w patriotycznych i katolickich domach. W domowym zaciszu, wśród przyjaciół, w podziemiu, które rozrastało się z każdym rokiem, starsza młodzież studiowała historię i klasyków myśli europejskiej, zaczytywała się w niedozwolonej polskiej literaturze, czemu sprzyjali rodzice i bliscy. Zakazy bywania w teatrach, na koncertach i balach także okazały się całkowicie nieskuteczne. Skomplikowanej sztuki kamuflażu, skrywania prawdziwej umiejętności niezależnego myślenia oraz maskowania głębszej wiedzy wymagała w szkołach rosyjskich matura. Także polscy nauczyciele tych szkół po cichu i skutecznie sprzyjali temu, „by uczeń umiał wyrazić to, co należało, i ukryć to, co było niepożądane. W ten sposób i nauczyciele, i uczniowie chronili się przed »kompromitacją« na maturze. Jedni i drudzy wiedzieli, o co chodzi". A gra była o wielką stawkę.

Samodzielne myślenie i czerpanie obserwacji z życia przez młodzież zawsze były solą w oku naszych wrogów. Jedną z form oporu przed żmudnym wkuwaniem nieprzydatnych w życiu formuł był spisek uczniów warszawskich szkół, którzy zawiązali tajną organizację w celu systematycznego przekupywania urzędnika kuratorium, niejakiego Nikolskiego, by uzyskać wcześniej komisyjnie ustalone tematy egzaminu maturalnego. Nietrudno zgadnąć, skąd pochodziło wyrobienie konspiracyjne i zacięcie, by przechytrzyć rosyjskich nadzorców. W ilu domach polskich, tak jak u Górskich, nauczycielami zostawali niedawni powstańcy lub z racji przynależności do rodziny codziennie zasiadano z nimi do stołu..

Polacy z domów ziemiańskich, w odróżnieniu od Rosjan, „bez wysiłku, z naturalnego usposobienia i domowego wychowania" – pisze Michał Żółtowski – wyposażeni byli w kanon zachodniej kultury. Dziś edukacja domowa może się wydawać czymś przestarzałym, może śmieszyć, „bowiem jesteśmy tak otrzaskani z nieprawdą" – dodaje Żółtowski. „Fakt, że pozostawałem w domu rodzinnym, nie był rzadkością. Rodzice wiedzieli, że tak solidnego przygotowania do późniejszej nauki, jak tą dawną metodą, w żaden sposób nie osiągną".

Grzebanie w ziemi i wspinaczka na drzewa

Oprócz nauki była rzecz jasna aktywność fizyczna. Dzięki mądrości rodziców, we wczesnym dzieciństwie bywała ona nieskrępowana niczym, poza zdrowym rozsądkiem i niezwykle urozmaicona.

Michał Żółtowski odnotowuje, że jednym z głównych punktów programu dnia, gdy dopiero co rozpoczynał domową edukację, była „szaleńcza bieganina po parku", przynajmniej godzinne spacery oraz mnóstwo zajęć na powietrzu, na przykład wspinanie się na drzewa. A jeszcze wcześniej to, co dziś różni domorośli uczeni nazwaliby mało efektywnym poznawczo grzebaniem się w ziemi. Przesłanki do tego były dwie. Ojciec Michała Żółtowskiego, podobnie jak jego dziadek, był zdania, że małemu dziecku nie należy dawać gotowych zabawek, ale ułatwiać wytwarzanie ich samemu. Drugą przesłanką było przekonanie, że „w latach dzieciństwa mały człowiek przebywa podobną drogę, jak niegdyś, w zaraniu dziejów, cała ludzkość. Zaczyna od tego, co można by nazwać zbieractwem, by przejść do łowiectwa, pasterstwa, na koniec do ogrodnictwa i rolnictwa".

Zatem gromada małych Żółtowskich, ledwo wyciągniętych z pieluszek, znalazła rychło rosochaty pieniek, który służył im jako pług, a sporządzone z łyka uprzęże i bat pomagały zaprzęgać dwoje z rodzeństwa do roboty i orać przy jego pomocy wszystkie alejki w parku. Znajdowano po drodze prawdziwe skarby: kawał grubego szkła był porzuconym diamentem, krzemień pełen tajemniczych wgłębień i korytarzy – maszyną parową, głazy w alei czereśniowej, pokryte nitkami miki, kryły złoto, a woda z kałuży, do których wrzucano kamienie, miotała w słońcu iskry fontann. Starsze rodzeństwo tymczasem zajmowało się wznoszeniem budki dla dozorcy w sadzie czy budową składanego kajaka, którym opływano potem pobliskie kanały Obry i żeglowano po stawach rybnych sąsiada, ambasadora Chłapowskiego.

Matka inspirowała drobne prace fizyczne dzieci, by okazać pomoc osobom w potrzebie. „Ogród zoologiczny w Poznaniu dobrze płacił za kasztany stanowiące karmę dla jeleni, kozłów i antylop. W parku rosły potężne kasztany. Jesienią zbieraliśmy kasztany, potem konno wysyłano je do Poznania". Uzbierane pieniądze szły do Afryki, by można było oddać ma-

eprasa.pl 639267e58f

łych Murzynków do szkoły misyjnej, gdzie uczono ich pisania, czytania, zawodu i mogły otrzymać chrzest. „Z inicjatywy naszej Matki zbieraliśmy też w parku suche gałęzie, by oddać je na podpałkę samotnym, ubogim osobom na wsi".

Teresa Karśnicka-Kozłowska odnotowuje, że co roku, przed Świętami Wielkanocnymi „jadąc do Grobu Pańskiego musieliśmy wnieść swój wkład w radosne przeżycie świąt przez innych; było to podzielenie się z dziećmi z ochronki naszymi zabawkami. Wydobywaliśmy z przepaścistej szafy te mniej używane lub – dla wyraźniejszej ofiary – właśnie te najulubieńsze". Do worka darów dorzucano nie mniejszy wór słodyczy. „I tak uczyli nas rodzice zasady, że święto jest wtedy, gdy doświadczą go wszyscy ludzie, a nie tylko wybrani".

Mama

Michał Żółtowski, po wojnie nauczyciel i wychowawca niewidomych dzieci, jest przekonany, że dziecinne zabawy na wsi były jednym z największych luksusów, jakich zaznał w życiu. Nic nie jest w stanie dorównać tamtemu bogactwu przeżyć, rozwojowi pomysłowości i wyobraźni oraz znajomości przyrody, która okazała się kapitałem na całe życie. Oboje autorzy wspomnień mieli szczęście mieć matki o duszach artystek. Codziennie widziany sposób noszenia się matek, ich dbanie o siebie, wystrój domu, dobór obrazów, kompozycje kwiatowe na stołach i przy domowych ołtarzach (w przypadku Żółtowskich także osobiste, przez Ludwikę Żółtowską aranżowanie i dekorowanie ołtarzy na Boże Ciało), to lekcje estetyki, dobrego smaku, zamiłowania do harmonii. „Mama była pierwszym historykiem sztuki i nauczycielką każdego z nas – mówi Teresa Karśnicka-Kozłowska – zawsze przywożąc – z wystaw warszawskich, czy z wyjazdów zagranicznych jakąś cenną reprodukcję, gobelin, drzeworyt, album, makatę czy dywan dawała nam, że użyję nowomowy, cały »pakiet« informacji o twórcach czy epokach. Wrodzony smak, dobry gust i znawstwo mamy sprawiały, że wnętrze domu zapełniały meble i przedmioty ładne, stylowe i wysmakowane, w które wrośliśmy od dzieciństwa i – jak sądzę – w każdym przypadku odrzucilibyśmy szmirę czy kicz".

Michał Żółtowski podziwiał nie tylko artystyczne wyrobienie matki, lecz także jej pracowitość i zręczność. „Świetnie szyła, ślicznie okładała podręczniki szkolne, lubiliśmy patrzeć jak w jej rękach wszystko samo się układało... W Czaczu wisiało kilka obrazów jej pędzla. Akwarele przedstawiały Albańczyków w narodowych strojach [...]. Za młodu wszyscy rysowaliśmy i malowaliśmy, później tylko Rózia uczyła się malarstwa". Przez wszystkie lata dorosłego życia autor nie rozstawał się ze sztalugami. Przypomina też, że matka tak dbająca o estetykę codziennego życia, ogromne siły poświęciła na pomoc najuboższym. Ufundowana przez nią i nadzorowana ochronka – przedszkole dla dzieci pracowników dworu i wszystkich chętnych ze wsi – miała 80 stale zajętych miejsc. Gdy zmarła domownicy dziwili się, że nie pozostawiła po sobie żadnej odzieży. Wszystko oddała biednym.

Mieli zniknąć

Czy taką operację da się przeprowadzić skutecznie w kraju, który przez prawie tysiąc lat był budowany i broniony – materialnie i duchowo – właśnie przez rycerstwo, czyli późniejszą szlachtę, a od XIX wieku także ziemian? Bo przecież tak naprawdę właśnie nie przeminęli. Tak mogłoby się zdarzyć w każdym innym kraju. W Polsce im bardziej historia nasiąknięta jest łzami i krwią, tym żywiej się z nią obcuje. Jest do życia wręcz niezbędna – byśmy odzyskali poczucie tożsamości. Byśmy pozbyli się tego obcego, narzucanego nam obrazu samych siebie jako ludzi znikąd.

Próbowano warstwę ziemiańską i szlachecką unicestwić, całkowicie wykreślając z życia społecznego i z polskiej historii, fałszując jej obraz. Ten brutalny eksperyment – niespotykany w świecie poza rewolucją francuską i bolszewicką – nie powiódł się. Po latach wyrzucania ziemian z majątków i domów, rabowania ich dóbr, wsadzania do więzień, zsyłania na Sybir, zmuszania do emigracji, grożenia i zastraszania, pozbawiania możliwości istnienia w życiu politycznym i kulturalnym kraju, a także zniesławiania i szkalowania na wszystkie możliwe sposoby, po tych wszystkich haniebnych latach dzieje i tradycja ziemiaństwa polskiego powracają. Przede wszystkim w pisanych przez samych ziemian książkach. Te zapiski mają często wielkie walory literackie. Pojawiają się dziesiątki, a nawet setki wspomnień i pamiętników, spisywanych przez ziemian latami, najczęściej tylko na użytek najbliższych. Przemawiają mocnym, wyrazistym głosem. Przywołane przed trybunał historii, by mówiły, świadczyły... ■

W tekście wykorzystałam fragmenty wstępu do mojej książki „Rycerze wielkiej sprawy", której II wydanie ukazało się właśnie nakładem wydawnictwa LTW.

Źródła: M. Dunin-Kozicka, „Burza od Wschodu", Łomianki 2007; T. Karśnicka-Kozłowska, „Dawniej niż wczoraj", Kraków 2008; Sapieha, „Tak było... Niedemokratyczne wspomnienia Eustachego Sapiehy", Warszawa 1999; M. Żółtowski, „Wspomnienia z młodych lat", Warszawa 2005.

eprasa.pl 639267e58f



Starzenie się społeczeństwa europejskiego, niski przyrost naturalny oraz problemy osób starszych i tego, jak zapewnić im dobrą starość, są poważnymi wyzwaniami, z którymi musi zmierzyć się współczesny świat.

Małgorzata Matuszak

JAKIEJ CHCEMY STAROŚCI? MIĘDZY SAMOTNOŚCIĄ A PIĘKNĄ STAROŚCIĄ

eprasa.pl 689267e58f

Starzenie się populacji europejskiej jest pewnym faktem, z którymi muszą się zmierzyć rządy poszczególnych krajów. U nas sytuacja osób starszych jest szczególnie trudna. Borykają się one nie tylko z dolegliwościami wieku, lecz także z samotnością i problemami ekonomicznymi. Kiedy jest się młodym człowiekiem, problem ten wydaje się tak odległy, że nie podejmuje się nad nim namysłu. Rodzi się w naszej świadomości wraz z upływem czasu bądź wtedy, gdy bezpośrednio się z nim zetkniemy. Bo pytać trzeba: Jakiej więc chcielibyśmy starości dla siebie i dla naszych bliskich, a jak ona wygląda realnie i czy możliwe jest polepszenie sytuacji osób starszych w naszym kraju?

Starość w liczbach i starzenie się społeczeństw europejskich

Z danych GUS jasno wynika, że wciąż obserwujemy kontynuację procesu starzenia się ludności w Polsce. W 2023 roku liczba osób w wieku 60 lat powyżej wyniosła 9,9 mln, czyli zwiększyła się w stosunku do roku 2022 o 1 proc, tym samym o 0,4 p. proc., do 26,3 proc., zwiększył się udział osób starszych w populacji mieszkańców Polski. Współczynnik obciążenia demograficznego osobami starszymi wzrósł, rok do roku, z 29,9 do 30,9, a wskaźnik ludności w wieku poprodukcyjnym na 100 osób w wieku produkcyjnym z 39,0 do 40,0. Prognozy również są jednoznaczne – ta tendencja będzie się utrzymywać. Według prognozy demograficznej w perspektywie do roku 2060 spodziewany jest ciągły wzrost liczby ludności w wieku senioralnym – w roku 2060 ma być w Polsce 11,9 mln osób starszych, czyli o 19,9 proc. więcej niż w 2023 roku, stanowiąc 38,3 proc. ogółu społeczeństwa.

Przytoczone tutaj liczby mówią same za siebie. Starzenie się społeczeństwa europejskiego, niski przyrost naturalny oraz problemy osób starszych i tego, jak zapewnić im dobrą starość, są poważnymi wyzwaniami, z którymi musi zmierzyć się współczesny świat. Wiele osób czytających ten artykuł myśli już teraz pewnie, jak będzie wyglądała ich własna jakość życia, jeśli starość będzie taka sama w naszym kraju za 30 lat jak teraz? Czy wtedy aż tak duża część społeczeństwa będzie walczyła z ubóstwem, izolacją oraz głęboką depresją wynikającą ze starości? Aktualnie sytuacja seniorów jest alarmująca, a działań państwa na rzecz osób starszych zdecydowanie zbyt mało. Trudno oprzeć się wrażeniu, że ta grupa społeczna, nie generując dochodu i nie będąc w wieku produkcyjnym, z punktu widzenia gospodarki nie przynosząc więc krajowi korzyści, jest uznawana za pewne obciążenie dla reszty populacji. Jakkolwiek okrutnie by to brzmiało, jest to w pewnym sensie prawda. Wyższe wydatki na osoby starsze, związane w największej mierze ze wzrostem środków przeznaczanych na świadczenia emerytalne i zdrowotne, mogą prowadzić do obciążenia budżetu państwa i mogą być postrzegane jako problem. Stanowi to z pewnością wyzwanie ekonomiczne, jednak trzeba w tym miejscu zadać pytanie, czy nie żyjemy w społeczeństwie nastawionym na zysk i na to, aby ludzie byli produktywni? Niestety, tak się wydaje, patrząc na to, jak bardzo zaniedbywane są potrzeby osób starszych w naszym kraju. To upokarzające dla ludzi, którzy całe życie uczciwie przepracowali i zasłużyli na godne życie po przejściu na emeryturę. Ponadto starsi ludzie stają się pewnego rodzaju „memento", że wszystkich nas czeka starość, o ile jej dożyjemy. Trzeba bowiem pamiętać, że starzenie się jest częścią życia i czeka każdego z nas potencjalnie, więc mając na uwadze nie tylko dobro ludzi nam może obcych, lecz także nasze egoistyczne nastawienie, powinniśmy działać na rzecz dobrej i pogodnej starości. Tymczasem wciąż trudno nam zaakceptować fakt, że starzenie się dotyczy i dotyka wszystkich ludzi, nie można zatem żyć, jakby starości nie było, udając wciąż wiecznie młodych.

Starość w Polsce a społeczeństwo „młodości"

Starość w naszym kraju, szczególnie w mniejszych miejscowościach, wygląda dość smutno. Wiąże się często z niskimi emeryturami, które nie są w stanie zaspokoić potrzeb seniorów, którzy przecież poza wydatkami codziennymi mają również potrzeby wynikające z wieku starszego, choćby wydatki na zdrowie, rehabilitację czy sanatoria, które rzadko mogą być w wystarczającej mierze sfinansowane przez państwo i publiczną opiekę zdrowia. Rosnące koszty życia również nie pomagają osobom starszym przeżywać godnie starości.

Poza tym wiąże się starość z jednym z najtrudniejszych jej problemów – z samotnością, zdaniem na siebie oraz izolacją społeczną. Starszych ludzi wydaje się nikt nie potrzebować, czują się bezużyteczni i mimo dużego doświadczenia i mądrości, a często także mimo zachowania dobrej pomimo wieku sprawności, zostają spychani na boczny tor życia. Współczesne społeczeństwo wydaje się ich pomijać. Hołubiąc swój kult młodości, sprawności oraz tego, co nowe. Odrzucając starość jako pewną wartość i ludzi starszych jako pewien kapitał społeczny, współczesny świat popełnia jednak błąd. Wraz z marginalizacją osób starszych zanikają sprawdzone wzorce postępowania i umiejętność radzenia sobie z życiem w oparciu na wypraco-

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 639267e58f

wanej wraz z wiekiem mądrości i tradycji niesionej przez pokolenia. Młodzi ludzie nie mogąc, czy nawet nie chcąc uczyć się od ludzi starszego pokolenia, często czują się zagubieni w życiu, nie mając skąd czerpać wartości oraz nawyków dobrego i mądrego życia. To odcięcie od starszych pokoleń i ich zasobów mści się na młodych ludziach, ale też na starszych, którzy zamiast być zasobem społecznym, są często marginalizowani i ignorowani jako ci, którzy „nie rozumieją współczesnego, szybko zmieniającego się świata". Mimo tego jednak, że świat współczesny szybko się zmienia, nic nie zastąpi doświadczenia płynącego z wiekiem i pewnej mądrości życiowej, którą nie dysponują jeszcze młodsze pokolenia.

Nie pomaga też spokojnemu i spełnionemu przeżywaniu starości pewnego rodzaju tabu czy też wspomniane już „memento". Współcześni ludzie boją się starości i unikają jej, promując wszystko, co nowe, młode i witalne, choć są to wartości przemijające, szczególnie w okolicznościach starzenia się społeczeństwa, kiedy to już niedługo ludzie starsi będą stanowili jego znaczną część. Czy choćby to nie powinno stać się właśnie powodem, dla którego winniśmy zadbać o dobrą starość ludzi w naszym społeczeństwie, a tym samym o naszą własną?

Samotność ludzi starszych

Odcięcie się społeczeństwa współczesnego od starości to tylko jeden z powodów tego, dlaczego ludzie starsi są często izolowani lub skazani na samotność. Wynika ona również z przyczyn naturalnych, na przykład śmierci małżonka, jak i zmian, jakie zaszły w samej strukturze rodziny na przestrzeni ostatnich lat. Z przyczyn ekonomicznych i zmian kulturowych zanikają tradycyjne więzi rodzinne i rodziny wielopokoleniowe, które były kiedyś naturalną tarczą ochronną przed izolacją oraz brakiem wsparcia dla seniorów.

Model rodziny nuklearnej wymusza, aby ludzie starsi radzili sobie sami, i nie włącza ich w życie pokoleń młodszych. Czasem są oni postrzegani wręcz jako obciążenie dla rodziny, szczególnie wtedy, gdy wymagają opieki czy nie radzą sobie ekonomicznie, co w naszym społeczeństwie zdarza się niestety dość często. Częsta emigracja zarobkowa młodych ludzi do dużych miast sprawia, że ludzie starsi w małych miejscowościach zostają sami, zdani na siebie i na pomoc sąsiedzką, często świadczoną przez seniorów w równie zaawansowanym wieku. Pomoc państwa dla ludzi w takiej sytuacji jest znikoma. Nie istnieją instytucje albo jest ich zbyt mało, które mogłyby realnie zaspokajać potrzeby osób starszych w takiej sytuacji, a często oni sami wstydzą się po taką pomoc sięgnąć, nawet w tym zakresie, w jakim jest ona dostępna. MOPS i GOPS świadczą pomoc w ograniczonym zakresie, a domy opieki są wciąż trudno dostępne i częściej można z nich skorzystać w większych miastach. Prywatna pomoc przekracza zaś budżet seniora, a często również jego rodziny. Starszym osobom pozostaje więc radzić sobie samodzielnie, a tym, którzy radzą sobie słabiej i są w gorszej sytuacji, towarzyszy często poczucie bezsilności, samotności, opuszczenia i zapomnienia przez świat, którego jeszcze niedawno byli aktywnymi uczestnikami.

A nie tak powinno to wyglądać. Bardzo trafnie sformułował to Carl Gustav Jung, według którego życie jest właśnie po to, by z satysfakcją przeżyć starość, żeby do niej dojrzeć. Po to przeżywamy pierwszą jego połowę, by zbierać to, co w drugiej będzie owocowało, z czego będzie się dawało innym. Wiek to nie balast, lecz suma doświadczeń, które nie powinny być przeżywane w samotności.

Włączenie zamiast wykluczenia

Czy istnieje zatem jakieś remedium na starość i związaną z nim samotność? Wydaje się że tak. Należy tylko zmienić sposób przeżywania starości i warunki życia starszych ludzi oraz ich możliwości życia w społeczeństwie. Aby starość mogła być pogodna i spełniona, bo przecież nie jest to wcale krótki okres w życiu ludzkim, zważywszy na wydłużanie się ludzkiego życia i wczesną emeryturę, należy włączyć ludzi starszych do społeczeństwa. Trzeba stworzyć im szansę dalszego rozwoju, aktywizować w grupach seniorów, ale uczynić również aktywnymi uczestnikami życia społecznego w ogóle. Ludzie starsi są potrzebni społeczeństwu, więc nadal mogą i powinni się tak czuć. Dysponują oni przecież zasobami, które mogą być kształcące i inspirujące dla młodszych pokoleń, mogą więc być nie tylko obciążeniem, lecz także wsparciem jako opiekunowie czy mentorzy dla młodszych ludzi. Pojawiają się projekty kształcenia i samokształcenia osób starszych, ale ich wiedza może również służyć innym. Można stworzyć dla nich dalszą szansę rozwoju i realizacji nie stawiając na marginesie jako nieprzydatnych. Włączanie osób starszych może w pewnym stopniu złagodzić ich poczucie samotności i uczynić ponownie ważnymi dla świata.

Jak pokazują badania, samotność zabija skuteczniej niż cokolwiek innego, człowiek jest bowiem człowiekowi niezbędny do życia. Bycie razem nie jest przywilejem młodych ludzi, ale jest prawem każdego i również starsi nie powinni być pozostawiani samym sobie w rosnącym poczuciu depresji i beznadziei, jak to się często niestety dzieje. ■

eprasa.pl 639267e58f

Małgorzata Matuszak

Czym jest... cud

Cud jest wydarzeniem, które nie mieści się w ramach zwykłego życia i wykracza poza przyrodzony porządek natury. Ujmowany jest najczęściej jako wyraz łaski bożej, szczególny dar Boga ofiarowany ludziom w wyniku ich próśb i modlitw. Często modlimy się o cud w chwili rozpaczy, gdy sytuacja wydaje się beznadziejna i nie znajdujemy z niej wyjścia za pomocą wszelkich danych nam sposobów leżących w zasięgu ludzkich możliwości. Cud należałby zatem do kategorii takich zdarzeń, które są niemożliwe w porządku natury, ale nie niemożliwe dla wszechmocnego Boga. Jest taką ingerencją Bożą, poprzez którą zawiesza On niejako porządek natury. Dlatego graniczy zawsze z niemożliwością. W Ewangeliach wielokrotnie czytamy o cudach, których dokonywał Jezus – chodził po wodzie, przemienił wodę w wino czy też wskrzesił Łazarza. Samym cudem jest wreszcie Jego zmartwychwstanie.

O cudzie mówimy jednak w znaczeniu nie tylko religijnym, lecz także ontologicznym, aksjologicznym i estetycznym.

Stwierdzamy na przykład, że nasze życie jest cudowne, aby podkreślić jego wyjątkowość i niezwykłość. Cud życia możemy ujmować przy tym jako coś niebywałego w porządku naturalnym, biologicznym, ale też, ze względu na swoją wartość, uznawać życie za cudowne, bo wyjątkowe we wszechświecie. W przypadku podkreślenia wartości czegoś mamy bowiem na uwadze to, że coś nie jest konieczne, ale mimo swojej przypadkowości jednak istnieje, co samo w sobie graniczy z cudem, gdyż tego, co przypadkowe, mogłoby przecież nie być.

Cudowne jest zatem to, co nas zdumiewa, że jest, mimo że możemy sobie wyobrazić, że mogłoby tego nie być. Tak jest z naszym istnieniem i z istnieniem ludzi dla nas ważnych. Mówimy, że to cud, że istniejemy, wiemy bowiem, że gdyby w łańcuchu nieskończonych przyczyn nastąpiła choćby drobna zmiana, nie istnielibyśmy. Dla Boga może nie ma przypadków i nie ma cudów, ale dla nas, ludzi, którzy nie obejmują umysłem całości zależności we wszechświecie, to, że jesteśmy – tu, na tej ziemi, w tej chwili – jest cudem. Tylko perspektywa religijna jest w stanie ukazać konieczność naszego istnienia w planie bożym, z praw natury nie możemy bowiem wywnioskować konieczności naszego istnienia, moglibyśmy być i nie być z takim samym prawdopodobieństwem.

O cudzie mówimy także w odniesieniu do tego, co wydaje się nieprawdopodobne i co budzi nasze zdumienie. Na początku ludzi dziwiły rzeczy zwyczajne, których przyczyn nie potrafili sobie wyjaśnić, potem zaś zaczęli pytać o całość świata. W tym zdumieniu, jak głosił Arystoteles, miała swój początek filozofia. Można przyjąć więc, że u podstaw pierwszych pytań i ludzkiej refleksji na temat świata leżało zdumienie cudownością istnienia w ogóle.

Jeśli mówimy o cudzie w kategoriach estetycznych, na myśli mamy również to, co wzbudza nasz zachwyt. Możemy zachwycać się kunsztem natury, myśląc na przykład, jak cudownym tworem natury jest każdy jej element, choćby komórka ludzkiego ciała. W tym przypadku mówimy o cudzie natury, którym może być życie w ogóle, ale też – szczegółowo – kunszt, z jakim natura wytworzyła istoty żywe. Zachwycamy się drzewami, które kwitną na wiosnę, podziwiając zdolność roślinnego życia do odradzania się każdego roku i moc życia, która zwycięża okres zimowego uśpienia.

> Mówimy, że to cud, że istniejemy, wiemy bowiem, że gdyby w łańcuchu nieskończonych przyczyn nastąpiła choćby drobna zmiana, nie istnielibyśmy.

Możemy zachwycać się wreszcie kunsztem i cudownością wytworów ludzkiego świata. Myślimy o tym, jak cudowne są dzieła wielkiej literatury, sztuki malarskiej, architektonicznej lub muzycznej, podziwiając kunszt artystów i ludzi nauki, których odkrycia wytyczają drogi rozwoju ludzkiej cywilizacji. Mówimy również o cudowności ludzkiego geniuszu, o natchnieniu i pasji, która towarzyszyła wielkim twórcom, bez których ludzka kultura nie byłaby taka sama.

Niezwykłość możemy również widzieć w tym, co zwykłe, pod warunkiem, że umiemy się zachwycać cudami ukrytymi w codzienności. Obok wielkich cudów istnieją wszak również te małe, codzienne. To zaś, co nazwiemy cudem, leży w naszej zdolności postrzegania czegoś w kategorii cudu. ■

eprasa.pl 639267e58f



Rafał Górski – prezes Instytutu Spraw Obywatelskich, redaktor naczelny „Tygodnika Spraw Obywatelskich". Od 1995 roku na frontach kampanii obywatelskich, m.in. Tiry na tory, Ratuj dzieci!, Broń gotówki. Konsultant i trener ds. zarządzania, odporności i zmiany.

Krzysztof Wołodźko



Gotówka – narzędzie ludzi wolnych

Globalne elity zorientowały się, że tradycyjny, materialny pieniądz jest dużą przeszkodą w totalnej automatyzacji procesów finansowych i głębszej cyfryzacji relacji społecznych i ekonomicznych. Gotówka uniemożliwia im pełną kontrolę nad finansami całych społeczności ludzkich. A przecież za logiką całego systemu kryje się niepohamowana chciwość i żądza władzy, które wymagają lepszego wglądu i nadzoru nad finansami konsumentów. Świadomy obywatel, który chce wciąż posługiwać się gotówką, jest kłopotem dla tych, którzy żądają pełnego wglądu w nasze finanse – z Rafałem Górskim rozmawia Krzysztof Wołodźko.

eprasa.pl 639267e58f

▶ Czym jest gotówka, jaką pełni rolę w systemie ekonomicznym i społecznym poszczególnych państw i na globalnym rynku?

To środek do regulowania naszych zobowiązań finansowych, wymiany handlowej. Ekonomiści chętnie mówią, że pieniądz – niegdyś gotówka, dziś cyfrowe środki płatnicze – jest krwiobiegiem globalnego systemu gospodarczego. W rzeczywistości tym krwiobiegiem jest praca zwykłych ludzi. To my, ludzie, i nasza praca wciąż jesteśmy najistotniejszą częścią systemu gospodarczego, a pieniądz jest jego ważnym narzędziem.

▶ Gotówka ma ważny walor kulturowy, wystarczy spojrzeć na banknoty poszczególnych państw, a łatwiej zrozumiemy ich historię i politykę historyczną, wartości i idee, do których się odwołują.

Pieniądz był i jest ważnym nośnikiem narodowych historii; opowieści, które za swoje przyjęły poszczególne państwa. Za pomocą banknotów możemy odczytać nie tylko rodzimą historię, lecz także jej interpretacje w czasach II Rzeczypospolitej, Polski Ludowej, III RP. Gdy z codziennego obiegu znika gotówka, zanika także jej symbolika, która buduje świadomość obywatelską i narodową.

▶ Służące wyłącznie władzy kapitału symbole globalnych marek rugują narodowe tożsamości?

Wartość kulturowa pieniądza słabnie wraz z cyfryzacją świata finansów. Ciąg zer i jedynek ma wyłącznie wartość techniczną i matematyczną. Cyfryzacja gotówki sprzyja temu, byśmy całą otaczającą nas rzeczywistość traktowali komercyjnie, transakcyjnie.

Technologiczna rewolucja głęboko przeorała nasz świat. Wyraźnie wybrzmiewa to w podtytule głośnej książki Neila Postmana „Technopol", wydanej w 1992 roku. Brzmi on: „Triumf techniki nad kulturą". Kilka dekad później dobrze widać, że amerykański myśliciel miał rację. Estetyka i przekaz serwowany nam z pomocą ekranów coraz bardziej zaawansowanych cyfrowo urządzeń święci triumfy nad tradycyjnymi formami ludzkich aktywności. Dotyka to również gotówki.

▶ Mówimy o ideach i symbolach. Ale tradycyjny pieniądz jest nieodzowny, gdy przydarzają się rozliczne „awarie systemu" – kryzysy naturalne, infrastrukturalne, zbrojne konflikty.

Mamy bardzo świeże doświadczenia w tych kwestiach. Kryzysy związany z koronawirusem i wojną na Ukrainie to dwa momenty, w których Polacy rzucili się do bankomatów. Bardzo dobrze pokazują to wykresy Narodowego Banku Polskiego – mieliśmy do czynienia z dwoma dużymi szczytami, jeśli chodzi o masowe wypłaty gotówki.

Jak trwoga, to po gotówkę – ludzie podskórnie czują, że cyfryzacja nie jest złotym środkiem na wszystkie możliwe zagrożenia, że papierowy pieniądz jest ważnym zabezpieczeniem, przynajmniej na pierwsze tygodnie czy miesiące dającego się opanować kryzysu, bo w groźniejszych sytuacjach i tak przyszedłby czas barteru i wymiany konkretnych produktów. Złoto okazałoby się o wiele przydatniejsze niż pieniądz. Ale brak gotówki jeszcze bardziej ułatwiałby sytuację tych, którzy dla swoich korzyści rozgrywają i zarządzają mniejszymi i większymi kryzysami. A my jako zwykli obywatele bylibyśmy jeszcze bardziej ubezwłasnowolnieni.

▶ Nie trzeba apokaliptycznych scenariuszy, żeby przekonać się, że awaria sieci internetowej lub energetycznej może pozbawić nas dostępu do cyfrowego pieniądza.

Warto pamiętać choćby o „mikrokryzysach" związanych z awariami systemów bankowych i kart płatniczych. One na razie są krótkotrwałe, ale moim zdaniem przyszłość będzie coraz bardziej skomplikowana, tego rodzaju kryzysy mogą się przeciągać. Sieć energetyczna, infrastruktura krytyczna jest coraz mocniej zagrożona. Myślę nie tylko o kontekście wojennym, warto pamiętać o grupach przestępczych i hakerach. Przypomnę ataki na szpitale w Europie. Taki atak zdarzył się również w Polsce.

Łatwo sobie wyobrazić wzrost tego rodzaju ryzyka, gdy do gry na dużą skalę wejdą komputery kwantowe. Wówczas nasze zabezpieczenia systemów cyfrowych, w tym mniej lub bardziej bezpieczne dziś hasła, mogą okazać się niewiele warte. Powinniśmy zdawać sobie sprawę, że jeśli będziemy zdani wyłącznie na cyfrowe technologie, to nie skończy się dobrze.

▶ Mówił Pan wyżej o Narodowym Banku Polskim. Jaka jest jego rola i zaangażowanie w sprawach gotówki?

Narodowy Bank Polski to od lat sojusznik gotówki. Jeśli chodzi o silnego aktora na gospodarczej scenie w Polsce, to trzeba przyznać, że NBP wzorcowo stoi na jej straży. Właśnie tam powstała Narodowa Strategia Bezpieczeństwa Obrotu Gotówkowego, która zakłada różnorakie działania na rzecz wsparcia obywateli, którzy chcą korzystać z gotówki. Po pierwsze, zapewnienie obywatelom dostępu do papierowego pieniądza – w tym utrzymanie odpowiedniej liczby bankomatów i placówek (na przykład pocztowych) umożliwiających jego wypłatę, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach. Po drugie, przeciwdziałanie odmowom przyjmowania gotówki przez sklepy i promocja jej równoprawnego traktowania obok płatności elektronicznych. I po trzecie, promowanie i wdrażanie nowych rozwiązań zwiększają-

FOT. ARCHIWUM RAFAŁA GÓRSKIEGO

eprasa.pl 639267e58f

cych bezpieczeństwo fizyczne tego środka płatniczego. NBP podejmuje wiele działań strategicznych i operacyjnych w obronie gotówki, ale myślę, że przydałoby się więcej projektów, które by ją popularyzowały. Potrzeba większej edukacji i kampanii społecznych na rzecz codziennego korzystania z papierowych pieniędzy przez Polaków.

Warto odnotować, że NBP wystąpił z Koalicji na rzecz Obrotu Bezgotówkowego i Mikropłatności. Adam Glapiński, szef banku centralnego, w wielu publicznych wypowiedziach bardzo krytycznie i zdroworozsądkowo wypowiada się na temat likwidacji gotówki.

Niestety w „bezgotówkowej koalicji" wciąż jest polski rząd, reprezentowany choćby przez Ministerstwo Finansów. W lutym bieżącego roku jako Koalicja dla Gotówki zwróciliśmy się do premiera Donalda Tuska, by rząd w końcu wystąpił z organizacji żywo zainteresowanej likwidacją papierowego pieniądza. Jak na razie nie widać przychylności wobec naszego apelu.

Jest Pan współtwórcą Koalicji dla Gotówki. To stosunkowo nowa i nieoczywista forma obywatelskiej aktywności...

Z przykrością przyznaję, że gdy przed pięcioma laty zacząłem analizować sytuację w Polsce dotyczącą aktywności lobby bezgotówkowego, zrobiło mi się wstyd, że tak późno zorientowałem się, co się dzieje. To był 2020 rok, okazało się, że w naszym kraju nie ma żadnej organizacji, która systematycznie zajmowałaby się obroną gotówki. Natomiast od 2007 roku istnieje wspomniana już Koalicja na rzecz Obrotu Bezgotówkowego i Mikropłatności, która powstała z inicjatywy Związku Banków Polskich

Komu i dlaczego przeszkadza papierowy pieniądz?

Przede wszystkim przeszkadza jednemu procentowi najbogatszych ludzi na świecie. Globalne elity zorientowały się, że tradycyjny, materialny pieniądz jest dużą przeszkodą w totalnej automatyzacji procesów finansowych i głębszej cyfryzacji relacji społecznych i ekonomicznych. Gotówka uniemożliwia im pełną kontrolę nad finansami całych społeczności ludzkich. A przecież za logiką całego systemu kryje się niepohamowana chciwość i żądza władzy, które wymagają lepszego wglądu i nadzoru nad finansami konsumentów. Świadomy obywatel, który chce wciąż posługiwać się gotówką, jest kłopotem dla tych, którzy żądają pełnego wglądu w nasze finanse.

Ktoś powie, że to teoria spiskowa.

Chiński ekonomista Song Hongbing, który trafnie przewidział choćby kryzys finansowy 2008 roku, w głośnym cyklu „Wojna o pieniądz" pokazuje, że nie mamy do czynienia z niczym nowym. Globalni gracze likwidują coraz więcej ekonomicznych bezpieczników, a system zmierza do domknięcia. Wykluczenie gotówki – gdyby miało do tego dojść – czyniłoby także przeciętnego obywatela skrajnie uzależnionym od globalnych instytucji powstałych na skrzyżowaniu potęg finansowych i cyfrowych, czyli fintechów. Technologicznie jest to już dziś możliwe.

Kto działa w Koalicji dla Gotówki? I dlaczego?

Koalicja dla Gotówki to innowacyjny projekt, biorąc pod uwagę polską polaryzację. Skupia ludzi z najróżniejszych środowisk, jeśli chodzi o poglądy na gospodarkę i sprawy społeczne, zjednoczonych w obronie gotówki. W Koalicji działa NSZZ „Solidarność" obok Związku Przedsiębiorców i Pracodawców, wolnościowy Warsaw Enterprise Institute czy bardziej liberalne Polskie Towarzystwo Gospodarcze obok lewicowej Polskiej Sieci Ekonomii.

Wszystkich nas łączy przekonanie, że gotówkę należy zachować jako ważny element systemu społeczno-gospodarczego. Dysponujemy znacznie mniejszymi możliwościami niż wielkie instytucje finansowe, które stać choćby na kampanie marketingowe w mainstreamowych mediach, promujące cyfrowe płatności. Próbujemy dać im odpór i pokazać inną perspektywę. Na szczęście zdecydowana większość Polaków, bo aż 80 proc., nie chce likwidacji gotówki – tak wynika z badania Instytutu Badań Rynkowych i Społecznych IBRiS przeprowadzonego dla Radia ZET w 2023 roku.

My, jako Koalicja dla Gotówki, nie zamierzamy nikomu zabraniać płatności z pomocą mikrochipów, BLIK-ów, linii papilarnych, czy – wkrótce – z pomocą tęczówki oka. Ale jesteśmy przekonani, że obywatele mają prawo wyboru papierowego pieniądza.

Dlaczego walczycie o gotówkę?

W grę wchodzą nie tylko argumenty wolnościowe, czyli mniejsza kontrola ze strony rządu czy starych i nowych instytucji finansowych, które bardzo chciałyby wiedzieć, gdzie, co, za ile i od kogo kupujemy. Istotna jest kwestia, którą nazwę przeciwdziałaniem wykluczeniu gotówkowemu.

Na czym ono polega?

W drugiej połowie lat 90. w ramach kampanii „Tiry na tory" przestrzegaliśmy przed narastającym wykluczeniem transportowym. Nikt nas wówczas nie chciał słuchać, a chwilę później nastąpiła wielka likwidacja transportu publicznego, która doprowadziła do wielu problemów społecznych i gospodarczych na znacznych obszarach Polski. Temat w debacie publicznej zaistniał po ćwierć wieku. Wciąż zmagamy się z fatalnymi skutkami braku dobrego dostępu do szpitala, urzędu i pracy. Nie bez powodu na problem zwrócił uwagę Rzecznik Praw Obywatelskich –

eprasa.pl 639267e58f

Marcin Wiącek. RPO podkreśla, że jedna trzecia obywateli jest wykluczona transportowo. W tym miejscu warto przypomnieć, że według szacunków NBP aż 10 proc. Polaków nie posiada konta bankowego.

Podobna sytuacja może mieć miejsce, jeśli chodzi o wykluczenie gotówkowe. Nikt nie zaprzeczy, że gotówka jest w obiegu gospodarczym. Słychać głosy polityków, że powinna być wpisana do konstytucji. I dobrze, żeby tak się stało. Ale niech nas to nie uśpi.

▶ W jakim sensie?

Z gotówki coraz trudniej jest korzystać. Nie korzystam z karty płatniczej, nie używam BLIK-a do płatności, nie mam smartfona. Wiem dobrze, jak wygląda codzienność osoby, która stale posługuje się gotówką.

Przede wszystkim – ubywa bankomatów. W Polsce tworzą się tak zwane pustynie bankomatowe, rozrastające się okolice, w których nie można wypłacić gotówki, trzeba jechać nawet kilkanaście kilometrów, żeby znaleźć bankomat. Po drugie, z pomocą rosnących limitów wypłat i prowizji od nich utrudnia się, czyli zniechęca ludzi do wypłacania gotówki. Instytucje finansowe zarabiają na tych limitach ogromne pieniądze, z tym że właściciele bankomatów dostają niewielką kwotę, niewiele ponad złotówkę, resztę biorą banki...

▶ Z dostępnych w sieci wniosków z badania Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego wynika, że koszty utrzymania urządzeń rosną o wiele szybciej niż generowane przez nie przychody. To analiza z 2024 roku.

Od bardzo wielu lat prowizja dla właścicieli bankomatów jest na stałym poziomie, choć zdecydowanie wzrosły koszty operacyjne. Dlatego wielkie instytucje finansowe bardziej są zainteresowane upadkiem branży bankomatowej niż dzieleniem się z nią zyskami.

Kolejny problem to mała liczba niskich nominałów w sklepowych kasach.

▶ Nierzadko spotykam się w związku z tym z prośbami: „Nie mam wydać, nie chciałby Pan zapłacić kartą?"...

I często pojawia się myśl: „Czy sprzedawczyni będzie w stanie wydać pieniądze". Tego rodzaju problemy są zdecydowanie większe w mniejszych miejscowościach i na obszarach wiejskich. To wszystko prowadzi do tak zwanej spirali śmierci. Większa powierzchnia pustyń bankomatowych, brak gotówki o małych nominałach w sklepach, wysokie nominały gotówki wypłacanej w bankomatach – wszystko to utrudnia codzienne korzystanie z tradycyjnego pieniądza. W efekcie przestajemy wierzyć, że gotówka daje nam swobodę dokonywania płatności, a jej obrót w naszych codziennych transakcjach się zmniejsza. Brak popytu na gotówkę wygasza jej podaż. A to z kolei przyczynia się do powiększania powierzchni pustyń bankomatowych i wzrostu wykluczenia gotówkowego. Wyzwanie polega na tym, że politycy i duże media, podobnie jak przed laty w sprawach wykluczenia komunikacyjnego, kompletnie się tym nie przejmują.

▶ Kiedy myślę o sojusznikach gotówki, wyobrażam sobie nie tylko właścicieli zieleniaków w miasteczkach, rzemieślników wykonujących odchodzące w przeszłość zawody, lecz także ludzi intuicyjnie świadomych zagrożeń, jakie powstają dla naszej prywatności w kapitalizmie inwigilacji. Jaka jest Pana perspektywa w tych sprawach?

„Naturalni sojusznicy" gotówki to dziś seniorzy. Wiele osób wciąż odbiera emerytury przez listonosza. W mniejszych miejscowościach takich ludzi jest mnóstwo.

Nie zapominałbym też o Poczcie Polskiej, której powinniśmy bronić rękoma i nogami. To kluczowy aktor, jeśli chodzi o system dystrybucji gotówki w Polsce. Nie wiem, na ile pracownicy tej instytucji zdają sobie sprawę, że mają w nas sojuszników i odgrywają ważną rolę w systemie obrotu gotówkowego. Usługa przekazów pocztowych w 2023 roku przyniosła ponad 360 mln złotych przychodów za sprawą obywateli preferujących gotówkę. Takich usług było 35 mln, czytamy w raporcie Urzędu Komunikacji Elektronicznej. Niestety ubywa placówek pocztowych. Według stanu na dzień 31 grudnia 2023 roku Poczta Polska posiadała 7620 placówek pocztowych, z tego 2453 placówek na terenach wiejskich (tj. w gminach wiejskich), natomiast 5167 placówek zlokalizowanych było w miastach. W 2012 roku placówek na wsiach było 4399, a w miastach 4060.

Zwolennikiem gotówki, o dziwo, nierzadko jest młodzież. Przykładowo, jak wynika z badań instytutu IFOP dla Mennicy Paryskiej, we Francji 61 proc. rodziców przekazuje swoim dzieciom kieszonkowe w gotówce. Młodzi czują się dzięki niej mniej kontrolowani przez rodziców. To ma swoje jasne i ciemne strony.

No i wreszcie zwolennikami gotówki są ludzie, którzy mają wolnościowe podejście do spraw społeczno-gospodarczych. Uważają, że jest ona jednym z ostatnich bastionów wolności w otaczającym nas świecie, zdominowanym przez potęgi polityczne i finansowe.

▶ A lewica?

Środowiska lewicowe na ogół mocno rozczarowują. Mogłoby się wydawać, że lewica z gruntu powinna stać po stronie ludzi słabszych, broniących się przed dominacją wielkiego kapitału. Powinna dostrzegać wykluczenie gotówkowe. Z przykrością stwierdzam, że w swojej masie lewica w Polsce tego problemu nie widzi; atakuje gotówkę,

eprasa.pl 639267e58f

chętnie mówiąc o szarej strefie, przestępczości zorganizowanej, nieuczciwości wobec fiskusa. A to są mocno przesadzone obawy.

▶ Kto jeszcze chce bronić gotówki?

Patrząc szerzej – zwolennikami gotówki są ludzie, którzy mają jeszcze instynkt samozachowawczy i rozumieją, że musimy mieć alternatywę wobec cyfrowych rozwiązań finansowych. Podkreślę raz jeszcze: deklaratywnie ponad 80 proc. Polaków jest za gotówką. Ale jeśli będziemy tylko o tym mówić, a na co dzień korzystać wyłącznie z cyfrowych płatności, to najlepsze chęci nic nie dadzą.

Dlatego niedawno wystosowaliśmy do rządu apel, żeby w poradniku kryzysowym, który w tym roku w wersji papierowej ma trafić do wszystkich polskich gospodarstw domowych, znalazł się zapis nie tylko o tym, że gotówkę warto mieć w domu, ale żeby jej używać na co dzień.

Za poprzedniej władzy powstał podobny poradnik w wersji cyfrowej: plus był taki, że podkreślono w nim, iż warto mieć w domu gotówkę. Ale w znanym również w polskiej wersji szwedzkim poradniku mowa o tych dwóch sprawach: trzymaj gotówkę w domu i używaj jej od czasu do czasu.

▶ To może wynikać z faktu, że Skandynawowie muszą na nowo „nauczyć się" korzystania z pieniędzy, tam cyfryzacja finansów jest bardzo mocna.

Nie możemy polegać na samych deklaracjach obywateli, skoro wykluczenie gotówkowe się pogłębia. Co z tego, że mówimy, iż gotówka jest dla nas ważna, skoro po cichu znika ona z obiegu?

▶ Powróćmy do globalnej ekonomii. Skąd presja współczesnych instytucji finansowych i gigantów globalnych technologii na cyfryzację świata finansów?

Dużą zmianę wywołało pojawienie się fintechów. To rewolucyjna zmiana nawet w porównaniu z big techami, czyli gigantami cyfryzacji. Połączenie instytucji finansowych i firm technologicznych stworzyło nowego potężnego gracza rynkowego. Im mniejsza rola gotówki, tym łatwiej o automatyzację globalnych przepływów finansowych, tym łatwiejsza gra na giełdach, która bazuje głównie na spekulacji ponad głowami miliardów zwykłych ludzi. Olbrzymim wsparciem dla tego rodzaju coraz bardziej przyspieszających procesów jest sztuczna inteligencja – mało się o tym mówi w dyskusjach o zagrożeniach związanych z AI.

▶ Yanis Varoufakis na kartach „Technofeudalizmu" przypomina, że w ostatnich dekadach XX wieku komputery umożliwiły finansistom przeprowadzanie bardziej złożonej gry na giełdzie, co wprowadziło nowe, gigantyczne ryzyka do rynkowej gry. Ze sztuczną inteligencją możliwości spekulacji tylko wzrosną.

Jacques Ellul, teoretyk chrześcijańskiego anarchizmu, wskazywał: „Jałowe jest zwalanie wszystkiego na kapitalizm. Nasz świat nie jest tworem kapitalizmu, stworzyła go maszyna. Mozolne badania zmierzające do udowodnienia czegoś przeciwnego utopiły tę oczywistą prawdę w morzu publikacji". Największe i najtwardsze pazury mają technika, technologie i maszyny. W naszych realiach to maszyny cyfrowe, które – choć są fizyczne – za pomocą wirtualnych procesów coraz mocniej zmieniają materialny świat.

Tak zwany wolny rynek w obecnej formie nie mógłby funkcjonować, gdyby nie coraz bardziej zaawansowane technologie. To może zabrzmieć dystopijnie, ale na przeszkodzie jego dalszemu rozwojowi stoją człowiek i jego materialne formy aktywności, takie jak rzekomo coraz bardziej zbędna praca umysłowa i fizyczna i posługiwanie się gotówką. W końcu się okaże, że jesteśmy największym błędem systemu [śmiech].

▶ Eksperci mówią o piątej fali rewolucji przemysłowej. Czy jako obrońcy gotówki nie stawiamy się w pozycji luddystów, w początkach XIX wieku niszczących maszyny angielskich przemysłowców?

W lutym 1812 roku lord Byron wygłosił swoje przemówienie w Izbie Lordów. W płomiennej mowie bronił luddystów, sprzeciwiał się odbieraniu pracy, godności i chleba robotnikom, tłumacząc, że nie wolno poświęcać ludzkości dla rozwoju mechanizacji. Po ponad dwóch wiekach stają przed nami podobne zagadnienia, ale skala konsekwencji gwałtownie wzrosła.

Serce i rozum mówią mi jedno: może sprawa jest przegrana, ale warto o nią walczyć, bo jestem człowiekiem, a nie zakładnikiem maszyn. A przecież nigdy nie wiadomo, co może zdarzyć się dalej, szczególnie w naszych czasach, gdy świat poznaje coraz to nowe zagrożenia. Łatwiej możemy sobie dziś wyobrazić, że infrastruktura cyfrowa zostaje porażona totalnym kryzysem.

▶ W książce „Cloudmoney. Gotówka, karty, krypto. Wojna o nasze portfele" Brett Scott wskazuje, że cyfryzacja świata finansów przybliża nas do upadku demokracji. Wielu konsumentów nie dostrzega, że zanika nawet samo pytanie o możliwość oddziaływania na procesy gospodarcze przez zwykłych ludzi.

Kto czytał „Krótką historię postępu" Ronalda Wrighta, odpowie: „A dlaczego miałoby być inaczej?". Cywilizacyjne przesilenia w odróżnieniu od „końca historii" dzieją się naprawdę. A ludzie niesieni poczuciem komfortu nie chcą mierzyć się z rzeczywistością i stawiać oporu.

eprasa.pl 639267e58f

Dlatego uważam – wracając do praktycznej strony zagadnienia – że świadomie używana gotówka jest narzędziem ludzi wolnych, którzy chcą stanowić o sobie. Tym bardziej, że w większym stopniu uczy świadomego korzystania z finansów, którymi dysponujemy. Cyfrowy pieniądz sprzyja łatwej konsumpcji, kompulsywnym zachowaniom klientów.

Polityczne wybory mamy raz na kilka lat. Rzadziej myślimy o tym, że jako obywatele możemy wybierać codziennie określone produkty i usługi. Jestem przekonany, że pieniądz cyfrowy jest bliżej konsumenta, który bezrefleksyjnie kupuje to, co podsuwa mu się dziś choćby z pomocą ekranu smartfona, a gotówka – bliżej świadomego obywatela. Z badania „Preferencje płatnicze Polaków 2024" zamówionego przez PolCard wynika, że ludzie, którzy chętnie korzystają z gotówki, cenią ją za to, że lepiej pozwala im zarządzać budżetem domowym. Ma to psychologiczne uzasadnienie – mniej impulsywnie dokonują zakupów.

▶ Nasuwa się pytanie o projekty edukacyjne dotyczące gotówki.

W nowej Krajowej Strategii Edukacji Finansowej znalazła się kwestia dotycząca gotówki, ale to kropla w morzu potrzeb.

Niestety, jako Koalicja dla Gotówki spotykamy się z kuriozalnymi sytuacjami. Przygotowaliśmy spot promujący gotówkę i zaproponowaliśmy go telewizji publicznej. TVP go zablokowała, ponieważ jej eksperci zarzucili nam, że mówimy tylko o gotówce, a zapominamy o cyfrowych formach płatności. Odwołaliśmy się od tej decyzji, pokazując, że na przestrzeni wielu lat lobby bezgotówkowe bez problemu publikowało w telewizji publicznej spoty, w których promowano cyfrowe płatności, nie wspominając ani słowa o gotówce. W efekcie odblokowano materiał i pokazano go na wszystkich antenach TVP.

Ale siły są zdecydowanie nierówne: z raportów VISA wynika, że rocznie korporacja wydaje miliard dolarów na promocje i komunikację.

▶ Częstym argumentem za ograniczaniem obiegu gotówki jest to, że to pieniądz poza kontrolą. Wspominaliśmy już o tym – można go wykorzystywać do oszukiwania fiskusa, finansowania terroryzmu, przestępczości zorganizowanej, wojen tradycyjnych i hybrydowych. Nie sądzę, że powinniśmy bagatelizować tego rodzaju obawy.

W tej sprawie mamy do czynienia z walką na raporty. Przykładowo w raporcie „The case for cash – part 1 and 2 – Myths Despelled and Justification", opublikowanym przez Currency Research, autorzy wskazują na brak dowodów na to, że płatności gotówkowe sprzyjają szarej strefie i przestępczości.

W takich sprawach zawsze warto dodatkowo zapytać o to, kto najwięcej zyska, a kto straci na decyzjach prowadzących do jeszcze większego ograniczenia roli gotówki w lokalnych i globalnej gospodarce. Zdrowy rozsądek podpowiada, że szala przechyla się na stronę zysków gigantów finansowych, którym zależy na skrajnym osłabieniu papierowego pieniądza.

▶ Jakie jest nastawienie unijnych ośrodków władzy wobec gotówki? Jak w tym odnajduje się Polska?

Zgodnie z decyzjami Unii Europejskiej w 2027 roku zostanie wprowadzony limit płatności gotówkowych do sumy 10 tys. euro. Płatność gotówką powyżej tej kwoty nie będzie możliwa. Co więcej, poszczególne kraje unijne mogą jeszcze obniżyć ten limit. W tej ostatniej sprawie dużo zależy od nacisku społecznego na elity poszczególnych państw, również w Polsce. Co więcej, w naszym kraju każda transakcja gotówkowa powyżej 3 tys. euro będzie musiała być zgłaszana do Generalnego Inspektora Informacji Finansowej. Warto pamiętać, że w UE blisko 30 mln osób dorosłych nie posiada rachunku bankowego.

Pyta Pan o polskie realia, nastawienie naszych władz. Mówiąc wprost, jesteśmy niesuwerenni w tych kwestiach. Reguły gry przychodzą z zachodnich centrów finansowych. Tam zapadają kluczowe decyzje. I jeszcze jedna sprawa: nie pomylę się pewnie, jeśli powiem, że znakomita większość naszych polityków nie używa na co dzień gotówki. A to także wpływa na ich perspektywę w tej sprawie. Tak jak nie korzystają z transportu publicznego, więc nie widzą ludzi wykluczonych transportowo. Gruby chudego nie zrozumie.

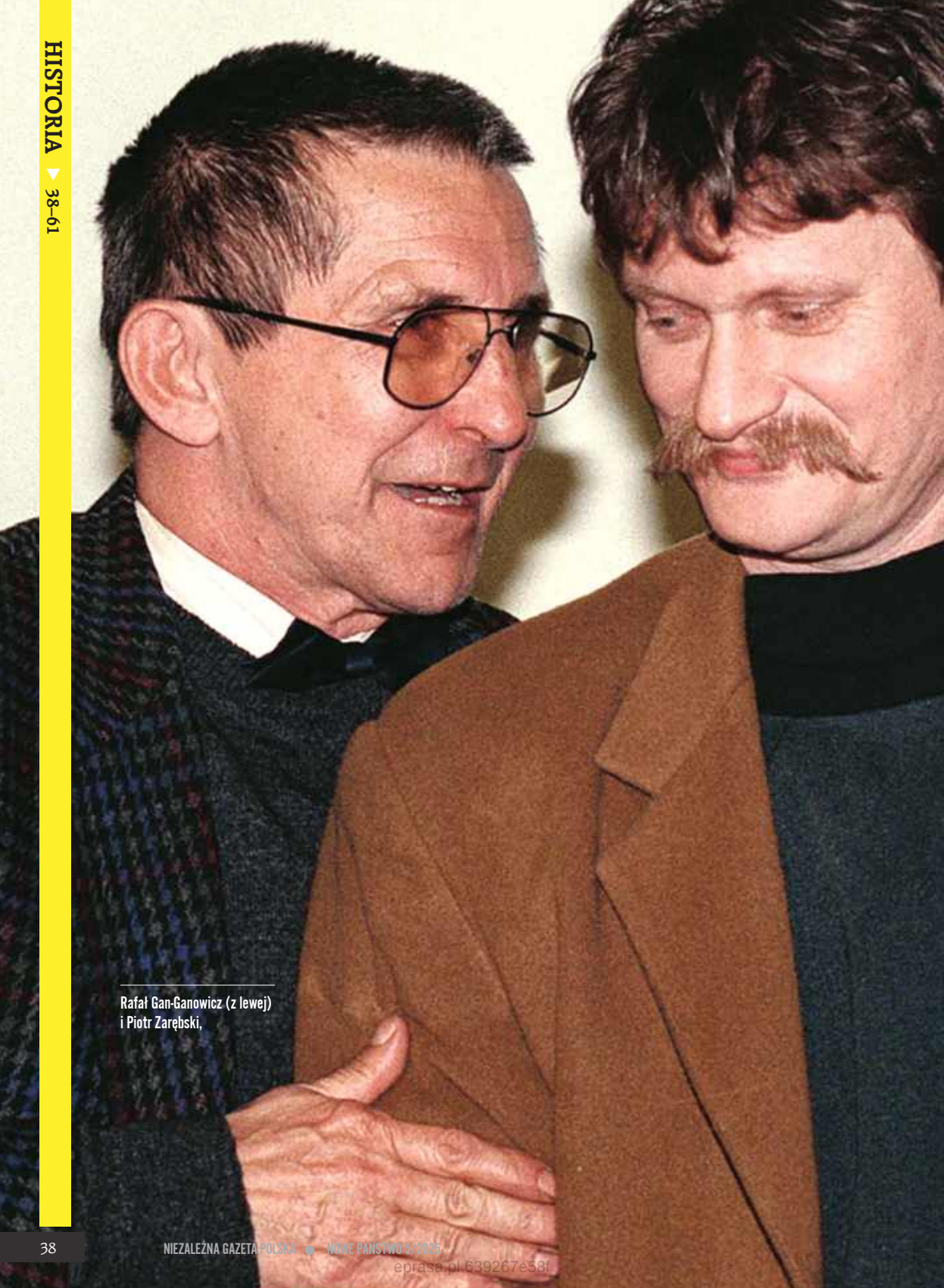
▶ Czego jako wyborcy powinniśmy wymagać od polityków w sprawach gotówki?

Przede wszystkim tego, żeby w najróżniejszych debatach publicznych mieli wolę jej bronić. Nawet jeśli podporządkowują się unijnym ustaleniom, powinni jasno deklarować, że wybór w tej sprawie jest ważny. I gwarantować go współtworząc polskie prawo.

W gestii polityków leży także promowanie publicznych rozwiązań, które umożliwiają korzystanie z gotówki. Prosty przykład – automaty płatnościowe, zamawiane przez instytucje publiczne, zarówno na poziomie krajowym, jak i samorządowym, powinny umożliwiać płatności gotówką. Dziś nagminnie zdarzają się sytuacje, choćby w komunikacji publicznej, że istnieje wyłącznie możliwość płatności kartą.

I wreszcie, mamy prawo oczekiwać, by politycy dawali dobry przykład i na co dzień sami płacili gotówką. A nie tylko wówczas, gdy przy okazji kampanii wyborczej pokazują się na ryneczku. ■

eprasa.pl 639267e58f



Rafał Gan-Ganowicz (z lewej) i Piotr Zarębski,

eprasa.pl 639267e58f



Piotr Lisiewicz



Prywatna wojna z komunizmem Rafała Gan-Ganowicza

„Nienawidziłem ich. Za prześladowanie patriotów, za mordowanie akowców, za zaplutego karła reakcji. Miałem trochę starszego kolegę, chodził o kulach, ranny w powstaniu, odznaczony. Gdy zgłosił się do odpowiedniej instytucji z prośbą o stypendium jako sierota i inwalida, czerwony urzędnik zrzucił go ze schodów wyzywając od bandytów. Jego – kalekę, bohatera" – pisał Rafał Gan-Ganowicz. Wielu ideowych pobratymców owego „czerwonego urzędnika" zapłaciło za jego bestialstwo śmiercią z rąk polskiego najemnika. „Nie wiem, jak to jest zabić człowieka… zabijałem tylko komunistów" – mawiał Gan-Ganowicz.

FOT. ANDRZEJ RYBCZYŃSKI/PAP/CAF

eprasa.pl 639267e58f

Psy wojny? Na pewno. Wojna była ich żywiołem, narkotykiem. Najemnicy? Niezupełnie. Jeśli najemnik jest w stosunku do żołnierza tym, czym prostytutka w stosunku do kochanki – to autentycznych najemników wśród nas nie było. Ci żołnierze nie sprzedawali się ani każdemu, kto płacił, ani nawet temu, kto płacił więcej" – pisał o swoich ludziach Rafał Gan-Ganowicz w książce „Kondotierzy".

„Słuchałem historii Rafała tak, jak słucha się Chopina"

Gdy w 1997 roku powstał film Piotra Zarębskiego „Pistolet do wynajęcia, czyli prywatna wojna Rafała Gan-Ganowicza", w czasie jego kolaudacji pewien pracownik telewizji publicznej mówił zdenerwowany: „Ja wiem, kto to jest!… Muszę panu powiedzieć, że sposób, w jaki opowiadana jest historia i sytuacja Okrągłego Stołu – bo pan to pomija… z czerwonymi żadnego paktowania! Latarnie! Sznury! Wieszanie!... Taka jest ideologia… To znaczy pan byłby za tym: utopić wszystko we krwi, żadnego dogadywania się z czerwonymi!" (relacja „Rzeczpospolitej").

W tej ostatniej sprawie pracownik telewizji publicznej miał wiele racji. Rafał Gan-Ganowicz nigdy nie zapomniał, że Niemcy zabili mu najpierw matkę, a potem, w Powstaniu Warszawskim, ojca, a Rosjanie dobili jego ojczyznę. Z wielką radością odpłacał im za to w Jemenie, organizując oddziały tzw. łowców czołgów. Pisał o tych walkach: „Trzeci czołg rozwaliłem nieco później. Wówczas już trudno było zrobić zasadzkę. Nauczeni doświadczeniem Sowieci przestali jeździć nocami, a w dzień poruszali się tylko pod osłoną piechoty. Jednakże moi »łowcy czołgów« rozeszli się po Jemenie i długo jeszcze dochodziły mnie echa ich wyczynów. Po niedługim czasie pancerz nigdzie nie gwarantował Sowietom bezkarności, do jakiej przywykli. Płacili teraz śmiercią za udział w najeździe na ten wolny kraj. Byłem dumny, że się do tego przyczyniłem. Przeżywałem okres euforii: nareszcie ONI ginęli z ręki Polaka".

Gan-Ganowicz świetnie rozumiał, co naprawdę zagraża Sowietom. Realna walka z komunizmem wolna od nacjonalizmów: „Z komunizmem walczyć można i trzeba wszędzie tam, gdzie ten rak zagraża jakiemuś społeczeństwu. Na międzynarodówkę komunistyczną odpowiedzieć międzynarodówką antykomunistyczną. Walczyć, a nie kibicować".

Anonimowy autor „Rzeczpospolitej" – bo pisząc w postkomunistycznej III RP o Gan-Ganowiczu lepiej było być anonimowym – tak ujmował swoje odczucia z nim związane: „Słuchałem historii Rafała tak, jak słucha się Chopina. Odzywała się Polska, która wydawała się już nie istnieć".

Rafała Gan-Ganowicza miałem szczęście poznać osobiście, to była impreza po którymś tam „leciu" Solidarności Walczącej. Ktoś mógłby nie uwierzyć, że ten nikczemnego, niczym Pan Wołodyjowski, wzrostu starszy pan to legendarny dowódca oddziałów pacyfikujących komunistyczne rewolucje w różnych krajach świata. Był ode mnie starszy o równo 40 lat, ale zarówno mnie, jak i moją ekipę z Naszości, która organizowała happeningi wyśmiewające postkomunizm, traktował po prostu jak młodszych kolegów. Zero pozerstwa, tylko ironiczne podejście do postkomunistycznego świata, który jest sztuczny, nadymany, absurdalny. I naturalna bliskość z tymi, którzy to rozumieją i kombinują, jak przekonać do tego młodsze od niego o pół wieku pokolenie.

Był dokładnie taki, jak opisywał anonimowy autor tekstu w „Rzeczpospolitej" w 2008 roku: „Poruszał się sprawnie, prawie po kociemu. Czuło się w jego obecności potężny zasób energii. Był namiętnym palaczem. Lubił whisky i wino. Wystarczyło zamienić z nim kilka zdań, aby wiedzieć, że ma się do czynienia z kimś bezpośrednim i bezpretensjonalnym".

Czarownik, czyli lekarz po uniwersytecie w Czechosłowacji

Niesamowicie dla Europejczyka, nawet takiego, który żył w komunistycznej niewoli, brzmią opisy Gan-Ganowicza dotyczące metod, jakimi Sowieci budowali swoje wpływy w Afryce. Odpowiednikami Jaruzelskiego czy Kiszczaka byli tam bowiem przeszkoleni przez Sowietów… szamani. Moskwa od setek lat stosując tę samą metodę dywersji i rozkładania narodów, które mają być podbite, wypracowała jej afrykańską odmianę. Jak spowodować, by mieszkańcy Konga chcieli komunistycznej rewolucji?

„Czarownicy byli różni. Jeden z moich oddziałów zdobył mały obozik w dżungli i tam złapali potwornie umalowanego, uszminkowanego dzikusa, w małpie skóry odzianego. Na szyi miał jakieś amulety, jakieś kły zwierząt, jakiś woreczek z krokodylej skóry, jakieś zioła w nim. Kompletny dzikus półnagi, którego przyciągnięto do mojego obozu, gdzie wyczyniał dzikie krzyki i strasznie się szamotał. Kazałem mu zerwać ten amulet z szyi. W tym woreczku znalazłem bardzo dziwny dokument. Był to dyplom ukończenia Wydziału Medycznego Uniwersytetu w Pradze. Miałem jeszcze jeden niezbity, oczywisty dowód, że po pierwsze wykorzystywano stypendia krajów zwanych socjalistycznymi na to, żeby werbować rewolucjonistów na cały świat. Po drugie, chytrość czerwonego polegała na tym, żeby przekształcić ukończonego medyka

eprasa.pl 639267e58f

w czarownika, bo czarownik może wzbudzić większy entuzjazm niż lekarz. I oto człowiek, który się uczył, jak leczyć ludzi, złożył przysięgę Hipokrata, przyjechał nie tylko zabijać, ale zmuszać innych do zabijania. Ot, tak się toczą dzieje, o których dzisiaj nic nie wiadomo. Tak się toczyły walki, tak zwane wyzwoleńcze, w krajach Trzeciego Świata" – opowiadał w filmie „Pistolet do wynajęcia, czyli prywatna wojna Rafała Gan-Ganowicza".

Potem poznał więcej szczegółów na temat pojmanego rzekomego „dzikusa". „Znacznie później dowiedziałem się, że młody Masutu, bo tak nazywał się naprawdę, rzeczywiście skończył studia jako stypendysta w Czechosłowacji. A że dobrze się zapowiadał albo spisywał – wysłano go do Leningradu i tam przygotowano do roli, jaką miał odegrać w Kongo. Było to w latach pięćdziesiątych. Nikt jeszcze nie mówił o niepodległości belgijskiej kolonii. Sowieci na zapas kształcili agenta, który, choć lekarz, nie wahał się wysyłać swych rodaków na pewną śmierć'" – pisał w „Kondotierach".

Dzikusy lepsze od sowieciarzy

Rafał Gan-Ganowicz urodził się 23 kwietnia 1932 roku w Wawrze, dziś dzielnicy Warszawy. Pochodził z rodziny o korzeniach tatarskich, posługującej się herbem Rawicz. Ojciec Rafała był żołnierzem Legii Cudzoziemskiej, który zrobił majątek w Argentynie. Gdy Rafał miał 7 lat, podczas kampanii wrześniowej z rąk Niemców zginęła jego matka, a gdy miał 12 lat, w Powstaniu Warszawskim poległ ojciec. „Ojciec zostawił mnie w piwnicy, między kobietami i dziećmi, które w tej piwnicy się gnieździły. Kazał mi tam na siebie czekać i poszedł wziąć udział w Powstaniu. I nigdy więcej nie wrócił... Miałem wtedy 12 lat... Strata ojca była dla mnie okropnym ciosem, zwłaszcza że nie miałem żadnej rodziny... nie miałem na kim się oprzeć" – mówił w rozmowie z Jackiem Indelakiem na portalu abcnet.com.pl.

Nastolatek z pistoletem w kieszeni chodził po zburzonej Warszawie, spotykając Rosjan i widząc ich barbarzyństwo. Wspominał ten czas: „Kto widział przemarsz Armii Czerwonej pod koniec drugiej wojny światowej, ten nigdy nie zapomni sowieckiego wandalizmu. Czego sowieciarz nie mógł ukraść, to niszczył. Dlaczego tak strasznie niszczyli? Czyżby pchała ich do tego zazdrość, że ktoś mógł żyć w warunkach, jakie oni, obywatele przodującego kraju, widywali tylko w kinie? A może jest to natura sowieckiego człowieka, napędzanego wódką. Nie wiem. Ale barbarzyństwo sowieckie pamiętam".

Później porównując Armię Czerwoną z najemnikami w Afryce, pisał: „Nawet dyscypliny nie było w tym wojsku, a jak była, to taka dyscyplina, że oficer żołnierza w pysk rżnął, a tak to wszystko rozchełstane, rozlazłe... Potem, będąc w krajach tak zwanych dzikich, porównywałem zachowanie się dzikusów autentycznych w dżungli z tłumem tej soldateski sowieckiej, i zauważyłem, że żądza niszczenia cudzego dobytku u prawdziwych dzikusów nie istnieje, a tam była na każdym kroku".

Jak mówił, za sprawą tych obserwacji został antykomunistą. „Nigdy nie pogodził się z tym, że hitlerowcy zniszczyli mu rodzinę, a bolszewicy odebrali mu kraj. Nie pogodził się. Wyruszył na prywatną wojnę, gdy tylko nadarzyła się sposobność" – pisał o jego motywacjach Jacek Indelak.

„Ubecy stali się mniej odważni"

W 1948 roku założył z grupą nastoletnich rówieśników konspiracyjną antykomunistyczną organizację młodzieżową, która wzorując się na harcerskim małym sabotażu, kolportowała ulotki i malowała napisy na murach. Robili też grubsze akcje – rozbrajali milicjantów i przekazywali broń antykomunistycznemu podziemiu.

„Tajniacy z Urzędu Bezpieczeństwa nie próbowali nas nawet zatrzymać. Strzelali jak do kaczek. Jeden z kolegów został ranny w płuco, innemu przestrzelili kolano. Jeszcze innego dobili na śledztwie. Nikogo nie wydał. Postanowiliśmy się bronić. W ścisku tramwajowym kradliśmy milicjantom pistolety. Rozbroiliśmy w ciemnej ulicy sowieckiego żołnierza. Przy naklejaniu plakatów był teraz kolega w »obstawie«. Gdy strzelano do nas, ukryta w ruinach »obstawa« odpowiadała ogniem. Ubecy stali się mniej odważni" – wspominał.

24 czerwca 1950 roku został ostrzeżony przez kolegę o tym, że jego organizacja została rozpracowana przez UB. „Do mieszkania wrócić nie mogłem, a tam miałem pieniądze i broń… Mój młody przyjaciel zgodził się wynieść z mieszkania pieniądze i pistolet. Gwiżdżąc głośno, pobiegł i zniknął w czeluści klatki schodowej. Na ulicy nikt nie drgnął. W chwilę później miałem przy sobie sporą sumę pieniędzy, a pasek od spodni obciążył mi Walter P38" – pisał.

Planował ucieczkę do Wrocławia. Na dworcu zmienił zamiary. Z pistoletem w ręku, podwiesił się pod pociągiem i tak jakimś cudem dotarł do Berlina. „Kurz sypał się ciągle. Musiałem zamknąć oczy. I tak mknąłem w ciemnościach, ciepłej na szczęście nocy, obrzucany żwirem i ogłuszony hukiem kół... Przeklinałem swój pomysł. Ogarniały mnie wątpliwości, czy gdziekolwiek dojadę. A nawet jeśli tak – to mnie złapią. Ale żywy się nie oddam. Postanowiłem mocno, że jeśli mnie wykryją, to sprzedam drogo swoją skórę. Powo-

eprasa.pl 639267e58f

li, z trudem zacząłem drzeć na drobne kawałki wszystkie dokumenty i papiery, jakie miałem przy sobie. Na wszelki wypadek. By nie ułatwić im identyfikacji zwłok. Nienawidziłem ich" – myślał.

Przedostał się do zachodniej strefy okupacyjnej. Wstąpił do amerykańskiej służby wartowniczej.

Walka o Kongo

Potem wyjechał do Francji. W latach 1955–1957 uczęszczał na kurs maturalny w gimnazjum Polskiej Wojskowej Misji Likwidacyjnej w Les Ageux. A w tajnych koszarach NATO w Paryżu i Lyonie ukończył kurs oficerski połączony z przeszkoleniem spadochroniarskim. Był przygotowywany do desantu w Polsce i organizowania partyzantki antykomunistycznej w razie wojny z Sowietami. Awans na podporucznika odebrał 11 listopada 1959 roku w Londynie z rąk generała Władysława Andersa. Potem pracował jako nauczyciel języka polskiego w liceum w Les Ageux.

W czerwcu 1965 roku w ambasadzie kongijskiej w Brukseli zaciągnął się na roczny kontrakt do wojsk Moïse Tshombego, premiera Konga i przywódcy secesyjnej Katangi. „Ze szklanką whisky w ręku wsłuchiwałem się w płynące z miasta dźwięki, chłonąłem zapach tropików… Miasto zdawało się drgać w takt tego rytmu. Leopoldville, stolica Konga… Całym organizmem czułem oczekującą mnie Wielką Przygodę. Z dołu dobiegała śpiewana przez kilka głosów melodia I Pułku Spadochroniarzy Legii Cudzoziemskiej. To moi przyszli współtowarzysze, których alkohol przeniósł w czasy, gdy walczyli gdzie indziej" – pisał w „Kondotierach".

Dowodził 21. batalionem w walce Simbami. Współpracował z innymi polskimi najemnikami, takimi jak Józef Swara, kpt. Kazimierz Topór-Staszak i por. Stanisław Krasicki. Był jednym z dowódców obrony Stanleyville, a po odsunięciu Tshombego przez generała Mobutu Sese Seko w listopadzie 1965 roku został wysłany do Bukavu, stolicy prowincji Kivu, gdzie trwała do lipca 1966 roku ofensywa przeciw Simbom pod nazwą Operation South. Wiosną 1966 roku z Toporem-Staszakiem i Krasickim przeprowadził przeciwko powstańcom zakończoną sukcesem operację „Znicz" na bagnach rzeki Ruzizi.

„Ulele maj, ulele maj, fale oszalałych murzynów szły, biegły, padały. Podrywały się znowu rycząc i strzelając na oślep, zbliżały się niebezpiecznie. Zamontowany na jeepie karabin maszynowy drgał w moich rękach krótkimi seriami. Pot zalewał mi twarz i tylko strasznym, niemal nadludzkim wysiłkiem woli, tłumiłem ogarniającą mnie panikę. Bałem się tego strasznego tłumu, który wrzeszcząc szedł na mnie prawie niewidoczny, oszalały, podniecony własnym krzykiem… Nie zagrzać lufy, oszczędzać amunicję, z rozwagą, skutecznie… czarna fala nadchodzi, zaraz nas zaleje, pół taśmy, jest już blisko, już muszę zataczać lufą większy łuk. Taśma się kończy… śmierć?" – wspominał.

Z upoważnienia generałem Andersa projektował z Tshombem powojenną odbudowę Konga przy pomocy kadr polonijnych. Na rozkaz swojego dowódcy, Boba Denarda, powrócił do Europy w 1966 roku.

Żyć jak lew, nie jak zając

W rozmowie z Indelakiem mówił: „Ostatnie wojny światowe, miliony zabitych, miasta spalone, pozabijane kobiety i dzieci – to jest koszmar. Ja nie jestem zwolennikiem wojny, nie lubię wojny. Nie lubię wojny, gdzie oprócz tych, którzy ją prowadzą, giną ludzie, którzy jej nie prowadzą. Żołnierz ewentualnie, można powiedzieć, jest od tego, żeby ginąć na froncie, ale nie jego żona czy córka. Wojny moje, to znaczy w Kongo czy w Jemenie, nie naruszały prawie ludności cywilnej. Nasza walka była tylko i wyłącznie wobec przeciwnika uzbrojonego. W obu przypadkach przeciwnik był lepiej uzbrojony niż my. Więc jeśliśmy wygrywali, to była to wojna na mózgi. To była wyższość naszej strategii, naszej taktyki. Wygrywało się inteligencją, nie bronią. Ta wojna ma zupełnie inny aspekt. To jest wojna, którą można porównać do przygód opisywanych przez Karola Maya, do gry w podchody, do wielkiej przygody. To jest wojna, która ma charakter dużo bardziej humanitarny, a z drugiej strony – dużo bardziej malowniczy".

Gdy wrócił do Francji, tej przygody zaczęło mu brakować: „Ciężko było wrócić pomiędzy zwykłych zjadaczy chleba, do których żywiłem podświadomie pewną pogardę i głębokie lekceważenie dla ich codziennych, ludzkich problemów. Lepiej było jeden dzień przeżyć jak lew niż całe życie jak zając – myślałem. I nie chciałem zgodzić się na pożegnanie z bronią. Od kilku miesięcy rosła we mnie tęsknota".

Polak z bronią w ręku naprzeciw Armii Czerwonej

Dlatego w 1967 roku dołączył do wojsk brytyjskich próbujących stłumić „powstanie" na terytorium Federacji Arabii Południowej. 28 listopada 1967 roku wojska brytyjskie opuściły Aden, stolicę Federacji, a dwa dni później niepodległość ogłosiła Ludowa Republika Południowego Jemenu. Działania grupy Gan-Ganowicza doprowadziły do zestrzelenia podczas misji bojowej samolotu sowieckiego pilotowanego przez pułkownika Kozłowa, dowódcę grupy doradców wojskowych przy marksistowskim Froncie Wyzwolenia Narodowego oraz Froncie Wyzwolenia Okupowanego Jemenu Południowego, wyznającym ideologię „arabskiego nacjonalizmu". Dokumenty znalezione przy Kozłowie, w tym wykaz żołnierzy radzieckich w Jemenie, były dowodem na aktyw-

eprasa.pl 639267e58f

ne wspieranie militarnej rebelii przez Sowietów, czemu Rosjanie zaprzeczali na forum ONZ.

Gan-Ganowicz pisał o walkach w Jemenie: „W mało znanym kraju, w wojnie, o której mało kto słyszał, po raz pierwszy od wielu lat – znów dane było Polakowi stanąć z bronią w ręku naprzeciw Armii Czerwonej. I los chciał, żebym ja właśnie był tym Polakiem".

Po powrocie do Francji zamieszkał w Paryżu. Przez pewien czas mieszkał w hotelu wraz z innym najemnikiem, bratem reżysera Adka Drabińskiego, później w Wandei i w Bretanii, w… przyczepie kempingowej Emile'a Tardivela. Pracował jako kierowca, elektryk i tłumacz. Jednocześnie działał w polskich organizacjach kombatanckich. W czasie sowieckiej interwencji w Afganistanie przygotował plan wsparcia afgańskich mudżahedinów przez ochotniczy legion międzynarodowy z udziałem polskich najemników.

Banda zdrajców przerodzona w cwaniaków

Ale 13 grudnia 1981 roku Jaruzelski wprowadził w Polsce stan wojenny. Gan-Ganowicz organizował manifestacje w obronie Solidarności. Został też korespondentem Radia Wolna Europa, występując pod pseudonimem Jerzy Rawicz.

W latach 80. został przedstawicielem Solidarności Walczącej we Francji i korespondentem Radia Wolna Europa. „Miał poglądy skrajne! W Monachium technicy go przeklinali, bo z uporem pisał: lewicowy dziennik Le Monde – słowo »lewicowy« trzeba było wycinać. W okresie okrągłego stołu popadł w konflikt z naszą monachijską dyrekcją, stanowczo odrzucał myśl o kompromisie z Jaruzelskim i – jak mawiał – z partyjną bandą zdrajców »przerodzonych« w cwaniaków'' – pisał na swoim blogu Maciej Morawski, również były korespondent RWE. W efekcie dyrekcja RWE usunęła go z anteny.

Prekursor Wojsk Obrony Terytorialnej

Jego książka „Kondotierzy" została wydana najpierw w drugim obiegu w 1988 roku, a następnie w 1989 roku przez Polską Fundację Kulturalną w Londynie. Zarządzeniem prezydenta RP na uchodźstwie Ryszarda Kaczorowskiego z 11 listopada 1989 roku został powołany na członka Rady Narodowej Rzeczypospolitej Polskiej z terenu Francji.

W lutym 1997 roku za sprawą filmu „Pistolet do wynajęcia" powrócił na stałe do Polski. Mieszkał w Józefowie pod Warszawą u rodziny Sikorów, a następnie w Falenicy. Jeździł po Polsce na spotkania z młodzieżą, nawiązał współpracę z Ligą Republikańską Mariusza Kamińskiego. Promował koncepcję obrony terytorialnej.

„Rafał Gan-Ganowicz był wielkim zwolennikiem obrony terytorialnej, chyba pierwszym w Polsce. Wzorem była dla niego organizacja Szwajcarii. Uważał, że każdy Polak powinien umieć posługiwać się bronią, a najlepiej, jeśli zrobi to na własnym terenie. To jego konik" – wspominał jego przyjaciel, poeta i muzyk Tadeusz Sikora. Przyjaźnił się także z opozycjonistką Ewą Kubasiewicz-Houée, która latach 80. dostała najwyższy wyrok 10 lat więzienia za rozpowszechnianie ulotki nawołującej do czynnego oporu przeciwko stanowi wojennemu.

W ostatnich latach życia przeprowadził się do Lublina, gdzie współpracował z Fundacją Młoda Demokracja oraz z Fundacją Szczęśliwe Dzieciństwo. Zmarł na raka płuca 22 listopada 2002 roku, w wieku 70 lat. Pogrzeb odbył się 26 listopada 2002 roku w Lublinie. Pochowany został na cmentarzu na Kalinowszczyźnie.

„Przeklęty Polak"

W III RP przywracanie dobrego imienia Rafałowi Gan-Ganowiczowi szło opornie. W 1996 roku Piotr Zarębski rozpoczął realizację cytowanego w tekście filmu „Pistolet do wynajęcia, czyli prywatna wojna Rafała Gan-Ganowicza". Choć scenariusz uzyskał akceptację Pierwszego Programu TVP, na kolaudacji w styczniu 1997 roku film przepadł. Pretekstem miała być… „pochwała przemocy". Zaprotestowało 62 posłów, którzy złożyli interpelacje w sprawie filmu. W efekcie został on pokazany w TVP, a tysiące widzów obejrzały go w czasie pokazów w całej Polsce.

W 2013 roku w Szczecinie powstał zespół muzyczny GAN, grający rockową muzykę patriotyczną i tożsamościową. Nazwa zespołu pochodzi od pseudonimu Ganowicza. Pierwszy album muzyczny grupy pod tytułem „Przeklęty Polak", wydany w 2014 roku, rozpoczyna utwór muzyczny „Gan", poświęcony właśnie osobie Rafała Gan-Ganowicza:

Nie dla takich życie proste – żona, praca, dom
Odgłos strzału, zapach prochu, nadał życia ton
Był mały, stracił, co kochał, nie miał już nikogo
Został mu pistolet, brak rodziny, domu
Ucieczka przed więzieniem z rąk sowieckich psów
Pod deską w pociągu, w mękach – niemal cud
Determinacja, upór, wywiodły go na zachód…
Celem życia zemsta, najlepszy w swoim fachu
Nieważne dla kogo, nieważne też z kim
Nienawiść do czerwonych wiodła w życiu prym
Kupić go chcieli kumple z Kuby Che
Spojrzał w oczy, łyknął whisky, krótko zaśmiał się
Bez zbędnych ideałów, partii, polityki
Toczył wielkie boje - mistrz walki i taktyki
Historia życia prawdziwego bohatera
Pamiętajmy Rafała Ganowicza - Kondotiera! ■

eprasa.pl 639267e58f

Pamięć wileńskich rojstów

Powieść „Rojsty" Tadeusza Konwickiego jest jedną z najbardziej obrzydliwych książek w polskiej literaturze, która w sposób niezwykle zafałszowany przedstawia tragiczny fragment polskiej historii dotyczący zagłady polskich Kresów w latach 1944–1945.



Dariusz Jarosiński





FOT. ANDRZEJ RYBCZYŃSKI/PAP

Rojsty" to autobiograficzna opowieść o działaniach polskiego oddziału partyzanckiego Armii Krajowej na Wileńszczyźnie po wkroczeniu na te tereny Armii Czerwonej. Akowcy ukazani przez Konwickiego to zbieranina typów spod ciemnej gwiazdy, włóczących się bez sensu po lasach i rojstach Wileńszczyzny. Partyzanci m.in. uczestniczą w rywalizacji, który zabije więcej białoruskich chłopów „sympatyzujących z bolszewikami". „Komendant" dopuszcza się gwałtu na małoletniej dziewczynie, córce gospodarzy, u których partyzanci kwaterują, i robi to na oczach niereagujących na ten czyn żołnierzy. Wśród partyzantów nie brakuje też antysemitów: „Tu około tysiąca Żydów przetrzymało niemieckie obławy. Bunkry były liche. Ale pomagali im widocznie partyzanci sowieccy, gdyż od naszych mogli oczekiwać tylko jednego: kuli w kołnierz". Sowieci to w ogóle bardzo dobrzy i sympatyczni ludzie, tak do końca to nawet nie wiadomo, o co ta walka się toczy.

Człowiek systemu

Konwicki wyśmiewa brak organizacji wileńskiej AK, a przecież żadne inne państwo w okupowanej Europie nie miało tak doskonale zorganizowanego ochotniczego podziemnego wojska. W kwietniu 1945 roku, kiedy na Kresach szalał sowiecki terror, wszyscy partyzanci z jego oddziału otrzymali od wileńskiej Legalizacji za pośrednictwem łączniczki lewe dokumenty i mogli bezpiecznie wyjechać pociągiem i znaleźć się 9 maja w Białymstoku. Konwicki wyraża się lekceważąco o polskim patriotyzmie, m.in. o powstaniu styczniowym i przedwojennych narodowcach; zarzucił współpracę z Niemcami bohaterskiemu majorowi „Łupaszce". Zakpił z ogromnego wysiłku polskiego podziemia niepodległościowego, broniącego przed okupantem sowieckim Kresów, broniącego ludzi przed zagładą, przed wywózkami do łagrów, na Syberię. Polacy z Wilna zachowują się jak hieny, które żerują na cudzym nieszczęściu, przeszukując mieszkania opuszczone przez tych, którzy wyjechali „do Polski". On, który tak zawsze deklarował swoje przywiązanie do ziemi wileńskiej, w tej książce po prostu wyparł się jej, wyparł się jej mieszkańców, Polaków, którzy nie pogodzili się z utratą swojej ojczyzny.

Konwicki napisał „Rojsty" w 1948 roku, mieszkając w pokoju warszawskiego hotelu Bristol, oddając się na służbę bolszewii, kiedy jeszcze istniało w Polsce silne podziemie antykomunistyczne, kiedy polscy patrioci byli mordowani w katowniach UB, a latem tego roku została podjęta przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego akcja „X" przeciw Wileńskiemu Okręgowi AK. Akcja „X" objęła swym zasięgiem kilkadziesiąt tysięcy ludzi, ponad 6 tys. zostało aresztowanych, z tego co najmniej 50 skazano na karę śmierci i wyroki wykonano. Była to gigantyczna łapanka o skali porównywalnej jedynie z niemieckimi

eprasa.pl 69267e58f

i sowieckimi akcjami specjalnymi. Samo pochodzenie z Wileńszczyzny czy Nowogródczyzny stanowiło w ocenie komunistów zagrożenie.

Tadeusz Konwicki dokonał rzeczy niezwykle trudnej, ale jak się okazało – nie niemożliwej, przedzierzgnął się ze skóry zagorzałego stalinisty, w skórę ulubionego przez polskich czytelników pisarza – u schyłku Peerelu stał się czołowym krajowym prozaikiem. On, z przetrąconym kręgosłupem moralnym, stał się w oczach wielu wyrocznią, niemal nauczycielem narodu. Zawdzięczał to niechybnie swojemu talentowi literackiemu, pobłaźliwej krytyce literackiej, umiejętności uwodzenia czytelników, ale też, jak sam mówił, szczęściu, a już szczególnie szczęściu do protektorów. Było ich w jego życiu kilku, najważniejsi to Karol Kuryluk, Jerzy Borejsza, Adam Michnik.

Wyparł się polskości, wybrał bolszewię

Przynależność do partii komunistycznej w środowisku, w którym obracał się Konwicki po zakończeniu wojny, młodych bolszewików, nazywanych „pryszczatymi", była wielkim wyróżnieniem. Do grupy tej należeli: Wiktor Woroszylski, Wisława Szymborska, Witold Wirpsza, Tadeusz Borowski, Andrzej Braun, Andrzej Mandalian. Żeby zostać przyjętym do partii, należało mieć nienaganny życiorys oraz prawidłową postawę ideologiczną. Stalinizm traktowany był jak religia, a członkowie partii – jak jej wyznawcy.

Konwicki już w 1949 roku marzył o zdobyciu zaszczytnej legitymacji partyjnej, ale jak wspominał jego przyjaciel, Wiktor Woroszylski, autor „Rojstów" „wtedy jednak doszedł do wniosku, że nie jest godzien". Po uzyskaniu rekomendacji partyjnych kolegów, 19 października 1951 roku Konwicki stanął przed komisją Podstawowej Organizacji Partyjnej (POP) PZPR przy Związku Literatów Polskich, która miała zadecydować o jego przyjęciu w poczet kandydatów na członka partii. Oto fragment z protokołu zebrania:

„Tow. Broniewska: Czy braliście udział w akcji zbrojnej wileńskiej AK?

Kol. Konwicki: Od 1944 roku do końca kwietnia 1945 roku byłem w antyradzieckim AK-owskim oddziale. Oddział ten miał na celu mordowanie działaczy demokratycznych, członków Partii i pracowników Bezpieczeństwa. […] Nasz pluton dokonał napadu na gminę białoruską w Wornianach, gdzie rozbito Sielsowiet, pocztę, itd. […]

Tow. Boruński: Czy braliście osobiście udział w napadach i czy strzelaliście?

Kol. Konwicki: Tak. […]

Tow. Żywulska: Czy wy, kolego Konwicki, mieliście jakieś wątpliwości, będąc w bandzie?

Kol. Konwicki: Po przyjeździe do Polski było ujawnianie. Obejmowało ono cały teren kraju, lecz nie obejmowało tych osób, które działały przeciwko władzy radzieckiej. Byłem sam. Bałem się. Żyłem dotychczas w środowisku bandytów, które odpowiednio urabiało obraz władzy ludowej. Proces przemian pogłębiał się jednak we mnie. Wyraźnie zaczynałem rozumieć, jak mnie ohydnie tumaniono, jak zostałem oszukany. Postanowiłem ujawnić się. Poszedłem do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i zgłosiłem na piśmie oświadczenie o przeszłości. […]

Tow. Przemyski: W jaki sposób przyłączyliście się do bandy?

Kol. Konwicki: Mieszkałem w Kolonii Wileńskiej w środowisku ludzi bogatych. Ich wpływ popchnął mnie na drogę zbrodni.

Tow. Przemyski: Ilu żołnierzy radzieckich macie na sumieniu?

Kol. Konwicki: Żołnierzy radzieckich zabijały najbardziej zwyrodniałe elementy, zgłaszając się ochotniczo. Ja nie brałem udziału w egzekucjach. Podczas rozmaitych potyczek, walk, strzelałem jednak. Raz widziałem z daleka, że zraniłem radzieckiego żołnierza.

Tow. Przemyski: Dlaczego zdecydowaliście się wstąpić do partii?

Kol. Konwicki: Zrozumiałem, że zostałem oszukany. Miałem przeszło trzy lata, gdy umarł ojciec. […] Ojciec był robotnikiem. Matka – służącą. Ojciec ciężko harował od 12. roku życia na siebie. Gdy się znalazłem w Polsce, to dopiero zrozumiałem, że występowałem w bandzie przeciwko moim rodzicom.

Tow. Przemyski: Czy nie wystarczy być lojalnym synem Polski Ludowej, czy koniecznie w Partii chcecie odrobić przeszłość?

Kol. Konwicki: Chcę walczyć i żyć w oddziale zorganizowanym, jak żołnierz".

Spowiedź Konwickiego przed tak „zacnym" gronem (proszę odszukać te nazwiska choćby w Wikipedii) była tak samo szczera, jak szczera była powieść „Rojsty". Kłamał, znieważał kolegów, aby uzyskać od komunistów rozgrzeszenie. Wyparł się polskości, wybrał bolszewię. Pisarz musiał jeszcze terminować kilka lat, zanim w 1953 roku został formalnie członkiem PZPR.

„Tadzio jest dowartościowany"

Konwicki, chcąc udowodnić, jak bardzo kocha partię i Stalina, jak wiele jest gotów poświęcić dla bolszewii, przez pięć miesięcy, od października 1949 do marca 1950 roku, z własnej woli pracował jako robotnik fizyczny na budowie w Nowej Hucie. Zostawił w domu świeżo poślubioną żonę i pojechał machać łopatą. Z tego robotniczego trudu w 1950 roku zrodził się produkcyjniak pt. „Przy budowie". Był to jego książkowy debiut. Bohater powieści, Paweł, to ideał nowego człowieka; wykształcony, a więc inteligent, pochodzi z biednej robotniczej rodziny, przed wojną pracował ciężko na różnych budowach razem z ojcem, podczas wojny wal-

eprasa.pl 639267e58f

czył w partyzantce, a teraz buduje nowy szczęśliwy ustrój.

Konwicki tworzył socrealistyczne, antypolskie gnioty, takie jak „Z oblężonego miasta", „Władza", „Godzina smutku", publikował też przesiąknięte komunistyczną ideologią felietony w „Nowej Kulturze" i „Sztandarze Młodych".

W latach 80. prof. Jacek Trznadel przeprowadził wywiady z pisarzami tworzącymi w okresie polskiego stalinizmu. Rozmowy te złożyły się na znaną książkę „Hańba domowa". Tadeusz Konwicki, Kazimierz Brandys i Adam Ważyk odmówili mu udzielenia wywiadów. Niewątpliwie najważniejszą rozmową z „Hańby domowej" jest rozmowa ze Zbigniewem Herbertem pt. „Wypluć z siebie". Wyśmiał on Tadeusza Konwickiego: „Nazwijmy go umownie Tadzio – mówił Herbert. Nie jest ani z rodziny lewicowej, komunistycznej, ani jego tata nie robił w Chinach rewolucji, nie był w partii komunistycznej Francji. Tadzio należał do AK, powiedzmy, w Wilnie. I teraz zamiast tych rzeczy, o których potem będę mówił, co powiedziały mi stare konie, chcę usłyszeć wyznanie Tadzia. Opowieść w duchu realizmu socjalistycznego, a więc gruba, uproszczona, ordynarna, i wszyscy się na mnie obrażą… Więc po latach przychodzę do Tadzia, w 1956 roku, i mówię: »Tadzio, po co tyś to wszystko robił?«. I Tadzio mówi: »No wiesz, byłem w lesie, wyszedłem z lasu, rozumiesz to chyba, kto jak kto, ale ty rozumiesz, i okropnie się bałem. No, bałem się«. Ja też się bałem, nie będę ukrywał. Strach ludzka rzecz. Tylko co się robi ze strachem? Czy strach zaostrza inteligencję, czy strach niweluje inteligencję. Otóż okazało się, że w wielu wypadkach strach niwelował inteligencję. Ale wróćmy do Tadzia. Tadzio mówi: »Tak się bałem, bałem, wiesz, tutaj Józek aresztowany, tu Władek aresztowany, na Sybir wywożą, do więzienia pakują, trzeba mówić przy ujawnieniu, kto był dowódcą, rozszyfrowywać pseudonimy. Ale pośród tej grozy są wspaniali ludzie, którzy piszą wiersze, powieści. Więc napisałem taki wiersz, że mnie zdradzono, i posłałem to do »Odrodzenia«. I wyobraź sobie, za tydzień czy za dwa tygodnie kupuję »Odrodzenie« i wiersz jest na trzeciej stronie. Potem list z redakcji, żebym się zgłosił. No to ja się zgłosiłem. Tam zapytali, czy ja już w czasie okupacji pisałem, ta rozmowa była bardzo przyjemna, redaktor bardzo kulturalny, kawy napiliśmy się…«.

No i Tadzio jakoś przestał się trochę bać. To jest już plus. […] Tadzio jest dowartościowany, Tadzio czuje się świetnie […]".

„Stał cichutko, opierał się o kijek"

O Krystynie Straczyckiej, z domu Mackiewicz, pisałem w „Nowym Państwie" w 2012 roku; znała ona Tadeusza Konwickiego, mieszkała w Górnej Kolonii Wileńskiej, była jego koleżanką o rok od niego starszą.

– Myśmy się zachowywali tak, jak się zachowuje młodzież – wspominała pani Krystyna. – Chodziliśmy wspólnie do Francuskiego Młyna. Obok wieży ciśnień w Kolonii Wileńskiej był plac, boisko do gry w siatkówkę. Tam się spotykaliśmy. Graliśmy w piłkę siatkową. Z Dolnej Kolonii Wileńskiej, tej niby gorszej niż nasza Górna, proletariackiej, przychodził Tadzio Konwicki. Jak myśmy grali, to Tadzio stał cichutko, opierał się o kijek i wpatrywał się w nas. Jeżeli kogoś nam brakowało, wtedy mówiliśmy: „No to chodź, Tadziu". Jak on ochoczo wbiegał na boisko! Tadzio bardzo się starał na boisku, rzucał się, każdą piłkę chciał odbić. Nasz kolega, Bogdan Hakiel, lubił nabijać się z Tadzia. Jakoś zapamiętałam słowa Bogdana, kiedyś klepiąc Tadzia po ramieniu, powiedział: „Jeszcze z ciebie, Tadziu, będą ludzie".

Przytoczone przez Krystynę Straczycką wspomnienie dużo mówi o Konwickim. Może jego późniejsze życie, po wyjeździe z Wileńszczyzny w maju 1945 roku, było leczeniem kompleksów, tego słabszego, półsieroty z Dolnej Kolonii Wileńskiej, o niedookreślonej tożsamości, bo jak sam o sobie mówił – został „ulepiony z trzech glin", jego matka pochodziła z rodziny o korzeniach polskich, białoruskich i litewskich, wychowywanego przez dziadków Blinstrubów?

Tadeusz Konwicki na początku lipca 1944 roku, tuż przed akcją „Ostra Brama", trafił, zresztą jak niemal wszyscy chłopcy z Kolonii Wileńskiej, do AK. Został żołnierzem 8. Brygady Wileńskiej AK por. Witolda Turonka „Tura".

Krystyna Mackiewiczówna „Krystyna" od jesieni 1943 roku była łączniczką oddziału por. Gracjana Fróga „Szczerbca", późniejszej 3.Wileńskiej Brygady AK, a w drugiej połowie maja 1944 roku została przydzielona do nowo utworzonego Oddziału Rozpoznawczego Komendy Okręgu (ORKO) pod dowództwem kawalerzysty, rtm. Władysława Kitowskiego „Groma". W czasie lipcowej akcji „Ostra Brama" wspólnie z koleżankami organizowała szpitalik polowy w domu państwa Szczepańskich mieszkających w pobliżu kościoła w Kolonii Wileńskiej, gdzie przywożeni byli z pola walki ranni partyzanci. Zwoziła z koleżankami trupy partyzantów leżące w zbożu rosnącym między Górną a Dolną Kolonią Wileńską. Lipcowy upał sprawiał, że ciała trzeba było szybko grzebać. To byli chłopcy od „Szczerbca" i „Tura". Wszyscy zostali pochowani przez księdza proboszcza Lucjana Pereświeta-Sołtana na cmentarzu koło kościoła. „Krystyna" zawsze nosiła przy sobie ryngraf Matki Boskiej Ostrobramskiej i obrazek Opatrzności, które otrzymała od księdza Lucjana przed akcją „Ostra Brama". Pewnie dlatego omijały ją nieszczęścia.

„Nic nie miał do powiedzenia"

Po zakończonej klęską akcji „Ostra Brama" „Krystyna" wraz z innymi łączniczkami robiły wszystko, aby nawiązać kontakty z oddziałami rozproszonymi w terenie. Nie

eprasa.pl 639267e58f

zawsze, niestety, było to już możliwe. W połowie stycznia 1945 roku otrzymała zadanie doprowadzenia do oddziału por. Hieronima Piotrowskiego „Jura", dowódcy pierwszego plutonu ORKO, siostry „Antoniny" i dwóch partyzantów – „Urki" i „Waldka". Chłopcy należeli do wileńskiej Egzekutywy AK, wykonywali wyroki Wojskowego Sądu Specjalnego, obaj byli intensywnie poszukiwani przez NKWD.

Mogli poruszać się tylko nocą. Na dzienny odpoczynek zatrzymywali się u gospodarzy należących do siatki konspiracyjnej, od nich też się dowiadywali, czy nie ma w pobliżu obław istriebitieli.

„Krystyna" musiała pokonać trudną i długą drogę 100 kilometrów do por. „Jura". Dzięki odważnej łączniczce został nawiązany kontakt między rtm. „Orliczem" (nowe pseudo „Groma") a por. „Jurem". Po dojściu na miejsce okazało się, że w Puszczy Nalibockiej oprócz oddziału „Orlicza" i „Jura" znajduje się też oddział złożony z ocalonych od wywózek, aresztowań partyzantów 8. Brygady Oszmiańskiej AK „Tumrego" (nowe pseudo por. Witolda Turonka „Tura").

Oddziały te miały przebijać się na zachód, na tereny za linię Curzona, do Puszczy Białowieskiej. Po przekroczeniu rzeki Niemen, prawdopodobnie 1 lutego, partyzanci dotarli do miejscowości Rowiny. Tutaj zaplanowali jednodniowy odpoczynek, zjedzenie w końcu ciepłego posiłku, podleczenie odmrożeń. Najprawdopodobniej jakiś konfident ze wsi powiadomił NKWD z pobliskiego miasteczka Korelicze o przybyciu polskich partyzantów.

Polskie oddziały AK zostały zaatakowane przez duże siły NKWD. W pobliżu miejscowości Rowiny rozegrała się ostatnia duża bitwa polskich oddziałów AK z bolszewikami. W kopnym, metrowym śniegu co rusz pojawiały się czerwone plamy. Według źródeł Instytutu Pamięci Narodowej w boju pod Rowinami–Kaczycami poległo 89 polskich żołnierzy, 25 dostało się do niewoli. Poległych żołnierzy grzebały kobiety z pobliskiej miejscowości Kaczyce, zwoziły je saniami. Ciała zostały złożone w zbiorowych mogiłach.

Cudem ocalała w bitwie „Krystyna" przebijała się na saniach ciągniętych przez niedużego konika w kierunku Wilna z rannym „Urką". W „Rojstach" jest taka scena, jak oddział, w którym chodził Konwicki, spotyka w lesie dziewczynę wiozącą na sankach rannego partyzanta. To od niej dowiedzieli się o bitwie pod Rowinami. Dziewczyna narzekała na odmrożone nogi. Tą dziewczyną była „Krystyna", a partyzant to „Urka". „W Lasku Rudnickim spotkaliśmy kobietę wiozącą rannego w suto wymoszczonych słomą saniach. […] Wysunęła z sań nogę i powoli zaczęła rozsupływać sznurowadła ciężkiego żołnierskiego buta. Milczeliśmy skonsternowani. Spod brudnej i mokrej onucy ukazała się fioletowa, obrzmiała noga".

„Krystyna" dzielnie zniosła amputację wszystkich palców u nóg przez doktora Kornela Michejdę w wileńskim szpitalu przy ulicy Zygmuntowskiej. Cudem uniknęła aresztowania w szpitalu przez Sowietów. Otrzymała nowe dokumenty na nazwisko Mieczysława Grajewska i tzw. kartę repatriacyjną na 14. transport „do Polski".

Po przyjeździe do Białegostoku 18 kwietnia 1945 roku obie z siostrą nawiązały kontakt z konspiracyjną wileńską siatką akowską. W otrzymanym od PUR-u mieszkanku zamieszkał razem z dziewczynami „Waldek" z wileńskiej Egzekutywy. „Waldek" zginął po wykonaniu wyroku na szefa Urzędu Bezpieczeństwa w Białymstoku, został zastrzelony przez żołnierzy NKWD. „Krystyna" utrzymywała też kontakt z oficerami tzw. grupy „Cecylia", oficerami polskiego kontrwywiadu, członkami sztabu Okręgu Wileńskiego AK.

Wyszła za mąż za kolegę z AK Teodora Straczyckiego ps. „Góra". Do 1960 roku oboje posługiwali się dokumentami wystawionymi przez komórkę Legalizacji AK. W 1960 roku ujawnili się i powrócili do swoich nazwisk. Nie obyło się to bez problemów.

– Kiedy przeczytałam „Rojsty" w latach 60., chciałam tylko jednego – dać Tadeuszowi w mordę – opowiadała mi pani Krystyna Straczycka. On nigdy, ale to nigdy nie chciał się z nami, wileńskimi partyzantami, spotykać, nie przyjeżdżał na nasze zjazdy. Kiedyś nie wytrzymałam, akurat byłam w Warszawie, zdobyłam jego numer telefonu. Spotkaliśmy się w kawiarni, przykro mi, ale on nic nie miał do powiedzenia.

Niewygodny świadek

W 1994 roku nakładem Wydawnictwa Editions Spotkania ukazała się książka wspomnieniowa o walkach niepodległościowych na Wileńszczyźnie pt. „Tam i wtedy. W Podweryszkach, w Wilnie i w puszczy 1939–1945". Należy dodać, że książka została napisana w 1991 roku świetnym językiem literackim i z całą pewnością nie mogłaby się ukazać w Peerelu. Jej autorem jest Ryszard Kiersnowski, profesor historii, wybitny mediewista, badacz średniowiecza, twórca nowoczesnej polskiej szkoły numizmatycznej. Kiersnowski, rocznik 1925, pochodzi z patriotycznej ziemiańskiej rodziny; jego ojciec, Jan, był szanowanym wileńskim adwokatem, walczył w wojnie z bolszewikami w 1920 roku. Oprócz mieszkania w Wilnie państwo Kiersnowscy posiadali też dwór w Podweryszkach, który stał się w czasie okupacji niemieckiej ważnym miejscem polskiej konspiracji niepodległościowej. 17-letni Ryszard został w 1943 roku zaprzysiężony do AK i przyjął pseudonim „Puhacz" (przez „h"). Po ukończeniu kursu dla młodych dowódców AK trafił do kompanii dowodzonej przez ppor. Stanisława Szabunię „Licho".

W jednym z rozdziałów Ryszard Kiersnowski wspomina Tadeusza Konwickiego „Bobra", z którym razem od połowy lutego do końca kwietnia 1945 roku byli w oddziale dowodzonym przez Mieczysława Nawrockiego „Wrzosa"

eprasa.pl 639267e58f

(w „Rojstach" nosił pseudonim „Kwiatek"). Oddział powstał już wcześniej z niedobitków brygad wileńskich AK, liczył dwudziestu kilku ludzi i siedem sań, jako że była to zima. Pluton stanowił jednostkę oddziału dowodzonego przez por. Witolda Turonka „Tura", „Tumrego". W czasie jednej z akcji ranny został „Wrzos" i wówczas dowództwo nad oddziałem przejął „Puhacz".

Wbrew temu, co pisał Konwicki o bezsensownym włóczeniu się po lasach, oddział otrzymał konkretne zadanie – miał rozpoznać drogę przejścia ocalałych żołnierzy z 8. Brygady Wileńskiej AK i Oddziału Rozpoznawczego Komendy Okręgu do Puszczy Białowieskiej. Niestety, 2 lutego 1945 roku oddziały te zostały rozbite przez Sowietów w bitwie koło miejscowości Rowiny, 25 kilometrów od Nowogródka.

Ryszard Kiersnowski z Tadeuszem Konwickim byli razem przez dwa i pół miesiąca w partyzantce, razem też, o czym nigdy nie wspominał Konwicki, dotarli do Białegostoku, później do Warszawy, a w końcu do Krakowa i tam podjęli studia; przez ponad rok mieszkali w jednej bursie akademickiej. Razem spędzali czas. Kiersnowski przejawiał talent literacki, w latach 1946–1947, kiedy jeszcze nie szalała komunistyczna cenzura, publikował swoje opowiadania w „Tygodniku Powszechnym" i „Twórczości".

Konwicki podjął najpierw pracę w propagandowym pisemku „Kultura" o podtytule „Pismo poświęcone kulturze radzieckiej", a później związał się z redakcją lewicowego tygodnika „Odrodzenie", którego redaktorem był Karol Kuryluk. W 1947 roku redakcja „Odrodzenia" przeniosła się do Warszawy, a wraz z nią Konwicki. W 1948 roku redakcję „Odrodzenia" przejął Jerzy Borejsza. Konwicki musiał dobrze rokować, bo otrzymał w zrujnowanej Warszawie pokój w hotelu Bristol, gdzie znajdowały się m.in. siedziby przedstawicielstw dyplomatycznych, a problemy ze znalezieniem mieszkania mieli nawet komunistyczni ministrowie. To tutaj, w hotelu Bristol, Konwicki spłodził „Rojsty". Po wyprowadzce do Warszawy Konwicki i Kiersnowski spotykali się jedynie sporadycznie, stawali się sobie coraz bardziej obcy. Konwicki unikał Kiersnowskiego – i nic dziwnego – był on przecież świadkiem jego pisarskich manipulacji.

Zachwyty Michnika

„Rojsty" zostały wznowione w 1991 roku bez żadnego komentarza, wyjaśnienia, jakbyśmy dalej żyli w latach stalinowskich. Wydała je Niezależna Oficyna Wydawnicza związana ze środowiskiem Adama Michnika.

Ryszard Kiersnowski wytknął autorowi „Rojstów" manipulację: „Jest to paszkwil na naszą wileńską partyzantkę, obraz – jak napisał ostatnio jeden z rozmówców Konwickiego – »ociekający jadem« (chodzi o Stanisława Nowickiego »Pół wieku czyśćca. Rozmowy z Tadeuszem Konwickim«); ja bym określił go raczej jako lepki, niby to realistyczny, a w istocie odrealniony, podporządkowany idei złej rzeczywistości. […] na pozór rzadki, wiarygodny dokument".

Według Kiersnowskiego „otoczka ideowa i emocjonalna książki" jest „szara, plugawa, nierzadko wręcz kłamliwa lub manipulująca odpowiednio dobieranymi faktami. Uderza bezsens walki […]. Z »Rojstów« przebija bezmyślność, bezideowość oddziału, nękają go konflikty społeczne i narodowościowe […] a Polski w ogóle tam nie ma, wyjąwszy tylko […] dworek z chętną do romansów panienką. Czytamy[…] w »Rojstach«, że napotkani bolszewicy to przemili ludzie. Niby łapią, ciągle gdzieś ktoś strzela […], nie wiadomo jednak po co, bo do walki jakoś nie dochodzi […]. Więc po co ten oddział istnieje? Odpowiedzi brak".

Kiersnowski nie mógł pogodzić się z tym, że „jeden z ostatnich polskich oddziałów partyzanckich na Wileńszczyźnie, istniejący niemal do ostatnich dni wojny, uzyskał z pozornie miarodajnych ust: od jego uczestnika, wybitnego pisarza, ocenę jak najgorszą, tendencyjną, niezgodną z rzeczywistością".

Nie stać było Konwickiego na ustosunkowanie się do publikacji Kiersnowskiego, na jakąkolwiek rozmowę. Jeszcze do niedawna zabierający chętnie głos w wielu sprawach, raptem zamilkł. Nie miał nic do powiedzenia. W sukurs Konwickiemu przyszedł za to Adam Michnik („Kompleks Konwickiego", kwartalnik „Akcent" nr 2 z 1996 roku). Twórczość autora „Rojstów" bardzo pasowała Michnikowi do szerzonej przez niego pedagogiki wstydu, do dezawuowania polskiego patriotyzmu, do szydzenia z polskich wartości narodowych. Nawet z obrony polskich Kresów przed bolszewikami mielibyśmy się tłumaczyć. Według Michnika „Tadeusz Konwicki jest wielkim pisarzem małego narodu. Jest wielkim świadkiem jego zmagań z własną małością".

Michnik, specjalista od polskiego honoru, wie najlepiej, że „Rojsty" są „najuczciwszą relacją z dziejów absurdu polskiego honoru, z dziejów honoru polskiego honoru". Według niego książka została „zbezczeszczona […] przez kolegę z partyzanckiego oddziału", czyli przez Ryszarda Kiersnowskiego. Nazywa go „zakompleksionym zawistnikiem, który własny strach racjonalizuje przez deprecjonowanie cudzej odwagi".

W 2010 roku Agora zaczęła wydawać „Książki zebrane" Konwickiego. Wydała również „Rojsty", tym razem z krótkim wstępem autora, ale bez słowa sprostowania oczywistych zafałszowań, a przecież już ukazała się książka Kiersnowskiego, powstało wiele świetnych opracowań historycznych, choćby autorstwa Kazimierza Krajewskiego i Tomasza Łabuszewskiego, gdzie można znaleźć informacje o oddziale Mieczysława Nawrockiego „Wrzosa". W wywiadzie-rzece pt. „W pośpiechu" (2011) Konwicki przyznał, że słyszał o zarzutach Ryszarda Kiersnowskiego, ale jego książki nie czytał. Ze swoich kłamstw się nie wycofał. ■

eprasa.pl 639267e58f

Piotr Wysocki

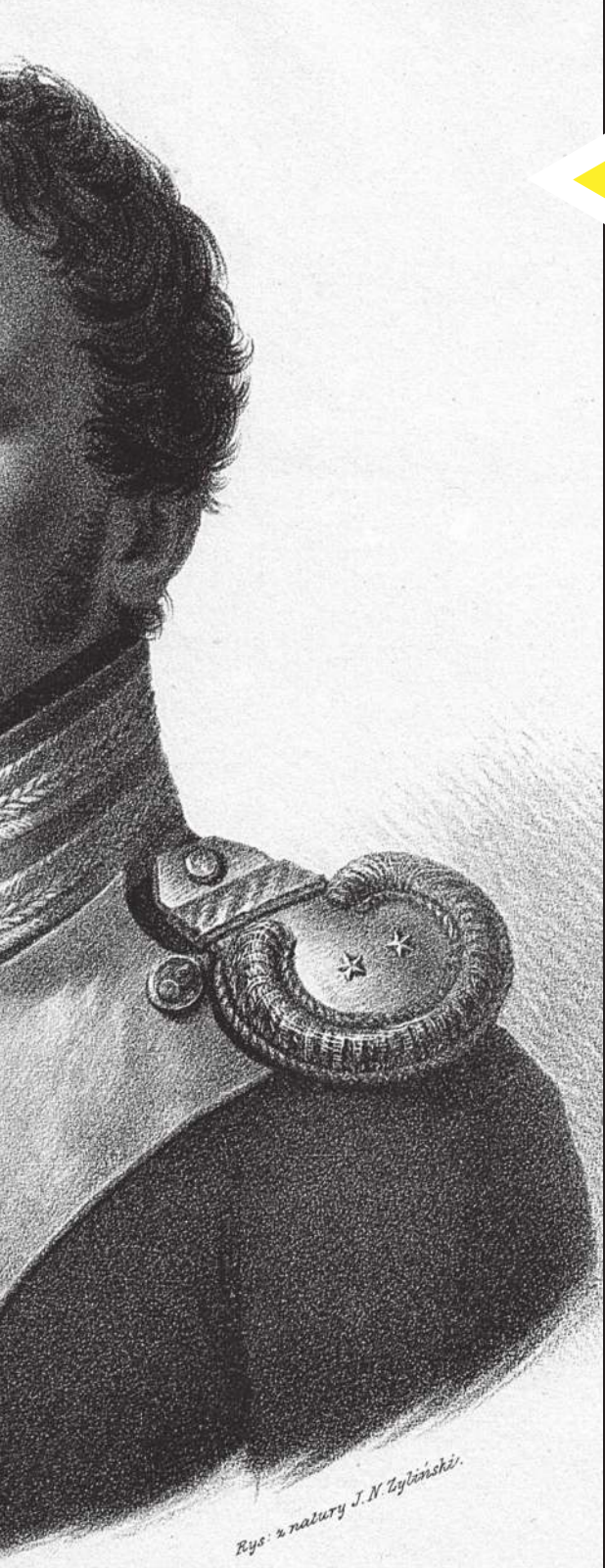
Od nocy listopadowej po kaźnie Sybiru

Agnieszka Kowalczyk



Mija 150 lat od śmierci inicjatora nocy listopadowej, sybiraka-katorżnika, który w swoim życiu najbardziej umiłował Polskę i pozostał jej wierny w ogarniętej powstaniem Warszawie, w lochach twierdz Bobrujska i Zamościa, w celi pokarmelickiego więzienia na Lesznie, podczas katorgi syberyjskiej. Tym człowiekiem, którego imię na zawsze zrosło się z listopadowym zrywem wolnościowym, był pułkownik Piotr Wysocki.

eprasa.pl 639267e58f



FOT. WIKIPEDIA

Zbliżała się noc listopadowa 1830 roku. W napięciu oczekiwano chwili, aż rozbłyśnie ogień na Solcu. To miał być znak dla spiskowców, że pora uderzyć na wroga. Jednocześnie postanowiono ruszyć na Belweder – „mózg i sztab nieprzyjaciela", siedzibę wielkiego księcia Konstantego. Na przeciwległym, północnym krańcu Warszawy Piotr Urbański ze swoimi ludźmi szykował się do rozbrojenia pułku gwardii litewskiej w koszarach Aleksandryjskich. W Śródmieściu grupa Józefa Zaliwskiego przygotowywała się do zdobycia Arsenału i sparaliżowania pułku gwardii wołyńskiej.

„Piersi wasze niech będą Termopilami dla wrogów"

W tym samym czasie w koszarach Szkoły Podchorążych rozegrała się historyczna scena. „Polacy! Wybiła godzina zemsty. Dziś umrzeć lub zwyciężyć potrzeba! Idźmy, a piersi wasze niech będą Termopilami dla wrogów" – tym bojowym okrzykiem, 29 listopada 1830 roku, wzywał do walki podchorążych ich dowódca – 33-letni podporucznik Piotr Wysocki – przywódca sprzysiężenia antyrosyjskiego, bohater nocy listopadowej, główny sprawca wybuchu narodowego zrywu. Na jego głos ponad 130 żołnierzy porwało za karabiny i „błyskawicowym pędem" dołączyło do swego przywódcy, idąc wprost na koszary trzech pułków jazdy rosyjskiej.

„Dajemy ognia, nieprzyjaciel wychodzi z szyku, miesza się, cofa, i w pewnej dali powtórnie uformowany, stawia nam czoło. […] dawszy ognia, silnym w skoku napadem, z okrzykiem wojennym hurra! rozbijamy kolumnę Rosjan, którzy zasławszy plac trupem, na wszystkie rozsypali się strony" – odsłania kulisy pierwszego starcia z wrogiem przywódca podchorążych. Z każdą chwilą jednak przewaga Moskali rosła. Polskie kolumny nie nadchodziły z odsieczą. Ku powstańcom ciągnęły za to zaalarmowane rosyjskie pułki kirasjerów i ułanów. Wysocki zarządził więc odwrót ku pomnikowi Jana III Sobieskiego. Tam też jego oddział połączył się z belwederczykami, którym nie udało się pojmać księcia Konstantego. Tymczasem zwiad doniósł, że kawalerzyści rosyjscy opanowują Aleje Ujazdowskie, a huzarzy lada moment zdobędą okolice Pięknej i Wiejskiej. Przywódca spisku, zorientowawszy się, że podchorążym grozi całkowite otoczenie i odcięcie od miasta, wydał rozkaz jak najszybszego przedostania się do koszar Radziwiłłowskich.

Starcie z wrogiem stało się nieuniknione. Spiskowcy wzmogli siłę ognia, gotując się do przebicia przez rosyjski pierścień. Prowadzeni przez swego dowódcę, przystąpiwszy do ataku, „nabierają męstwa […] i z niewypowiedzianą odwagą nacierają na Rosjan,

eprasa.pl 69267e58f

którzy się natychmiast rozsypali". Wielu z nich poległo na miejscu. Droga do miasta stanęła przed Polakami otworem. Tak więc „Wysocki przeprowadził brawurową akcję, w wyniku której otoczeni z dwu stron 15-krotnie silniejszymi wojskami rosyjskimi powstańcy odnieśli spektakularny sukces w tzw. bitwie łazienkowskiej. Była to największa potyczka powstania listopadowego, w której Piotr Wysocki wykazał się nie tylko znakomitymi zdolnościami wojskowymi, ale również mistrzostwem w wojskowym rzemiośle" – czytamy na stronie Łazienek Królewskich.

Pierwszy spiskowiec Szkoły Podchorążych

Jak doszło do tego, że Piotr Wysocki stał się głównym inicjatorem powstania listopadowego? Już od dłuższego czasu ten wywodzący się z Winiar koło Warki syn ziemianina Jana herbu Odrowąż należał do wojskowo-patriotycznego podziemia polskiego, które sam współorganizował od 1828 roku. Swój los od lat młodzieńczych związał z Wojskiem Polskim – w grudniu 1818 roku został przyjęty jako kadet w szeregi pułku grenadierów gwardii, półtora roku później awansował na sierżanta, a w 1824 roku wstąpił do elitarnej Szkoły Podchorążych Piechoty, której zwierzchnikiem był wielki książę Konstanty.

Młody Wysocki odznaczał się marsową postawą, prawością charakteru i gorącym patriotyzmem. Toteż wielki wstrząs wywołała w nim publiczna kaźń polskiego działacza niepodległościowego Waleriana Łukasińskiego, którą oglądał 2 października 1824 roku. „Był wtedy obecny z obozie wojskowym za powązkowskimi rogatkami. Widział, jak kat zrywał szlify z munduru Łukasińskiego, widział też, jak przywódca Towarzystwa Patriotycznego – zakuty w kajdany – pchać musiał katorżniczą taczkę". Odtąd Łukasiński – bojownik narodowej sprawy, więzień Szlisselburga – stał się dla Wysockiego najbardziej czczonym bohaterem. I on sam nie ustawał w działaniach na rzecz odrodzenia niepodległego państwa polskiego. W 1827 roku był już podporucznikiem grenadierów gwardii, wychowawcą i instruktorem musztry w Szkole Podchorążych, w której narastały antycarskie nastroje. W grudniu 1828 roku, podczas dwóch tajnych zebrań zorganizowanych w jego mieszkaniu, dziewięciu spiskowców z kręgów wojskowych powołało do życia konspiracyjne Sprzysiężenie Podchorążych. Jego celem było wywołanie zbrojnego powstania i oddanie władzy sejmowi, który miał ogłosić niepodległość Polski w granicach zaboru rosyjskiego. Sprzysiężenie, głównie za sprawą Wysockiego, jak twierdzi jego biograf Tadeusz Łepkowski, „pomyślane zostało jako szturmowy oddział, którego zadaniem podstawowym był jednorazowy czyn. Polityką, rozumował Wysocki, zajmą się mądrzejsi, starsi – i do nich się zwrócimy – a naród ich poprze. Ktoś jednak musi zacząć. Tym »kimś« jest sprzysiężenie". Stanąwszy na czele związkowców, Wysocki osobiście decydował o przyjmowaniu do organizacji nowych członków. Korzystając ze znajomości swych przyjaciół-podchorążych, dążył do nawiązywania kontaktów z politykami kręgów opozycyjnych, którzy mogliby poprzeć czyn narodowowyzwoleńczy.

Na początku września 1830 roku spisek liczył już około 200 samych tylko wojskowych. Dołączyli do niego także młodzi literaci i dziennikarze z Maurycym Mochnackim, Ksawerym Bronikowskim i Seweryn Goszczyńskim na czele. Spisek został jednak wykryty przez carską policję 12 listopada. Rozpoczęły się pierwsze aresztowania… Car Mikołaj I domagał się od księcia Konstantego natychmiastowego zdławienia buntu i bezwzględnych represji wobec jego uczestników. Tajnymi drogami dowiedziano się, że lada chwila zostaną uwięzieni oficerowie, podchorążowie i politycy z Joachimem Lelewelem na czele. Spiskowcy nie mogli już dłużej czekać. Na tajnym posiedzeniu z udziałem Wysockiego, Zaliwskiego, Urbańskiego, Szlegla, Bronikowskiego, Nabielaka i Goszczyńskiego wyznaczono ostateczny termin rozpoczęcia akcji powstańczej – 29 listopada o szóstej wieczorem. Znakiem wywoławczym miał być pożar starego browaru na Solcu.

Od powstańczego preludium do nokturnu na Woli

Po wydarzeniach nocy listopadowej Piotr Wysocki „wszędzie był witany i przyjmowany z entuzjazmem – pisze Marek Klecel. – Na uroczystym przedstawieniu »Krakowiaków i Górali« w Teatrze Narodowym, które przerodziło się w manifestację polityczną, publiczność wiwatowała na cześć podchorążych i Wysockiego, którego wynoszono na rękach z teatru". W bojach powstania listopadowego dał się poznać jako gotowy na wszystko żołnierz, adiutant wodza naczelnego Michała Radziwiłła i dowódca 10. Pułku Piechoty. Walczył m.in. pod Dobrem i Olszynką Grochowską, brał udział w wyprawie gen. Józefa Dwernickiego na Wołyń. Za swe zasługi wojenne został odznaczony 3 marca 1831 roku Krzyżem Złotym Orderu Virtuti Militari. Z taką samą zaciętością bił się w finalnym akcie powstania – 6 września 1831 roku, gdy ginęła warszawska Wola pod naporem rosyjskich wojsk Paskiewicza. Wówczas to przyszedł na ratunek ostatniemu obrońcy jej szańców – gen. Józefowi Sowińskiemu. Gdy dostał się do twierdzy, było tam jedynie sześć nadających się do użytku dział, a sam schron został niemalże zrównany z ziemią. Mimo że ostrzał nieprzyja-

eprasa.pl 639267e58f

ciela przybrał na sile, Wysocki stał „jak Mars nieustraszony wśród gęstego ognia na otwartym placu", gotowy zmierzyć się z czterema batalionami rosyjskimi, które właśnie ruszyły na redutę. „Polacy odpierają atak. Zaraz potem rusza na Wolę sześć batalionów wroga. Obrońcy wytrzymują natarcie i pod wodzą Sowińskiego, pułkownika Wodzyńskiego i Wysockiego przechodzą do kontrataku" – odtwarza finalne starcie Tadeusz Łepkowski. Choć siły powstańców słabły, to jednak reduta nadal dawała odpór wrogowi.

W końcu 11 rosyjskich batalionów wdarło się do twierdzy. Sowiński trwał jednak niewzruszenie na swojej pozycji. Udało mu się przy pomocy Wysockiego zmienić zdemontowaną armatę i wystrzelić z niej kilka razy kartaczami. Sam Wysocki został jednak ranny odłamkiem granatu w lewą nogę, którą do tego boleśnie zwichnął. Współtowarzysz broni Świtkowski nakazał zanieść go do kościoła. Pół godziny później Wola padła. Ostatni jej obrońcy zginęli wraz z Sowińskim, ranni dostali się do niewoli. Zaraz po bitwie generał Obryczew pytał o Wysockiego. Gdy odpowiedziano mu, że został zabity, nie uwierzył. Natychmiast udał się na Wolę i odnalazł tam przywódcę podchorążych, który odważył się wywołać powstanie przeciwko carowi. Odtąd Wysocki nie był już zwykłym jeńcem, lecz więźniem stanu.

Krwawa łuna Paskiewiczowskiej nocy

Upadek powstania listopadowego zapoczątkował gwałtowną falę represji w Królestwie Polskim. Car Mikołaj I postanowił ostatecznie rozprawić się z buntownikami. Chciał udowodnić Polakom, że ich pragnienie odzyskania niepodległości to tylko mrzonka romantycznych szaleńców, owych Konradów i Kordianów, których starcie z potężnym Imperium Rosyjskim musiało zakończyć się klęską. Dziesięciu przywódców narodowego zrywu, w tym księcia Adama Jerzego Czartoryskiego i Joachima Lelewela, skazano zaocznie na karę śmierci przez ścięcie toporem. Dwustu kilkudziesięciu polskich patriotów powieszono, a kilkadziesiąt tysięcy zesłano na Syberię, wcielając do Korpusów Specjalnych bądź kompanii karnych. Żołnierzy pozostałych w kraju czekała 15-letnia służba w armii rosyjskiej na mocy carskiego ukazu z 1832 roku, a uczestników nocy listopadowej aż 25-letnia! Kierowano ich głównie na Kaukaz, by tam tłumili powstanie walczących o wolność Czeczeńców.

Car nakazał również wywozić w głąb Rosji dzieci powstańców, które niejednokrotnie odbierano gwałtem rodzicom. Chłopców w wieku od 7 do 16 lat grupowano w specjalnych batalionach dziecięcych i wysyłano na Syberię jako tzw. kantonistów. Dotyczyło to zwłaszcza sierot, biedoty i synów emigrantów politycznych. Wycieńczonych i głodnych gnano do Mińska i Bobrujska, a stamtąd na Syberię. Dwie trzecie nie przeżyło tej nieludzkiej drogi, a pozostałych wychowano na żołnierzy rosyjskich.

Władzę nad „ziemią buntowników", jak nazywano Królestwo Polskie w Petersburgu, objął w lutym 1832 roku feldmarszałek Iwan Paskiewicz, ten sam, który stłumił powstanie listopadowe i szturmem wziął Warszawę. Ów pogromca Polaków, któremu car nadał tytuł „księcia warszawskiego", rozpoczął swe rządy od wznoszenia Cytadeli Warszawskiej – miejsca stacjonowania wojsk rosyjskich i ciężkiego więzienia dla wrogów caratu. Paniczny strach budził jej X Pawilon. Mieściły się w nim cele dla więźniów politycznych, punkt zborny wywożonych na Sybir oraz siedziba Stałej Komisji Wojenno-Śledczej, na której czele stanął znienawidzony Andrzej Storożenko. Chcąc utrzymać społeczeństwo w posłuchu, sprowadzono do stolicy liczne oddziały wojskowe.

Poćwiartowanie, powieszenie czy syberyjska kaźń?

W sytuacji bezwzględnego tłumienia polskich dążeń wolnościowych człowiek, który zainicjował narodowe powstanie i porwał Polaków do czynu, zasługiwał w oczach caratu na najsroższą karę. Toteż wzięty do niewoli organizator i przywódca sprzysiężenia podchorążych stał się więźniem stanu, dla którego carat nie miał litości. Po wyleczeniu ran w lazarecie ujazdowskim został przewieziony do twierdzy w Bobrujsku. Tam zakuty w kajdany i zamknięty w lochach fortecznych oczekiwał pod strażą na rozprawę przed sądem polowym złożonym z ośmiu rosyjskich oficerów. Wysocki zeznał otwarcie, że celem tajnego związku, któremu przewodniczył, było „oswobodzenie Polski spod władzy rosyjskiej". 29 października 1831 roku usłyszał wyrok – kara śmierci przez poćwiartowanie, zamieniony następnie przez generała hrabiego von Sackena – na śmierć przez powieszenie. „Nie danym było jednak Piotrowi Wysockiemu wstępować na szubieniczny szafot – pisze jego biograf Tadeusz Łepkowski. – Oto sam Mikołaj I zażądał przekazania mu do wglądu aktu procesu. […] Cesarz projektował urządzenie wielkiego procesu politycznego »rokoszu«, sądu-monstrum, i to w samej ujarzmionej Warszawie". Nie miał w swym ręku najważniejszych przywódców politycznych powstania, bo ci udali się na emigrację. Inni zaś, jak Wincenty Niemojowski, Ignacy Prądzyński czy Jan Krukowiecki, „nie nadawali się na czołowe figury głośnej politycznej rozprawy nad twórcami i przywódcami insurekcji". W związku z tym to właśnie Wysockiemu przypaść miała rola głównego oskarżonego w sądowym spektaklu cara.

eprasa.pl 639267e58f

Z rozkazu Mikołaja I poprzedni wyrok sądu bobrujskiego został anulowany, a więźnia przekazano do dyspozycji feldmarszałka Paskiewicza. Zakuty w kajdany Wysocki trafił najpierw do lochów twierdzy w Zamościu, a potem do celi osławionego klasztoru pokarmelickiego na warszawskim Lesznie, podążając tym samym śladami męczeństwa Waleriana Łukasińskiego. Spędził tam długie dni w zupełnym osamotnieniu, pogrążony w ciemnościach, przykuty do ściany, bez możliwości spaceru. Przesłuchania z jego udziałem rozpoczęły się 19 listopada 1832 roku. Przed Komisją Śledczą, której przewodniczył generał Dannenberg, stawał aż 25 razy. Zadano mu w sumie 119 pytań. Powtarzając, że powstanie miało cele patriotyczne – wolność i niepodległość, całą winę brał na siebie i zawsze zeznawał tak, by chronić współtowarzyszy.

„Rozprawa była krótka – pisze Tadeusz Łepkowski. – Oskarżony przyjął na siebie pełną odpowiedzialność za wywołanie rewolucji, mającej na celu oswobodzenie Polski". Sąd Najwyższy Kryminalny 29 listopada 1833 roku uznał Wysockiego winnym m.in. zbrodni buntu i zamachu na wielkiego księcia Konstantego, skazując przywódcę sprzysiężenia na karę śmierci. Teraz mógł ocalić swoje życie tylko w jeden sposób – prosząc cara o ułaskawienie. Gdy podsunięto mu stosowny dokument, kategorycznie odmówił jego podpisania, twierdząc: „Nie dlatego broń podjął, ażebym prosił cesarza o łaskę, ale dlatego, żeby jej mój naród nigdy nie potrzebował". Ostatecznie Mikołaj I, uginając się pod wpływem opinii europejskiej, która potępiała mordy sądowe na powstańcach, złagodził wyrok, skazując Wysockiego na 20 lat ciężkich robót na Syberii. W istocie car dążył do tego, by „przywódca podchorążych umierał długo i w męczarniach katorżniczej pracy".

Desperacki krok

Na zesłańczy szlak Wysocki wyruszył jesienią 1834 roku, kierując się przez Moskwę i Tobolsk w stronę Irkucka leżącego już blisko Bajkału. Trudy i znoje niemal półrocznego marszu w kajdanach przez Azję i jazdy w kibitkach dzielił ze swym towarzyszem niedoli – majorem Wojska Polskiego Franciszkiem Malczewskim (1800–1852), który w noc listopadową poprowadził do walki batalion saperów, za co skazany został na 18 lat ciężkich robót na Syberii. Miejscem ich przeznaczenia w „bajkalskiej krainie" była oddalona ponad 70 kilometrów od Irkucka wioska Aleksandrowsk z gorzelnią, w której pracowali katorżnicy. Dotarli tam na początku czerwca 1835 roku. Zaledwie 10 dni później pragnący za wszelką cenę uwolnić się z carskich pęt Wysocki podjął ze współtowarzyszami desperacki plan ucieczki! Uciekinierów było siedmiu. Obok Wysockiego i Malczewskiego – Teofil Kownacki, ks. Wincenty Kroczewski, Antoni Luboradzki, ks. Jan Boguński i Feliks Kasperski. 25-letni Kownacki – powstaniec listopadowy, kapitan w 3. Pułku Strzelców Pieszych, został aresztowany za pomoc udzieloną oddziałom Artura Zawiszy i skazany na cztery lata ciężkich robót oraz osiedlenie na Syberii. Za powiązania z zaliwszczykami na katorgę skazano również ks. Wincentego Kroczewskiego (1802–1841), który jak opowiada działacz niepodległościowy Agaton Giller, „gnany w tłumie zbrodniarzy ze skutymi rękami i nogami nie mógł przez długi czas zrzucić z siebie odzienia, a potrawy niósł do ust ręką obciążoną łańcuchem […]. Wszy jadły mu ciało, a żaden z oficerów nie chciał go odkuć na jeden moment". W oddziale straconego na szubienicy Artura Zawiszy służył natomiast najmłodszy z uciekinierów – Antoni Luboradzki (ur. 1817). Z kolei ks. Jan Boguński (1801–1846), wikary w kościele radomskim, za wygłoszenie patriotycznego kazania w Niedzielę Wielkanocną 8 kwietnia 1833 roku (co powiązano z działalnością zaliwszczyków w tej okolicy) skazany został na karę śmierci przez powieszenie, którą zamieniono później na ciężkie roboty na Syberii. Ostatni zaś z wymienionych, Feliks Kasperski, podawał się za powstańca listopadowego, w istocie jednak skrywał przed towarzyszami mroczną tajemnicę.

Plan ucieczki, jak przekazuje Agaton Giller, zakładał przedarcie się przez Syberię, góry Ałtaj i Turkiestan do Indii, skąd katorżnicy mogliby dotrzeć do Europy na pokładzie któregoś z angielskich statków. Ucieczka nastąpiła nocą 22 czerwca 1835 roku. Przez dwa dni zbiegowie ukrywali się w lasach, po czym, przedostawszy się nad brzegi Angary, zbudowali prowizoryczną modrzewiową tratwę. Ta jednak wykonana ze świeżego drzewa szła za każdym razem na dno. Wysłano więc Kasperskiego na poszukiwania innej łodzi, a ten nie tylko znalazł takową, ale i człowieka, który gotów był pomóc uciekinierom w przeprawie przez rzekę. Nikt wtedy nawet nie przypuszczał, że Kasperski to zdrajca, pospolity złodziejaszek, który zaalarmował o wszystkim Moskali, a ci rozpoczęli obławę. Z przekazu Agatona Gillera wiadomo, że na środku wzburzonej Angary nad głowami Polaków zaczęły nagle świstać rosyjskie pociski i że nieprzyjacielskie łodzie dogoniły zbiegów i pojmały na wyspie. Podczas obławy Wysockiego raniono w rękę. Na domiar złego Kasperski fałszywie zeznawał później, że chciał on „podburzać Kirgizów i Chiny przeciw Rosji", a tym samym wywołać powstanie na Syberii.

Tysiąc kijów to za mało

Z rozkazu cara Mikołaja I uciekinierów postawiono przed sądem polowym w Nerczyńsku. Piotr Wysocki jako inicjator ucieczki i „niepoprawny niewdzięcznik" otrzymał karę najsurowszą, a do tego okrutną i hańbiącą – dwukrotne przejście przez szpaler pięciuset żołnierzy, którzy mieli wymierzyć skazańcowi tysiąc kijów. Ponadto kazano mu przystąpić do bezterminowych ciężkich

eprasa.pl 639267e58f

robót w kopalni miedzi w Akatui. Księdzu Boguńskiemu zasądzono 500 kijów, Kownackiemu, Kroczewskiemu i Malczewskiemu – karę chłosty (po 150 rózeg), Luboradzkiego „ze względu na młody wiek" zwolniono z kary, uniknął jej też zdrajca Kasperski, osadzony tylko na miesiąc w więzieniu. Wszyscy winni mieli zostać odesłani do różnych kopalń nerczyńskich pod ścisłym nadzorem policyjnym.

O tym, co przeżył bohater nocy listopadowej, opowiada świadek tamtych wydarzeń, zesłany na Syberię dekabrysta: „Wysocki był tak okrutnie i nielitościwie bity, iż prawie pod kijami skonał i jak nieżywego zanieśli go do lazaretu. Po wygojeniu ran i odzyskaniu zdrowia, jakby nie dosyć było dzikiej i okrutnej kary za naturalne pragnienie człowieka chcącego być wolnym, pułkownik Wysocki z Nerczyńska został wywieziony jeszcze dalej, aż do fortecy akatujskiej, gdzie największych i niepoprawnych wysyłają zbrodniarzy, kryminalistów i gdzie najokrutniej się z nimi obchodzą. Tu Wysocki musiał wykonywać ciężkie roboty aż do omdlenia. Wieści chodziły, że często zapadał na zdrowiu, że był milczący, smutny i ponury, unikał towarzystwa ludzi".

Przeżył tysiąc kijów, dwukrotnie przechodząc przez „szpaler śmierci". Przeżył też kaźń w Akatui znaczoną morderczą pracą w kajdanach, wewnętrzną rozpaczą i pragnieniem śmierci. „Ja miałem młot 14 funtów wagi – wyznawał – kułem nim skałę i chciałem zamordować się, a nie zamordowałem". Marek Klecel, autor książki „Sybir", opowiada, że kilku zesłańców wstrząśniętych losem bohatera powstania listopadowego zamierzało go nawet uwolnić i dokonać wspólnej ucieczki. Spisek został jednak przedwcześnie wykryty i jego uczestników – Wincentego Chłopickiego (bratanka generała), Stanisława Bronowskiego, Hilarego Webera i Fortunata Misiurewicza – skazano na chłostę i zesłano do kolejnych więzień i ciężkich robót.

Pewnej ulgi w cierpieniach doświadczył Wysocki dopiero z chwilą, gdy zezwolono mu na osiedlenie się w okolicach Akatui. We wsi Zakrajka postawił sobie niewielki dom. Chcąc przeżyć, zajmował się uprawą roli i wyrobem znanego na całą Syberię mydła z wygrawerowanym znakiem „P.W. Akatuja". Jego skromne domostwo było zawsze otwarte dla potrzebujących pomocy współrodaków-zesłańców. W rocznicę wybuchu powstania listopadowego co roku zbierali się u niego Polacy-wygnańcy, przybywający nawet z odległych części Syberii. Wspominano wtedy ojczyznę i modlono się o powrót do niej, śpiewano pieśni patriotyczne i recytowano Mickiewiczowskie strofy „Ody do młodości" i „Konrada Wallenroda".

Gdy któregoś razu do Wysockiego w latach 50. zawitał Agaton Giller, konspirator, pisarz, przyszły członek Rządu Narodowego w powstaniu styczniowym, zobaczył przed sobą człowieka, którego carska Rosja nie potrafiła w żaden sposób zniszczyć: „Przyjęty i uściskany byłem jak syn przez ojca – wspominał. – Piotr Wysocki jest jeszcze człowiekiem czerstwym i w sile wieku. Cierpienia, których tyle przeszedł, nie złamały go dotąd. Choruje częściej jak dawniej, zawsze go jednak można nazwać człowiekiem silnym. Wysokiego wzrostu, barczysty, postawa wyprostowana, wojskowa. Włosów szatyn, siwych jeszcze nie ma. Oko bystre, błękitne, nos duży, czoło małe, a wyraz twarzy wojowniczy i pełen miłości. Głos ma potężny. Mówi jakby komenderował, a gdy mi opowiadał, jakie to wiersze przed rewolucją 1831 roku młodzież czytywała, z jakich natchnień czerpała i zadeklamował kilka ustępów z »Konrada Wallenroda« Mickiewicza, zdawało się, że słyszę dowódcę, który stojąc przed frontem swojego pułku, wkrótce go na bój poprowadzi i że go pułk cały słyszy".

„Nasz naród jak lawa"

Na Syberii Wysocki znosił los katorżnika niemal przez ćwierć wieku, bez nadziei na powrót do ojczyzny. Kiedy wydawało się, że nieludzka ziemia stanie się jego grobem, że w niej na wieki złoży swe kości, przewrotna fortuna okazała się jednak łaskawa. Do Wysockiego, który przeniesiony został do Czyty na wschód od Bajkału, dotarła w połowie 1857 roku wiadomość o ogłoszeniu amnestii dla zesłańców w związku z koronacją nowego cara. Na liście ułaskawionych znalazło się także jego nazwisko. Na Syberię trafił, nie mając jeszcze skończonych 40 lat, na polską ziemię powracał jako 60-latek, jesienią 1857 roku. Nie wolno mu było osiąść w Warszawie, dlatego też na miejsce zamieszkania wybrał rodzinną Warkę. Dożył tam prawie 80 lat, doczekawszy wybuchu powstania styczniowego. Zmarł 6 stycznia 1875 roku. By jego pogrzeb nie przerodził się w wielką manifestację patriotyczną, władze otoczyły specjalnym kordonem okolice Warki. Polska młodzież jeszcze przez miesiąc nosiła symboliczną żałobę po swoim bohaterze – „białą różę na czerwonym tle umieszczoną na sercu". Na grobie Wysockiego widnieje napis, który oddaje istotę jego życia: „Wszystko dla ojczyzny, nic dla mnie". Pamięć o bohaterze nocy listopadowej do dziś żyje wśród Polaków utrwalona dzięki Mickiewiczowskiej kreacji jego postaci w „Dziadach" cz. III, gdy wypowiada znamienne słowa: „Nasz naród jak lawa, Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa, Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi; Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi". Nie bez racji Agaton Giller napisał o nim: „Ogromne serce stanowi wielkość tego człowieka. Kocha on Polskę i nic nad Polskę". ■

Źródła: T. Łepkowski, „Piotr Wysocki", Warszawa 1981; M. Klecel, „Sybir. Dzieje polskich zesłańców XVIII–XX w.", Kraków 2024; W. Śliwowska, „Ucieczki z Sybiru", Warszawa 2005.

eprasa.pl 639267e58f



Jakub Maciejewski



Jakobin, konserwatysta, zdrajca – koncepcja J.K. Szaniawskiego

Może droga od radykalnego zwolennika walki o niepodległość do wiernego zaborcy cenzorowi nie jest zaskakująca, wszak wielu bohaterów staje się na stare lata koniunkturalistami. A jednak droga Józefa Kalasantego Szaniawskiego jest nietypowa – stał się on bowiem filozofem uległości wobec cara. Tak, filozofem zdrady, a nie po prostu karierowiczem zdradzającym ojczyznę.

Przez pewien czas był nazywany „polskim Kantem", z wykształcenia prawnik, z pozycji wysoki urzędnik państwowy, a z pasji wychowawca młodego pokolenia, który tworzył dla uczniów i studentów całe kodeksy moralno-pedagogiczne. Józef Kalasanty Szaniawski (1764–1843) był w Warszawie personą wpływową, a jego przysadzista postać o wyniosłej minie kojarzyła się z erudycją, powagą i władzą.

A jednak do historii przeszedł w innej roli. Tak opisywał go Maurycy Mochnacki. niegdysiejszy jego uczeń i podopieczny: „Szaniawski zajmuje niepoślednie miejsce w historii piętnastoletniego Królestwa. Jakich środków użył Nowosilcow, żeby go skłonić do odegrania fałszywej i nikczemnej roli cenzora, do nadania tak niebezpiecznego kierunku wychowaniu publicznemu, nie wiadomo. To pewna, że za pieniądze, tytuły i urzędy takim serwilistą, jakim był, nie został. Ani go zbogacono, ani wywyższono nad innych".

Wszyscy oceniający sylwetkę Szaniawskiego byli zgodni, że jego pozycja przedstawiciela rosyjskiej władzy nie była wynikiem serwilizmu, ale ugruntowanego poglądu, wręcz fanatyzmu: „Jedyny może i pamiętny przykład aberracji tak potężnego umysłu" – pisał Mochnacki.

Jan Kucharzewski, historyk Rosji, nie znajdował dla Szaniawskiego ani jednego dobrego słowa. Twierdził, że ten filozof stworzył „doktrynę obłędną, zaprzańczą", że on sam był „fanatykiem obskurantyzmu" i „złej sprawy sługą tym niebezpieczniejszym, że bezinteresownym".

Patriota, radykał, jakobin

A przecież wcześniej walczył o niepodległość Rzeczypospolitej. Walczył dosłownie.

W młodych latach poszedł do palestry – typowa droga dla inteligentnego młodzieńca stanu szlacheckiego. Dorabiał jako komisarz sądowy, zapewne trafił też na wykłady do mało jeszcze znanego Immanuela Kanta, filozofa z Królewca. Zachwycił się tam oświeceniowymi koncepcjami praw człowieka i obywatela. Wolność i swoboda były mottem młodego Szaniawskiego, który w latach Sejmu Wielkiego szybko stał się członkiem Kuźnicy Kołłątajowskiej – klubu dyskusyjnego polskiego pisarza politycznego Hugona Kołłątaja. To środowisko zostało po latach przezwane „polskimi jakobinami", choć daleko im było do francuskich radykałów. Był jeszcze zbyt młody i zbyt prowincjonalny, by na tej grupie wywrzeć jakieś wrażenie, ale wsłuchiwał się w głosy mądrzejszych od siebie. Ksiądz Kołłątaj jako sejmowy radykał został w 1791 roku podkanclerzem koronnym, stając się największym motorem przemian społecznych w Polsce, a jednocześnie czynił to – mimo swojego stanu duchownego – wbrew Kościołowi. I to się Szaniawskiemu podobało. Był wtedy w awangardzie postępu, gotów krytykować przywileje szlacheckie, dominację Kościoła katolickiego czy w ogóle wychowywanie w duchu chrześcijańskim. Służył też w armii, także podczas wojny polsko-rosyjskiej w obronie Konstytucji 3 maja i w przeciwieństwie do większości stronników Kołłątaja nie podpisał konfederacji targowickiej, lecz po prostu ustąpił ze wszystkich stanowisk, by później – po rozbiorach – konspirować i organizować walkę niepodległościową. Nadal był radykałem – w Paryżu agitował na rzecz środowisk republikańskich, które widziały odrodzoną Rzeczpospolitą bez króla, za to z silnym przedstawicielstwem innych stanów.

Cały czas studiował najnowsze prądy filozoficzne Europy – był prawdziwym erudytą. Oprócz Fichtego, Kanta czy Schellinga sięgał po klasyków – Platona, Arystotelesa, Epikura. Zajął się także tłumaczeniem traktatów myślicieli niemieckich na język polski. Jego umysł stopniowo odchodził od radykalizmów, ale w 1801 roku światopogląd Szaniawskiego zaczął się drastycznie zmieniać.

Wtedy to „polski jakobin" przyjechał do kraju, do Warszawy, będącej wtedy jeszcze pod zaborem pruskim. Nie zastał tam jednak niepodległościowego wrzenia, a wprost przeciwnie – sielankę ziemiańską, która w nowym porządku prawnym się bogaciła, zakładała kluby dyskusyjne, wydawała nowoczesne pisma na temat gospodarki, edukacji, prawa. Zamiast tułaczki po Europie i agitowania na rzecz odległych i niepewnych oddziałów niepodległościowych można było wieść spokojne życie i wzbogacać lokalne społeczeństwo pracą naukową, społeczną i gospodarczą. A do tego Szaniawski zaczynał w swoich studiach filozoficznych odkrywać wartość ładu społecznego, spokoju i sceptycyzmu wobec ludzkiej natury, w którą tak bezkrytycznie wierzyło europejskie oświecenie. Powróciwszy na ziemię ojczystą, Józef Kalasanty Szaniawski stawał się kunktatorem, koniunkturalistą i zdrajcą.

Kunktator, filozof, konserwatysta

Zaraz po powrocie na ziemie polskie rozpoczął publikowanie swoich nowych dzieł, w których zdradzał już nie republikańskie, a właśnie konserwatywne poglądy na świat. W 1802 roku wydał broszurkę pt. „Co to jest filozofia". Nie jawił się w niej jeszcze jako konserwatysta i przeciwnik rewolucji, ale widać już było jego tęsknotę za ładem i spokojem. Chciał stopniowych zmian w zgodzie z ludzką naturą, a nie przewrotów. „Lekkie zastanowienie się nad naszym w rzędzie tworów położeniem i nad udzielonymi nam od natury władzami pokazuje, że człowiek, jako przeznaczony do samowolnego działania, którego okręg wzrasta w miarę mnożących się w społeczeństwie stosunków, odebrał w zdolnościach poznawania środki wystarczające do uzacnienia spraw swoich" – czytamy w książeczce. O ile rewolucja wyzwalała zmysły i żądze, o tyle nowy Szaniawski chciał organizować te emocje wedle wskazań filozofii. „Filozofia owocem jest potrzeby, którą ma rozum, aby w poznawaniu i działaniu naszym wszystko ujedno-

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 639267e58f

stajniał, wszystko pod pewne najogólniejsze podciągał widoki, wszystko ku główniejszym zwracał zamiarom. Potrzebę tę czuje człowiek tym mocniej, im liczniejszych nabywa wiadomości, których mnogość, wielorakość i rozmaitość systematycznego uporządkowania". U pisarza zatem widać już odejście od burzenia zastanego porządku – choć przecież daleko do zdrady i wspierania zaborców. Ale Szaniawski szukał swojej drogi dalej – i coraz bardziej oddalał się od wolności na rzecz wszechmocnego państwa. W 1803 roku wydał „O znamienitszych systemach moralnych starożytności", gdzie „dobro społeczności" wskazane przez mądrych jest już najwyższym dobrem, a restrykcyjny Platon zdaje się mu wytyczać kierunek. „Obraz państwa rozumu i cnoty, wystawił rozległy plan społeczeństwa urządzonego prawami, wydobytymi z głębokiej przyrodzenia ludzkiego znajomości". U starożytnych filozofów Szaniawski wyczytał wskazanie postępowania „spokojnie pod kierunkiem rozumu i cnoty: tej wpływ potężny nigdy nie był zawodny". Wydaje się, że po dawnym Szaniawskim-jakobinie nie było już śladu.

W tym samym 1803 roku polski filozof widział w rozwoju społeczeństwa już nie potrzebę rewolucji, a oddziaływania chrześcijaństwa. Podziwiał Mojżesza za twarde i surowe rządy, a wyzwolenie ludów widział nie w przewrocie jakobinów, a w porządku Kościoła. W kolejnej broszurce, „System chrystianizmu krótko wyłożony", chciał już ująć w karby „tłuszczę", po której stronie jeszcze do niedawna stał. „Co za siła tak prędko i tak skutecznie zdołała dzikie owe tłuszcze ująć w kluby towarzyskiej podległości, i do doskonalszej one usposobić cywilizacji, niż była ta, którą w starożytności widzimy? Bądźmy sprawiedliwi i przyznajmy to, co jest chrystianizmu dziełem: Jego duch sprawił, że znikała spośród Europy owa legalna niewola wyrobniczej klasy ludu, upoważniana prawami najoświeceńszych starożytności narodów".

W kolejnych latach cała Europa obserwowała, jak z chaosu rewolucji i postępu wyłaniała się stara, dobra monarchia. Napoleon Bonaparte stał się cesarzem Francuzów i zaprowadził tradycyjne porządki. Za tym przykładem ewoluowało wielu przewrotowców, doceniając jednak reżim i poddaństwo. W 1805 roku Szaniawski napisał coś na kształt poradnika dla młodzieży, z wieloma drugorzędnymi wskazówkami, jak picie soków i spanie po osiem godzin, ale oprócz tego zalecał tam posłuszeństwo wobec rodziców, starszych i władzy. Dwa lata później powstała namiastka niepodległej Polski – Księstwo Warszawskie. Szaniawski szybko znalazł nowe stanowiska w rozmaitych agendach polskiego rządu, zajmując się sprawiedliwością, archiwami, urządzaniem Gwardii Narodowej – ale jednak coraz bardziej pociągały go edukacja i ład społeczny, choć w małym państewku na pierwszym miejscu stawiało się na przygotowania do wielkiej wojny. Filozof pozostał więc nieco drugorzędnym urzędnikiem, coraz silniej pracującym nad swoim kostycznym, proautorytarnym porządkiem.

Koniunkturalista i zdrajca

Po upadku Napoleona Szaniawski trafił z różnymi zadaniami dyplomatycznymi na kongres wiedeński. Zgromadzenie wszystkich monarchów Europy, włącznie z głowami najpotężniejszych mocarstw, zrobiło wrażenie i na nim. Dawny jakobin dojrzewał do roli wiernego sługi cara, zwłaszcza że był związany z Czartoryskimi, którzy na dworze Aleksandra I mieli wielkie wpływy. Przy dynastii Romanowów jego dawni idole, tacy jak ks. Hugo Kołłątaj, wyglądali jak społeczny margines przy antycznych herosach. Wróciwszy do Królestwa Polskiego, związanego już siłą z Imperium Rosyjskim, Szaniawski był już twardym pałkarzem carskiego reżimu. On nie miał być po prostu wykonawcą planów zaborcy, a inicjatorem, kreatorem i wynalazcą nowych rozwiązań urządzających polskość w ramach systemu zaborców. Bez szczególnej funkcji w rządzie, bez tytułów, wielkich orderów i wysokich pensji – Szaniawski stał się idealistą, który miał pacyfikować gorące głowy polskie z czystego poczucia misji i przekonania, że tak trzeba.

Nowa epoka w życiu polskiego filozofa to właśnie Kongresówka – z nominalnie polskim sejmem, ale *de facto* rosyjską władzą. Szaniawski szybko został prezesem Komitetu Cenzury, gdzie miał wykazać się niezwykłymi zdolnościami organizacyjnymi. Wówczas zawód cenzora nie był niczym haniebnym – kojarzonym raczej ze zwalczaniem obsceniczności, pornografii i bluźnierstw przeciwko religii, no i w pewnym sensie władzy. W Rosji było gorzej, bo władza była tak nacechowana religijnie, że czasem i ciastko w kształcie polskiej rogatywki mogło doprowadzić do zsyłki na Syberię. Ale Szaniawski stworzył tu cały system nakazów i zakazów, w którym chciał Polaków wychować na wiernych carowi poddanych. Zobaczył w Aleksandrze „geniusza ożywionego świętym ogniem moralności". Zatem ład chrześcijański pozostawał celem, a imperator – drogą do zbawienia. Nieważne że w prawosławnym duchu łamiącym przykazania i chrześcijańskie doktryny – część konserwatystów właśnie misją boską carów tłumaczyła swoją lojalność wobec zaborców.

W tym czasie na ziemiach polskich pojawili się pierwsi romantycy – młode pokolenie pragnące wolności bardziej niż życia. Szaniawski uznawał to za infantylizm i niedorzeczność. Te wszystkie Mickiewicze, Zany i Słowackie budziły w nim obrzydzenie – później zwalczał ich twórczość. Wtedy jednak zwalczał romantyzm w szkołach i na uniwersytecie. W 1822 roku został członkiem komisji śledczej mającej wydać wyrok na młodzież ze Związku Przyjaciół Panta Koina, która przemycała i rozpowszechniała zakazane lektury. Szaniawski już wcześniej miał kontakt ze szkolnictwem – układał programy nauczania, występował na inauguracjach roku szkolnego, zatwierdzał listy lektur

eprasa.pl 639267e58f

i konferował z nauczycielami. W procesie Panta Koina też nie był zbyt surowy – wciąż wierzył, że umiłowaniem porządku zamiast wolności przekona Polaków – w tym młodych buntowników – do przejścia na jego stronę. Tak się nie stało – młodzież odnajdujemy po ośmiu latach w szeregach powstańców listopadowych, zaś kolegów Szaniawskiego – rozstrzelanych na ulicach Warszawy.

Filozof przez chwilę próbował zwerbować także młodego krytyka literackiego – Maurycego Mochnackiego. Przez kontakt z jego matką wciągnął go do pracy w Komitecie Cenzury i początkujący historyk faktycznie pisał raporty na temat nowo napływających zza granicy książek. Ale Mochnacki szybko zrozumiał – a był trzykrotnie młodszy od Szaniawskiego – że cenzura nie ogranicza zła, bo to się wlewa innymi drogami, za to zabija dyskusję, swobodę i... prawdę. A przecież rzekomo w obronie prawdy występowali rzecznicy cenzury. „Te pisma – to hańba moja" – napisał po latach o swoich notatkach cenzorskich Mochnacki. A więc Szaniawski poniósł kolejną klęskę.

W piętnastoleciu Królestwa Polskiego (1815–1830) Szaniawski nie był jednak zupełnym serwilistą. Towarzysko i politycznie był związany z Wincentym i Bonawenturą Niemojewskimi, posłami na Sejm z Kalisza, tzw. kaliszanami, czyli legalną opozycją zmagającą się z łamaniem przez carów konstytucji. Kaliszanie jednak byli szykanowani, niedopuszczani do głosu, wreszcie przerwano na kilka lat zwoływanie Sejmu. Szaniawski w tym czasie był cenzorem, który uniemożliwiał krytykę tych poczynań w prasie – jak więc łączył widzenie brutalnej zaborczej rzeczywistości z lojalnością wobec tejże? Nacisk rosyjski na wszelkie przejawy polskiego patriotyzmu narastał – a Szaniawski się z tym godził.

Grzech główny?

Sporą rolę odegrał tu sprzymierzeniec o wiele bardziej znany i potężniejszy niż jacyś tam Niemojewscy.

Nikołaj Nowosilcow (1761–1838) był założycielem Tajnej Policji w Królestwie Polskim, a sam został komisarzem carskim pilnującym polskiej administracji. Rozpętał w kraju terror tropienia polskich patriotów, ale jeszcze bardziej znany był na Wileńszczyźnie, gdzie ofiarami jego śledztw padali Filomaci i Filareci. Nowosilcow pochodził z tego samego pokolenia co Szaniawski i w czasie gdy poznali się po 1815 roku, obaj miłowali „porządek" i twardą rękę władzy oraz zwalczali rewolucję, zmiany społeczne i niepodległość Polski. Ale nie tylko bliskość ideowa połączyła obu panów we współpracy. Nowosilcow stał się protektorem Szaniawskiego, który dzięki tej znajomości obracał się w kręgach najwyższej władzy Kongresówki, bywał na audiencjach i balach carskiego brata – wielkiego księcia Konstantego. Gdy w listopadzie 1830 roku na ulice Warszawy wybiegła powstańcza młodzież, pierwsze co zrobił Szaniawski, to pojechał do pałacu Nowosilcowa, by ukryć jego archiwa i przewieźć je w miejsce dalekie od oczu polskich patriotów. Zatem w pierwszym odruchu filozof pozostał wierny Rosjanom.

I oto gdy rosła pozycja towarzysko-społeczna Szaniawskiego, spadała jego rola jako filozofa. Właściwie przestał pisać i publikować na temat historii filozofii, zarzucił przekłady klasyków myśli europejskiej. Z teoretyka „twardego porządku" stał się praktykiem, ale intelektualnie zamarł, nie liczył się już jako autor, pisarz, publicysta.

Trudno tu było uniknąć wrażenia, że jego idealizm nie jest już taki do końca czysty. Choć funkcje, które pełnił Szaniawski, nie powalają, nie był obsypany zaszczytami, to jednak w Warszawie był postacią rozpoznawalną i przez elity władzy szanowaną. Cenił go zaufany cara – Nowosilcow, kłaniali mu się nisko generałowie, ugaszczał go wielki książę Konstanty. Wszystkie te powody do pychy zwieńczone były posiadaniem akurat tej władzy, która Szaniawskiego pasjonowała – wychowywaniem młodego pokolenia, budowaniem światopoglądu Polaków. Z tego okresu zachowały się jedynie mowy Szaniawskiego do młodzieży, w których widać, jak bardzo dumny był ze swojej roli.

Po powstaniu listopadowym służył dalej Rosji. Gdy w okrojonym z praw i wolności Królestwie Polskim wprowadzono wieloletni stan wojenny i zniesiono polską administrację, w kolaboranckiej i wiernopoddańczej Radzie Stanu Szaniawski zasiadł bez szemrania. Nowosilcow utracił wpływy, a w jego miejsce pojawił się nowy namiestnik rosyjskiej prowincji – generał Paskiewicz. Filozof pozostał w kręgu jego gości, ale już nie tak blisko jak z dawnym szefem tajnej policji. Z biegiem lat liczba jego przyjaciół mówiących po polsku zmniejszała się, a rosyjskojęzycznych towarzyszy było coraz więcej. W tamtym okresie trudno znaleźć już napisaną po polsku opinię, która oceniłaby wysoko wieloletniego urzędnika carskiej Rosji.

A tymczasem wszystkie opinie o tym filozofie, przytoczone na początku, powstały już na wiele lat po powstaniu listopadowym, gdy podział na zdrajców i bohaterów był wtedy dość oczywisty. Zwłaszcza że po polskiej klęsce, gdy dziesiątki tysięcy Polaków musiały udać się na emigracje, a innych spotykały represje na miejscu, Szaniawski... nadal pozostał urzędnikiem władz. Spokojnie przeczekał zryw narodowy w swojej kamienicy w Warszawie, biernie przyglądając się eksplozji polskiego patriotyzmu. Czekał na swojego cara – i doczekał się go. Po wkroczeniu Rosjan nadal pozostał dyrektorem departamentu odpowiedzialnego za edukację – jakby nic się w Polsce nie zmieniło, był nawet członkiem Rady Stanu Królestwa Polskiego, które *de facto* było pod rosyjską okupacją.

Nie znamy pism Szaniawskiego z tamtego okresu – jak usprawiedliwiał wywózki na Sybir, zakazy dla katolików i rozstrzeliwania młodych ludzi, jak usprawiedliwiał to tym swoim konserwatyzmem. Bo ta postawa za często jest pretekstem do zgody na karierę za bardzo brudne kompromisy. ■

eprasa.pl 639267e58f

Piotr Lisiewicz

Jak to możliwe, że Europa, kolebka demokracji, zmierza ku jej upadkowi? Jak dotrwaliśmy do czasów, w których ważnym problemem stała się wolność słowa? Jak bolszewizm wpływa na losy wolnych narodów? Profesor Marian Zdziechowski opisywał symptomy zjawiska, które dziś osiąga swoje apogeum. To nieprawdopodobne, ale książka „W obliczu końca" ukazała się w 1938 roku. Co stało się później, wszyscy wiemy.

Marian Zdziechowski

Bolszewizm i wszechświatowa propaganda

Europa jest w stanie tragicznym; tytuł ten, „L'Europe tragique", nadał ostatniemu dziełu swemu profesor uniwersytetu we Fryburgu, prezes Union catholique d'etudes internationales, Gonzague de Reynold. Pisał rzecz swoją – czytamy w przedmowie – „w niepokoju wielkim i nieraz w udręczeniu". Zawalił się pod ciosami rewolucji Stary Świat; coraz głębiej zapadamy w podziemia nędzy materialnej, w sferze zaś ducha – zanik wiary, anarchia myśli, rozbrat ze zdrowym rozsądkiem, relatywizm w filozofii i nieodłączny od niego upadek charakterów. Idee, które kierowały życiem, zeszły, powiedziałby tu Gustave Le Bon, do ciemnego nekropolu, w którym spoczywają zmarli bogowie.

Jakże wyglądać będzie świat nowy? Nie wiemy; jedno jest pewne, a konieczne, że przeciw rewolucji i jej zniszczeniom iść należy z kontrrewolucją, ale absolutną, czyli taką, co by umiała wyrzucić z siebie wszelkie pierwiastki mające jakikolwiek związek z rewolucją. Pierwiastki te istnieją, bolszewizm jest logicznym zakończeniem rewolucji francuskiej, tej zaś źródła leżą w epoce Odrodzenia, „w jej humanistycznych, liberalnych ideach". […]

▶ Demokratyczna równość wnet pożarła matkę swoją – wolność

Liberalizm – dowodzi prof. Reynold — kładzie cały nacisk na wolność, w szczególną zaś opiekę bierze wolność myśli i słowa. Ażeby ją zabezpieczyć przeciw wkraczaniu Kościoła w jej dziedzinę, głosi tolerancję, silniej jeszcze występuje przeciw uproszczeniom państwa; w tym celu rozgranicza władzę prawodawczą i wykonawczą, broni niezależności sądów, rad, by funkcje państwa sprowadzić do strzeżenia porządku zewnętrznego. Czy mamy to potępić?

Przeciwnie, właśnie dlatego powinniśmy wszystkimi siłami trzymać się liberalizmu. Autor cytuje słowa Alfreda de Vigny, że „najmniej zły jest ten rząd, o którym najmniej się słyszy, najmniej daje się we znaki i najmniej kosztuje". Określenie trafne; uzupełniając je, L. Romier powiedział o liberalizmie, że to „najprzyjemniejszy ze wszystkich reżymów, ale i najkruchszy". Jest kruchy, bo jest wspaniałomyślny, szanuje godność człowieka, unika gwałtu.

W zasadzie liberalizmu leży równość wszystkich przed prawem. Demokracja jest jego córą; niestety, demokratyczna równość wnet pożarła matkę swoją –

eprasa.pl 639267e58f

wolność. Człowiek rodzi się wolny – nauczał Rousseau – a sam tę wolność łamał i nicestwił pod despotyzmem owej pierwotnej umowy (contrat social), która miała stworzyć pierwszą społeczność ludzką – i nie z liberalizmu, lecz z demokracji wypłynęły bezpośrednio te wszystkie konsekwencje, które w końcu znalazły ujście swoje w bolszewizmie.

Za powszechną równością idzie głosowanie powszechne. Jednostka posiadająca jakąś wartość społeczną i polityczną ma prawo żądać, aby tę jej wartość uwzględniano. Tylko nie wynika stąd, aby ludzie wszyscy jednaką mieli wartość i każde zdanie – jednaką wagę; powszechne zaś głosowanie, stawiając rozumnych i cnotliwych na jednej stopie z głupcami, rozpustnikami, degeneratami, wychodzi na korzyść wyłącznie tych ostatnich; ci głosy swoje dają oczywiście na demagogów i karierowiczów; w ten sposób idea w zasadzie moralna staje się niemoralną w praktyce życia. Dodajmy jeszcze, idąc za autorem, że szeregi owych prowodyrów demokratycznych mas – ministrów, posłów, polityków – szybko się wyczerpują w walkach partyjnych, w gorączce życia, które ich pędzi z miejsca na miejsce nie tylko we własnym kraju, ale w dzisiejszej epoce nieustannych konferencji narodowych – po rozmaitych częściach świata. Brak im czasu i ochoty na czytanie, na studia, na skupienie myśli; siły fizyczne przestają dopisywać, umysł słabnie, charakter się paczy; nie umieją dać sobie rady z zagadnieniami, które stają przed nimi. Niechże więc państwo robi to za nich. Wyniesione na niedostępną wysokość, państwo pogrąża się w samoubóstwieniu, ono samo sobie jest celem, ono stanowi o tym, co jest moralne, a co niemoralne – i wychowywać każe młode pokolenia „w duchu państwowym", czyli kultu – dla siebie, dla państwa, jako najwyższej świętości; słyszeliśmy o dyrektorach, którzy żądali od nowo mianowanych nauczycieli, ażeby przedstawili na piśmie, jak wykładać zamierzają przedmioty swoje, np. gramatykę polską, „w duchu państwowym" […]

▶ Komunizm to socjalizm bezkompromisowy

Nie przewidzieli Marksa, jego nauki i jej fanatyków. Charakter socjalistyczny i komunistyczny miały już pomysły ekstremistów rewolucji francuskiej, po nich przyszli ci, których autor nazywa romantykami socjalizmu: St. Simon, Fourier, P. Leroux, Blanqui, Proudhon. Ale zjawia się Marks, po romantykach suchy realista. Doktrynę jego uznali jej zwolennicy za doskonały wyraz socjalizmu naukowego, fanatycy, zwłaszcza w Rosji, za ewangelię czasów nadchodzących, za Objawienie, które może wymagać objaśnień, lecz nie dopuszcza krytyki. Marks zmaterializował Hegla, zachował jego dialektykę, ale ją przewrócił, ogłaszając ideę za produkt materii. Tym samym ogołocił socjalizm z pierwiastków idealnych i to jest, mówi autor, „jego zbrodnią intelektualną, jego zdradą w stosunku do warstw robotniczych"… „Jego materializm historyczny jest głęboko niemoralny, głęboko nieludzki" (s. 94). W świecie wyzutym z ducha potrzeby materialne stanowią o wszystkim, tłumaczą wszystko; wszystko sprowadza się do produkcji. Człowiek jest narzędziem produkcji, niczym więcej; *homo oeconomicus*, czyli człowiek przeistoczony w maszynę, człowiek „fabrykowany seriami, który mało kosztuje, a zatem mało jest wart", oto najpodlejsza koncepcja człowieka, jaka kiedykolwiek była. Człowiek taki to gorzej niż degenerat, c'est un brute (s. 460). I to miałoby być typem przyszłości, do której nas prowadzą! A ta przyszła ludzkość już jest zrealizowana w Moskwie, i przed tą „opierzoną" Moskwą biją czołem, plamiąc uczciwe nazwiska swoje, snoby, goniące za ostatnim słowem mody!

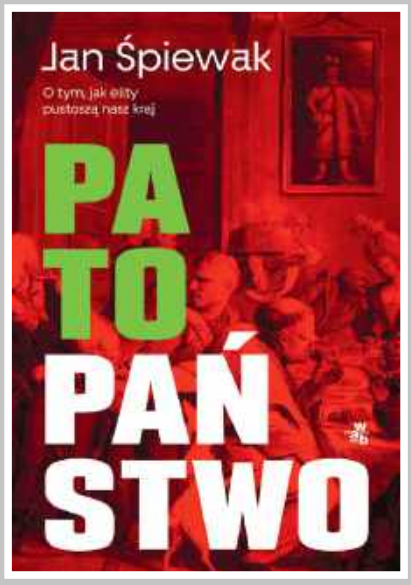
Komunizm to socjalizm integralny, bezkompromisowy, czyli nieliczący się z rzeczywistością, pędzący do celu poprzez rewolucję i zniszczenia, bo innej drogi nie ma; rewolucja i zniszczenia są prawem natury i na tym prawie natury stoją okrutne dogmaty materializmu Marksowskiego: „Niech zginie 9/10 ludności Rosji – mawiał Lenin – byleby 1/10 ujrzała nowy, na zasadach Marksa zbudowany świat". – W bolszewizmie rosyjskim odżył duch jakobinizmu francuskiego, ale podniesiony do ostatniej potęgi.

Rewolucja o charakterze międzynarodowym, zakrojona na cały świat, musi stopniowo zagarniać wszystkie inne kraje, aby w swoim własnym kraju nie zginąć. W tym celu bolszewizm znakomicie zorganizował wszechceuropejską, nawet wszechświatową propagandę. Obawiając się niepowodzenia w wojnie, wystąpił z olbrzymim planem zniszczenia Europy przez zalew jej rynków własną produkcją, celowi temu miała służyć tzw. piatiletka. Poza tym bolszewizm miał to szczęście, że po dyktaturze człowieka tej miary co Lenin, przyszedł równy jemu energią Stalin; jest to przypadek niesłychanie rzadki w historii, może jedyny – i trudno przypuścić, ażeby po zejściu Stalina znalazł się następca godny obu swoich poprzedników.

Choćby nawet się znalazł, bolszewizmu nie uratuje; w walce bowiem, którą prowadzi z życiem obca życiu ideologia, zawsze zwycięża życie, bolszewizm zaś idzie przeciw życiu, usiłując człowieka przetworzyć w automat, czyli według trafnego wyrażenia autora Europy tragicznej, wepchnąć żywe ciało w pudło, czy trumnę, w której się zmieścić nie może. ■

Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl 639267e58f



Jan Śpiewak, „Patopaństwo. O tym, jak elity pustoszą nasz kraj", Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2025

Krzysztof Wołodźko



Elity III RP. Patopaństwo zamiast szklanych domów

Manichejskie niemal zderzenie opowieści o niebywałym sukcesie polskiej transformacji z jej radykalną krytyką musi budzić dysonans poznawczy staro-nowych elit i tej części społeczeństwa, która uznała ich marzenia, fobie i przesądy za swoje. Razy i rany, jakie zadał Jan Śpiewak ich samozadowoleniu, „Warszawka", „Krakówek" i „Zoppot" otorbiły lamentami nad „pisowskim cynglem". „Patopaństwo" to nie tylko j'accuse! pod adresem ultraliberalnej, wpływowej części inteligencji, która po 1989 roku wzięła Polskę na własność i dała nam kredyty na coraz ciaśniejsze klitki zamiast szklanych domów. To podsumowanie kilku dekad III RP w bardzo ważnym historycznie momencie, w którym nie mamy pewności nie tylko co do przyszłego kształtu ustroju państwa, ale i co do formy jego trwania.

eprasa.pl 639267e58f

Kto przez lata przyglądał się opowieściom o transformacyjnej Polsce, ten wie, że dla jej demiurgów i rzesz ich wyznawców to niemal wyłącznie historia wspaniałego sukcesu, który mają potwierdzać liczne wskaźniki i czysta empiria. Geopolityczne wybicie się na niepodległość lub – inaczej rzecz ujmując – wejście w znacznie korzystniejsze zależności od zachodnich potęg sprzęgło się z procesami urynkowienia, poddaniem społeczeństwa władzy wielkiego kapitału i coraz szybciej rozwijających się technologii. Staro-nowe elity nie mogły nacieszyć się swoim szczęściem i na każdy możliwy sposób gratulowały sobie sukcesów. Jeśli coś je uwierało, to nieszczęsny zwykły zjadacz chleba: dziwnie z czegoś niezadowolony robotnik, po 1989 roku zwany na ogół pieszczotliwie „robolem" – z niskim sufitem nad głową w postaci coraz gwałtowniej rosnącego bezrobocia; albo wiejski inteligent, który z przerażeniem obserwował, jak zamykają w jego okolicy kolejne szkoły, biblioteki, domy kultury; wielkomiejskie elity irytował też niepomiernie rolnik i chłoporobotnik – ludzie paskudnie nieprzystosowani do świata, w którym przybywało anglojęzycznej terminologii biznesowej, za to ubywało coraz mocniej empatii ze strony najistotniejszych beneficjentów przemian wobec tych, którzy skorzystali na nich znacznie mniej. Gdy ksiądz Józef Tischner pobłogosławił transformacyjne walce, ex cathedra stwierdzając, że komu się nie podobają nowe porządki, ten homo sovietiucus, sprawa była przesądzona. Peany na cześć transformacji stały się oficjalną ścieżką dźwiękową kolejnych dekad. Jej krytyków, którym doskwierały koszta społeczne, obsadzono w roli malkontentów, oszołomów i dziwaków. Dla podtrzymania wrażania pluralizmu raz po raz dopuszczano ich do głosu, a koncesjonowana inteligencka lewica zrobiła sobie z uładzonej krytyki politycznej, niebywale życzliwej liberalnym elitom, niezły sposób na życie w mainstreamie.

▶ „Elity pustoszą nasz kraj"

Dziś wszystko jest super. Tylko demografia poleciała na łeb i na szyję, znaczny spadek bezrobocia okupiliśmy niebywałym odpływem ludzi w wieku produkcyjnym, państwo polskie ma problemy nawet z regionalnymi/punktowymi kryzysami, jesteśmy w czołówce, jeśli chodzi o najbardziej przepracowane narody Europy. I mamy najsłabiej dofinansowaną ochronę zdrowia. Ale nie ma się co martwić! Od zimy 2023 roku zrobiło się wręcz „superzasto". Choć gospodarka rzęzi, powinniśmy zachować się wyrozumiale – liberalne elity muszą nacieszyć się odzyskaniem władzy; muszą skorzystać z większych i mniejszych przyjemności, jakie daje jej sprawowanie – czasem to obniżenie składki zdrowotnej dla najbogatszych, czasem troska o pełen medialno-polityczny pluralizm, co najwspanialej realizuje dzisiaj TVP, choćby w czasie jej wyborczej ustawki w Końskich. Nazywając rzecz po imieniu – to niestosowne, że w normalniejącym z dnia na dzień kraju Jan Śpiewak wydał „Patopaństwo. O tym, jak elity pustoszą nasz kraj".

Ale dość kpin. Ważne zastrzeżenie: to nie jest tak, że każda opowieść o sukcesie polskiej transformacji jest z gruntu fałszywa. Nie tylko moje pokolenie osobiście przekonało się o korzyściach z końca Polski Ludowej. Prawda jest bardziej bolesna – zmiany na lepsze potraktowano jako wystarczający pretekst, żeby zmarginalizować dyskusję (i zaniechać możliwych działań) o tym, co się nie udało. Uwikłano nas w zerojedynkową opowieść, znacznie wygodniejszą i częściej wykorzystywaną przez apologetów balcerowiczowskiej strategii przemian. Elity cieszyły się z sukcesów swoich pociech na prestiżowych zachodnich uczelniach, a przy okazji zapomniały o dzieciakach mdlejących z głodu w szkolnych klasach na blokowiskach bezrobotnych. Kobiety sukcesu urządzały kongresy i cieszyły się liberalnym feminizmem. Nie słuchały o rozpaczy uboższych od nich żon i matek, które nie miały co do garnka włożyć, gdy zamykano kolejne zakłady pracy i radykalnie cięto połączenia kolejowe i autobusowe. Młodzi, wykształceni, z wielkich miast długo nie mogli zrozumieć, czego chcą cholerni roszczeniowcy z ruchów lokatorskich – a zyskujący krocie na reprywatyzacji członkowie elity tylko na tym korzystali. Ludzie, których stać na to, by każdy ranek zaczynać deptaniem bosymi nogami po trawie, zdrowym śniadaniem, lekturą książki, głową wolną od strapień, kąpielą w egzotycznym morzu traktowanym jako coś prozaicznego – mają w Polsce za nic tych, co po kilkanaście godzin muszą pracować na rosnące rachunki i pełną stresów egzystencję, w którą jako nagroda pocieszenia wliczony jest co najwyżej tydzień wakacji all inclusive w sieciowym hotelu.

To wszystko i wiele więcej realnie umniejsza znaczenie sukcesów transformacji, bo zbyt często służyło elitom III RP jako rozgrzeszenie bezprzykładnej krzywdy, wyzysku, krzyczącej niesprawiedliwości, przemocy i kryminalnych działań wyjaśnianych wolnym rynkiem i odbudową kapitalizmu. Dlatego rację ma Jan Śpiewak, a nie jego rozliczni adwersarze. Być może jest już za późno, ale także mojemu pokoleniu należał się taki głos. To także nasza wściekłość, frustracja i niezgoda. Złość ludzi z pokolenia, któremu obiecywano kapitalistyczne paradyzjum, a które dostało systemowo wspierane przez państwo śmieciówki i niemal dożywotnie kredyty na mieszkania, w któ-

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 639267e58f

rych trudno się zmieścić z trochę większym psem. To także nasze pytanie – powracające jak echo sprzed dekad: „Coście, s..., uczynili z tą krainą?".

Jak liberalna inteligencja zawłaszczyła Polskę

Wspominałem już w recenzji „Patopaństwa" dla „Codziennej" (numer 3893), że Jan Śpiewak jest człowiekiem, który wyrwał się z toksycznych objęć własnego, inteligenckiego i liberalnego środowiska. A przecież wiele predestynowało go, rodzinnie i towarzysko, żeby został apologetą i beneficjentem transformacyjnej sytuacji. On sam mówi o tym bez ogródek, przypominając, że jego ojciec, Paweł Śpiewak, był współtwórcą kwartalnika „Res Publica", który jeszcze jako podziemne pismo opowiadał się po stronie liberalnego konserwatyzmu, wprost występując z hasłem: „Ani socjalizm, ani nacjonalizm". Neoliberalna opowieść o świecie, w którym wolny rynek zastępuje skompromitowane państwo, była najpierw inteligencką baśnią ludzi ukształtowanych w PRL, których recepcja Zachodu była mocno zawężona, choć mienili się jego znawcami. Jan Śpiewak, urodzony dwa lata przed Okrągłym Stołem, poznał teorię i praktykę rynkowych zasad nie w realnym socjalizmie, a realnym kapitalizmie: „Moje odchodzenie od liberalizmu trwało wiele lat. Zakończyło się spektakularnie, gdy zostałem radnym i na dobre zająłem się warszawską reprywatyzacją. Przez kilka lat nagłaśnialiśmy przypadki kradzieży nieruchomości w stolicy i towarzyszącą temu krzywdę tysięcy mieszkańców. Mogłem się przekonać z bliska, jak wygląda praworządność po polsku, jak działają »wolne sądy«, prokuratura, policja, urzędnicy, adwokaci i politycy. Jak media odwracają wzrok".

To wyznanie może wydawać się naiwne, ale nawiązuje do najlepszych tradycji polskiej inteligencji, po których został nam tylko zakurzony gdzieś na półce egzemplarz „Rodowodów niepokornych" Bohdana Cywińskiego: „Nie mam dzieci, ale bronię rodziców. Nie mam kredytu, ale bronię kredytobiorców. Nie mieszkam w patodeweloperce, ale bronię poszkodowanych przez deweloperów. Nie pracuję na etacie, ale bronię godności pracowników. Nie jestem dorosłym dzieckiem alkoholików, ale bronię ofiar alkoholu. Miałem dobry start i chcę, żeby inni mieli równe szanse". Jeszcze jedna myśl na gorąco: świetnie, że książka stołecznego aktywisty ukazała się w Roku Żeromskiego. Szklanych domów nikt w III RP nie wybudował i nie wybuduje – dzięki „Patopaństwu" dowiedzieliśmy się przynajmniej dlaczego.

Głównym graczem polskiej transformacji są postinteligenckie, liberalne elity, które zawłaszczyły państwo, i opowieść o jego przepoczwarzeniu z PRL w III RP – to istotny motyw opowieści Śpiewaka. Nie bez powodu aktywista rozpoczyna swoją książkę od przypomnienia głośnej historii „ambasadorów szczepień" z czasów pandemii, gdy okazało się, że kompletnie poza kolejnością z niedostępnych początkowo dla zwykłych ludzi szczepionek skorzystało elitarne grono „samych swoich". Byli wśród nich: Krystyna Janda, Krzysztof Materna, Edward Miszczak, Mariusz Walter, Irena Eris, Leszek Miller. Jawne nadużycie, kumoterstwo i niesprawiedliwość błyskawicznie zagadały i usprawiedliwiły mainstreamowe media. Aktorzy tamtych wydarzeń to jedno, nie mniej istotny jest mechanizm, który od dekad towarzyszy polskiej transformacji: „Akcja w obronie znanych artystów dobrze oddaje stan ducha i mentalność polskich elit. Składają się na nią: protekcjonalne myślenie, stadna klasowa obrona zagrożonych interesów, pogarda dla prawa i instytucji, wiara w przywileje zdobyte poprzez bliżej nieokreślone zasługi na rzecz Polski".

Zlekceważone smutek i żal

Nawet jeśli w tonie Śpiewaka słychać złośliwość, nie sposób zaprzeczyć, że posolidarnościowy etos, na który lubią się raz po raz powoływać rozliczne liberalne autorytety, to już pieśń odległej przeszłości. Egoizm i narcyzm najbardziej uprzywilejowanych, a przy tym dość wąskich koterii, które skorzystały na polskich przemianach, idą w parze z legitymizowanym przez nie darwinizmem społecznym. Pełne pułapek zasady rynkowe, ciemne korytarze bezdusznych rozstrzygnięć, instytucjonalna niewydolność taniego państwa – są dla szaraczków. A dla tych, którzy mają w telefonach kontakty do bardzo ważnych samych swoich, jest dyskretnie na ogół działające państwo w państwie. Przejmującym wątkiem „Patopaństwa" są zamieszczone na osobnych stronach wypowiedzi ludzi, którzy z pomocą komunikatorów dzielą się ze Śpiewakiem własnymi opowieściami o III RP – jakże różnymi od opowieści demiurgów transformacji: „Jako dziecko myślałam, że żyjemy w świecie, który się kończy, rozpada. Za oknami mieliśmy rozpadający się zakład pracy, który rozkradali pracownicy i szabrownicy na złom. Pociągi przestawały jeździć, szkoły zamykano, padały zakłady pracy, wszystko się zamykało, gniło". Przemilczane traumy, przewiny zrodzone z niemocy, zlekceważone smutek i żal – elity nie chciały włączyć krzywd i skarg kolejnych dekad przemian do swoich opowieści, bo to zbyt mocno groziłoby ich własnym interesom.

Jan Śpiewak pokazuje III RP jako wypadkową wielu złożonych czynników globalnych i lokal-

eprasa.pl 639267e58f

nych, historycznych i współczesnych, kseromodernizacyjnych i patokonserwatywnych. Jego książka nie jest uczonym wykładem, choć autor jest z wykształcenia socjologiem. To nie „Demokracja peryferii" Zdzisława Krasnodębskiego, „Z deszczu pod rynnę. Meandry polskiej prywatyzacji" Jacka Tittenbruna ani „Postkomunizm" Jadwigi Staniszkis. „Patopaństwo" to raczej erudycyjny esej polityczny, którego nie powstydziliby się francuscy philosophes epoki oświecenia. Na patopaństwo składa się dziedzictwo klasowej pogardy sprzed wieków; kompradorska mentalność popeerelowskich elit; inteligencko-wielkomiejski miks naiwnych wyobrażeń o neoliberalizmie i przyjemna możliwość łatwego bogacenia się ludzi odpowiednio umiejscowionych w przepoczwarzającym się systemie; brutalna inżynieria społeczna początków transformacji i patologie uwłaszczenia sprzyjające ludziom powiązanym z PRL-owską nomenklaturą i służbami; bardzo niska aktywność społeczna Polek i Polaków; dyskryminacja kobiet na rynku pracy; mało innowacyjna gospodarka jak na potencjał największego unijnego kraju w Europie Środkowo-Wschodniej; system podatkowy, który obarcza nadmiernymi obciążeniami mniej zamożnych, za to chętnie zostawia jak najwięcej pieniędzy najbogatszym – rzekomo za ich pracowitość; rynkowy bilans zysków i strat, który całe grupy zawodowe zmienia w tabelki w Excelu i systemowa, projektowana z premedytacją słabość państwa, które na dekady uczyniło fetysz z bardzo taniej pracy najemnej i wysokiego bezrobocia.

▶ Pustoszejący raj neoliberałów

Elity patopaństwa chętnie załamują ręce nad każdym rzekomym przejawem roszczeniowości niższych warstw społeczeństwa, płacowych apetytów pracowników najemnych, egoizmem grup zawodowych, które wciąż potrafią się buntować na drogach i ulicach; chętnie mówią albo długo mówiły, że państwa nie stać na sprawną komunikację publiczną, budownictwo komunalne, szkoły na wsiach i na wielkomiejskich blokowiskach, powiatowe szpitale, posterunki policji, stacje sanepidu, etaty dla urzędników. Myliłby się jednak ten, kto sądzi, że ideowo-polityczne koterie, uważające się za jedynych prawowitych właścicieli III RP, nie potrzebują państwa. Przeciwnie: żerują na nim, bo to najdogodniejsze i najpewniejsze źródło zasobów. Państwo jest dla nich, dla ich najwierniejszych wyborców, klakierów i totumfackich, a nie dla milionów obywateli i obywatelek. Jan Śpiewak raz po raz atakuje w tych sprawach również PiS, ale częściej poddaje bezwzględnej krytyce tych, którzy w latach 2015–2023 wolą wyborców zostali skazani na polityczny czyściec. Jeśli dobrze go rozumiem, nie uważa, że czegokolwiek się przez te lata nauczyli – może poza tym, że ciosy trzeba oddawać jeszcze mocniej niż przeciwnik, bo to jedyna szansa, by III RP na dobre wróciła w koleiny sprzed władzy „pięćsetplusowych populistów".

Jedną z cech charakterystycznych staro-nowo elit, którą doskonale uświadamiają poszczególne rozdziały „Patopaństwa", jest chów wsobny. Koterie polityczne, sędziowskie, medialne, kulturowe, biznesowe tworzą w miarę zwarty system, w którym dokonuje się naturalna wymiana pokoleniowa. Działa także system kooptacji i weryfikowania lojalności, ale szeroki awans społeczny staje się coraz bardziej problematyczny. To wyjaśnia, dlaczego krytyka negatywnych procesów formujących III RP była systemowo źle widziana przez beneficjentów transformacji – jeśli przekroczyła akceptowalny próg niewiele znaczących utyskiwań, traktowano ją najpierw jako niestosowność, a później jako nielojalność. Co prawda Jacek Żakowski mógł się przez lata obnosić ze swoją sympatią do młodych lewaków, ale ostatecznie występował jako mędrzec, którzy przypominał, że absolutnie nie wolno głosować na populistów i demagogów. Ten schemat nie dotyczy tylko jego. Polaryzacja polityczna i wytworzenie się po 2015 roku konkurencyjnego wobec liberałów i lewicy obozu realnej władzy zaburzyła ten proces, materialnie i symbolicznie, ale III RP i pod tym względem wraca znów w stare koleiny. Gdyby nie to, że „nad horyzontem błyska się i słychać szczęk żelaza", liberalne elity obwieściłyby zapewne z ulgą, że porządek panuje w Warszawie. Jak na razie cieszą się, że w czasach nazwanych przez premiera Donalda Tuska przedwojennymi (sic!), to one znów są górą.

W metropoliach wyrosły biurowce, w niemal całym kraju udało się wybudować nowe drogi, którymi mkną luksusowe auta, wzrósł komfort życia, w publicznych szaletach jest czyściej niż za PRL, bez trudu wyjeżdżamy za granicę, choćby i na stałe. Mamy nawet wolność słowa, szczególnie dobrze ją słychać w zgodnym chórze mainstreamowych mediów. A przecież Jan Śpiewak pisze: „Wiele badań pokazuje, że wysokie koszty związane z urodzeniem dziecka, będące efektem neoliberalnej polityki gospodarczej, takie jak prywatyzacja mieszkalnictwa, usług medycznych i edukacyjnych, deregulacja rynku pracy oraz brak perspektyw zatrudnienia, prowadzą do rezygnacji z rodzicielstwa. Istotną kwestią jest też samotność rodziców i indywidualizm Polaków". Elity III RP są dumne z siebie, że stworzyły nam mały raj na kredyt w miłym zakątku unijnej Europy. Tylko dlaczego coraz bardziej w nim pusto? ■

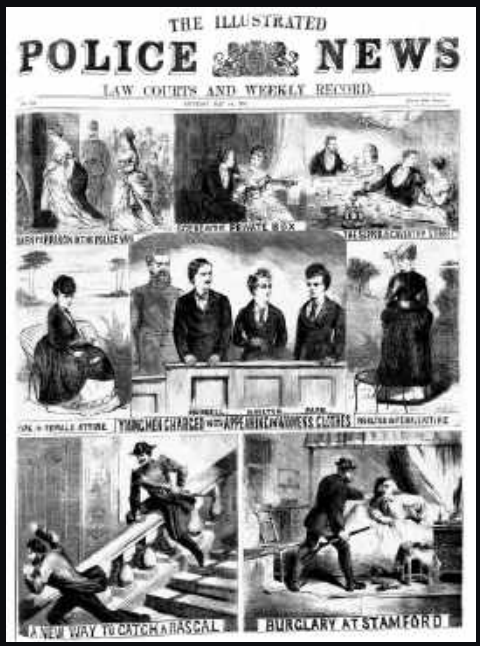
eprasa.pl 639267e58f

Łukasz Czarnecki

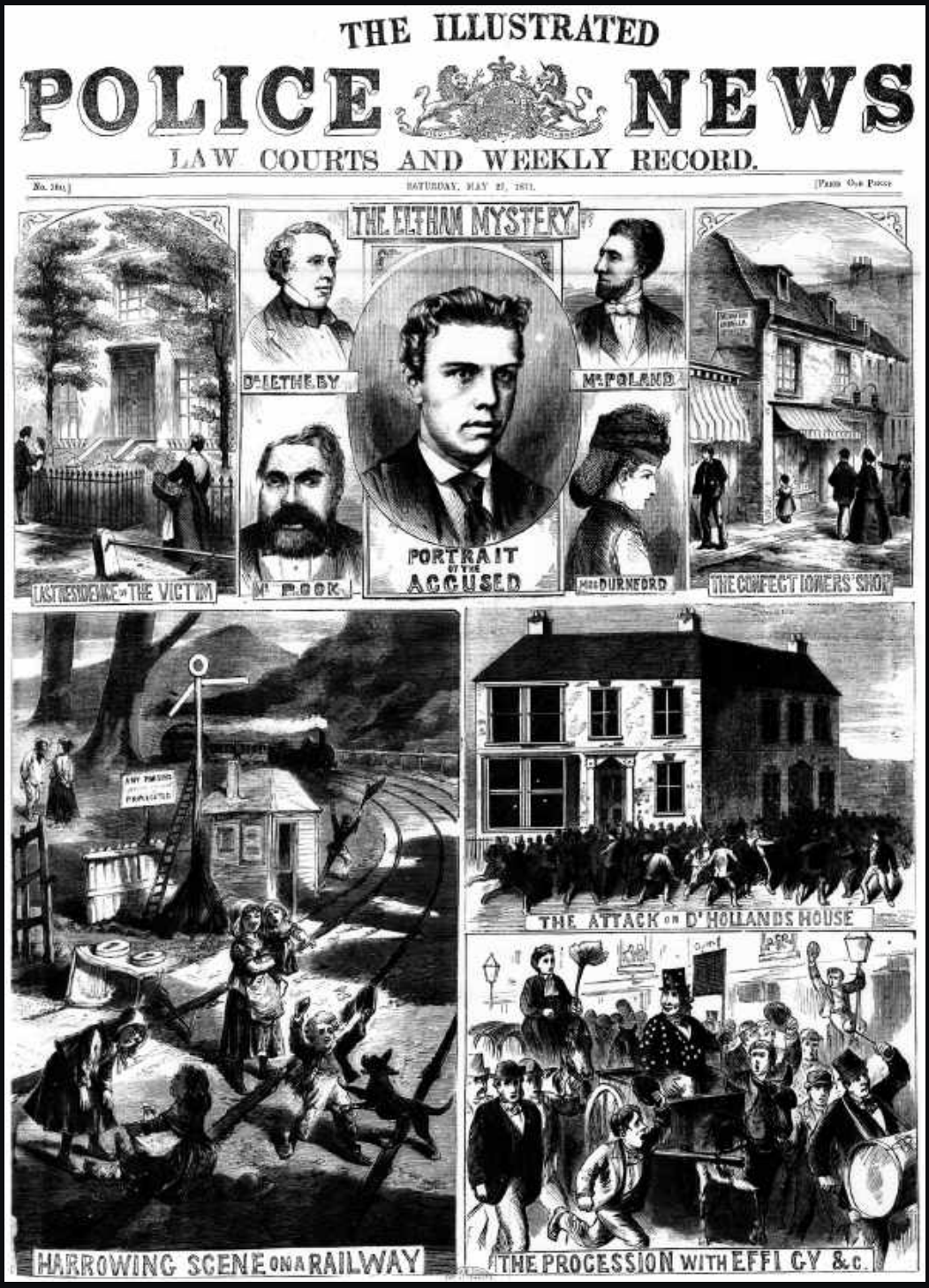
Z wiktoriańskiego brukowca

W trzeciej dekadzie XXI wieku żyjemy w świecie fake newsów i internetowej papki medialnej, gdzie bardziej liczy się chwytliwy tytuł niż treść kryjącego się za nim tekstu. Twórcy artykułów coraz rzadziej przykładają się do sprawdzania autentyczności podawanych informacji, a od mediów żąda się przede wszystkim dostarczania lekkostrawnej rozrywki. Jednak jeśli cofniemy się do początków mass mediów, okaże się, że podobne zjawiska zachodziły nawet w złotym wieku prasy.





fot. Wikimedia Commons



W pierwszej połowie XIX stulecia pojawiły się czynniki, które miały wkrótce umożliwić rozkwit rynku prasowego. Przede wszystkim dzięki ulepszeniu maszyn drukarskich znacząco spadły koszty druku, co pociągnęło za sobą obniżenie cen gazet i książek. Wzrosła też liczba odbiorców słowa pisanego, państwa europejskie wprowadzały jedno po drugim obowiązek szkolny, co skutkowało odwrotem analfabetyzmu stanowiącego w poprzednich stuleciach powszechne zjawisko (choć może trudno w to uwierzyć, w XVIII wieku w Japonii było więcej osób piśmiennych niż w całej Europie). Mający co nieco więcej w głowie niż ich przodkowie absolwenci szkół, nawet tylko tych podstawowych, wykazywali zainteresowanie tym, co działo się poza najbliższą okolicą. Odpowiedzią na to zapotrzebowanie stał się prasowy boom, dobrze widoczny choćby w Wielkiej Brytanii, gdzie obok nobliwych tytułów, przeznaczonych dla elit, zaczęły ukazywać się i czasopisma mające za docelowego czytelnika przedstawiciela klas niższych. W dystrybucji gazet pomagał błyskawiczny rozwój linii kolejowych, które umożliwiały transport magazynów wydrukowanych na przykład w Londynie nawet do odległych części kraju. Dodatkowo wynalazek telegrafu sprawił, że dziennikarze zaczęli mieć szybki dostęp do informacji z odległych zakątków Europy. Powstały pierwsze agencje prasowe zwalniające redakcje z kosztownego obowiązku utrzymywania korespondentów zagranicznych. Jeśli naczelny jakiegoś tytułu nie chciał płacić tego typu instytucjom, zazwyczaj kazał… przepisywać wiadomości z innych gazet. Przez cały XIX wiek w Wielkiej Brytanii była to normalna praktyka. Angielskie sądy jeszcze długo nie rozciągały prawa autorskiego na materiały prasowe.

Mocną stroną – ilustracje

Dużą popularnością na brytyjskim rynku cieszyły się wydawnictwa wypełnione krwią, przemocą, a czasem i seksem. Choć w przypadku tych ostatnich redakcja igrała z ogniem, o czym przekonała się ekipa tworząca w latach 1870–1872 gazetę „Here and There", opisującą sensacyjne, romantyczne i nieprawdopodobne wydarzenia, ilustrując je grafikami prezentującymi piękne dziewczęta, częstokroć w różnym stopniu negliżu. Zapewne wielu mężczyznom (i to niekoniecznie z klas niższych) całkiem się owe skąpo ubrane niewiasty podobały, ale ich stojące w sprzeczności z wiktoriańską moralnością wizerunki doprowadziły ostatecznie do sądowego nakazu likwidacji periodyku oskarżonego o sianie publicznego zgorszenia.

Niepocieszonym stratą ulubionego źródła dramatycznych opowiastek czytelnikom pozostawało na szczęście do wyboru wiele innych czasopism. Jednak żadne z nich nie odniosło sukcesu tej miary co „The Illustrated Police News" (dalej zwane „IPN"), które wyrósłszy z bardzo skromnych początków, urosły do rangi instytucji sięgającej wpływami najdalszych zakątków imperium brytyjskiego. W swoich najlepszych czasach „IPN" rozchodziły się w nakładzie 300 tys. egzemplarzy, posiadało lokalne biura i było czytane w Australii, Kanadzie czy Południowej Afryce. W 1886 roku czytelnicy poważanej „Pall Mall Gazette" w specjalnym plebiscycie wybrali „IPN" „najgorszą gazetą Anglii". Ówczesny właściciel tygodnika, George Purkess Jr, bynajmniej nie obraził się tym przynoszącym wątpliwą chwałę tytułem i udzielił redakcji „PMG" obszernego wywiadu na temat swojego czasopisma.

„The Illustrated Police News" stanowiły ciekawą fuzję typowego brukowca i pełnych krwawych opowiastek publikacji nazywanymi „koszmarami za pensa", zawierając przy tym elementy czyniące z nich prekursora komiksu. Dla redakcji tabloidu szata graficzna stanowiła przez długie lata (aż do śmierci Purkessa i przejścia gazety w inne ręce) ważniejszy element niż warstwa tekstowa. Co może wydawać się zaskakujące, „IPN" w ogóle nie zatrudniały reporterów, anonimowi autorzy publikowanych artykułów po prostu przepisywali wiadomości z innych czasopism. Za to co do rysowników brukowiec miał przez całe dekady szczęście, a jego strony tytułowe zdobiły wysokiej klasy ilustracje wykonywane metodą drzeworytniczą (później zastąpioną przez staloryt). Jeśli tylko istniała możliwość, redakcyjnych ilustratorów wysyłano w teren na miejsce zdarzeń, które mieli narysować, lub kontaktowano się z naocznymi świadkami, prosząc ich o pomoc w oddaniu na papierze szczegółów zajścia. Co więcej, „IPN" były otwarte na współpracę z utalentowanymi amatorami i wzywały ich, by przesyłali swoje grafiki prezentujące lokalne ciekawostki. Często zdarzało się potem, że domorosły rysownik z dumą pokazywał znajomym swoją pracę na pierwszej stronie poczytnego tygodnika!

Sensacje za pensa

Tabloid założony został w 1864 roku przed spółkę księgarza i szewca, dla których miał, jak się zdaje, być głównie medium służącym reklamowaniu ich towarów, choć obaj dżentelmeni deklarowali, iż pragną nieść kaganek oświaty, walczyć o prawa kobiet i robotników, wzywać do uczciwego wynagradzania policjantów, surowego karania bandytów itp. Panowie Bulpin i Lea (tak się bowiem nazywali) już w 1865 roku odsprzedali swoje udziały Georgowi Purkessowi Jr – synowi księgarza i sprzedawcy gazet, który pozbawiony dziedzictwa przez synów macochy, założył własny sklep z książkami i wydawnictwo. Szybko okazało się, iż miał on genialnego nosa do interesów. „IPN" stały się fundamentem imperium medialnego, które uczyniło z pochodzącego z niższej klasy średniej, pozbawionego formalnego wykształcenia (z tego co wiemy, uczęszczał tylko do podstawówki i nie wiadomo, czy ją skończył) mężczyzny milionera, członka elit finansowych Londynu, patrona teatru oraz dostojnika dwóch lóż masońskich. Gdy 9 grudnia 1892 ro-

eprasa.pl 639267e58f

ku George Purkess Jr umarł z powodu zaawansowanej gruźlicy, swojej drugiej o wiele młodszej żonie i ich wspólnej córce zostawił pokaźny majątek. Warto przy tym odnotować, że właściciel „IPN" do końca życia pozostawał idealistą i dopóty to on stał za sterami brukowca, oprócz sensacyjnych historii łamy gazety wypełniały również liczne umoralniające artykuły poruszające takie tematy, jak: nierówności społeczne, wyzysk robotników, ubóstwo klas niższych czy okrucieństwo wobec zwierząt. Gdy po jego śmierci wdowa sprzedała tabloid zewnętrznemu inwestorowi, wszelkie poważniejsze treści ustąpiły miejsca szaleńczym „opowieściom dziwnej treści", a poczucie misji gdzieś wyparowało.

W pierwszych latach swego istnienia „IPN" miały zaledwie cztery strony. Z czasem tabloid utył, rozrastając się do stron szesnastu. Oprócz ilustracji na stronie tytułowej rysunki znaleźć można było też na rozkładówce wewnątrz gazety, szczególnie chętnie wykorzystywanej w trakcie konfliktów zbrojnych do prezentowania bitewnych panoram. Obok atrakcyjnej szaty graficznej atut przyciągający czytelników stanowiła też cena, przez większość swego istnienia „IPN" kosztowały zaledwie pensa. Zmieniło się to dopiero w czasie I wojny światowej, kiedy reglamentacja papieru wymusiła na wydawcach podniesienie ceny i odchudzenie periodyku. Po zakończeniu konfliktu brukowiec wychodzić miał jeszcze do 3 marca 1938 roku, ale okres ten to już lata schyłku i degeneracji tytułu. Rysunki wykonywano niedbale, a z czasem, mimo iż to one stanowiły największą siłę „IPN", zaczęły być wypierane przez zdjęcia. Coraz mniej miejsca poświęcano tematom kryminalnym obiecywanym przez samą nazwę gazety, za to rozrastały się kolumny sportowe, wkrótce zajmujące połowę objętości numeru. Co gorsza, Purkess wierzący, że jego brukowiec może zmieniać angielskie społeczeństwo na lepsze, gdyby zmartwychwstał w dwudziestoleciu międzywojennym, byłby przerażony tym, w co przemieniły się „IPN". Ówcześni wydawcy uczynili czasopismo siewcą nienawiści i ksenofobii, wzywając czytelników, by „pokazali obcym, gdzie ich miejsce – daleko stąd".

Ostatni numer najpoczytniejszego tabloidu imperium brytyjskiego trafił do kiosków 3 marca 1938 roku. W liście do czytelników redakcja informowała, że od następnego tygodnia periodyk zmieni swój tytuł na „The Sport Records" i będzie od tej pory poświęcony wyłącznie kwestiom sportowym. Tym sposobem zakończył swoje ponad 70-letnie istnienie jeden z najciekawszych tygodników w dziejach brytyjskiej prasy, stanowiący fascynującą kronikę wielkich i małych wydarzeń, jakimi żyła wiktoriańska opinia publiczna. Siądźmy teraz wygodnie w fotelu i zagłębmy w lekturę „IPN"…

Policjanci i złodzieje

Pomimo wyrazu „police" w tytule uwielbiany przez czytelników brukowiec nie miał żadnych formalnych powiązań z policją. W XIX-wiecznej angielszczyźnie rzeczonego słowa używano w znaczeniu takim, jak dzisiaj przymiotnika „kryminalny". Stąd nazwę „The Illustrated Police News" najtrafniej przetłumaczyć można by jako „Ilustrowane Wieści Kryminalne". Policjanci często gościli na łamach tygodnika, portretowani zarówno w trakcie rutynowych czynności, jak i dokonywania heroicznych czynów w służbie prawa. „IPN" generalnie odnosiły się do stróżów porządku przyjaźnie i z szacunkiem (musiały, bo w końcu od nich, aczkolwiek nieoficjalnie, częstokroć czerpano informacje – warto wiedzieć, że aż do końca I wojny światowej angielska policja nie miała rzecznika prasowego), aczkolwiek jak zaraz się przekonamy, wśród artykułów i ilustrujących je grafik zdarzały się też piętnujące policyjne nadużycia.

Zacznijmy od bardziej budujących przykładów. I tak 13 lutego 1883 roku „IPN" informowały czytelników o sukcesie policjantów z Leicester, funkcjonariuszy Boterrilla i Harrisona. W trakcie nocnego patrolu konstable usłyszeli hałas dobiegający z magazynu należącego do lokalnego wytwórcy butów. Udawszy się tam, zastali na gorącym uczynku bandę złodziejaszków wynoszących właśnie bele bydlęcej skóry służącej do produkcji obuwia. Przestępcy na widok stróżów prawa rzucili się do ucieczki, porzucając łup. Policjanci ruszyli w pogoń, w trakcie której musieli pokonywać płoty i mury przesadzane przez bandytów. Ostatecznie udało im się na szczycie jednego z tych ostatnich schwytać wielokrotnie już notowanego członka szajki – Williama Stentona, ten jednak stawił opór. Wywiązała się krótka walka, w czasie której trzech mężczyzn straciło równowagę i spadło na ziemię. W trakcie upadku Boterrill omal nie nadział się na kuty pręt ozdobnego ogrodzenia, który minął jego ciało dosłownie o włos, dziurawiąc mu jedynie but. Tekst o wydarzeniu ilustrowała dramatyczna grafika prezentująca konstabla lecącego w dół ku swemu przeznaczeniu, podczas gdy jego kolega siłuje się z przestępcą.

Mniej szczęścia niż funkcjonariusz z Leicester miał wiejski posterunkowy, o którego śmierci „IPN" donosiły 14 listopada 1885 roku. Ponad dwa tygodnie wcześniej gang uzbrojonych rabusiów napadł na posiadłość ziemską w hrabstwie Cumberland. Złoczyńcy skradli bezcenne klejnoty należące do dziedzica i ruszyli na pobliski peron, by zbiec pociągiem. Gdy przebiegali przez wioskę Plumpton, ich ewidentne nerwowość i pośpiech wzbudziły podejrzliwość lokalnego stróża prawa, który spróbował ich zatrzymać i wylegitymować. Wówczas jeden z rabusiów dobył rewolwer i wypalił posterunkowemu w głowę, po czym z towarzyszami złapali wciąż żywego policjanta i zrzucili go z mostu, na którym stanął im na drodze. Przestępcom udało się wsiąść do pociągu, jednak nie minęło wiele czasu, nim zostali pojmani i powieszeni. Ciężko rannego konstabla znaleźli okoliczni mieszkańcy, którzy przenieśli go

eprasa.pl 639267e58f

do pobliskiej gospody, po czym wezwali lekarza. Niestety, mimo pomocy medycznej mężczyzna zmarł.

Skoro zapoznaliśmy się już z przykładami heroizmu wiktoriańskich obrońców porządku, czas przyjrzeć się zupełnie odwrotnej stronie medalu, tj. przemocy i sadyzmowi stanowiącym normę dla niektórych przedstawicieli policji. Mroczne skłonności ku nim miał bez wątpienia sierżant Grimshaw z Knottingley w hrabstwie Yorkshire, o czym czytelnicy „IPN" mogli przeczytać w wydaniu z 10 lutego 1877 roku. W miejscowości złapani zostali na kradzieży gołębia dwaj na wpół zagłodzeni, odziani w ledwie skrywające nagość szmaty chłopcy mający 11 i 9 lat. Sąd skazał małych nędzarzy na chłostę, której wykonanie zlecono sierżantowi miejscowego posterunku. Ten jednak przekroczył uprawnienia i twórczo rozwinął karę, bo o ile sędzia nakazał zdzielić każdego ze złodziejaszków 10 razy pojedynczą brzozową rózgą, to Grimshaw dokonał egzekucji za pomocą pęku wierzbowych lag, które bezlitośnie cięły dziecięcą skórę niczym bicze. Artykuł na temat tego epizodu, przepisany przez redakcję „IPN" z lokalnej gazety „Pontefract Telegraph", ilustrował obrazek, na którym dwóch funkcjonariuszy rozciąga na stole wrzeszczącego z bólu chłopczyka, którego brodaty sierżant chłoszcze narzędziem kaźni. Czwarty policjant stoi obok, przytrzymując drugiego (młodszego?) złodziejaszka czekającego na swą kolej z wyrazem przerażenia na twarzy.

Strach się bać (Irlandczyka lub Polaka)

Nic nie sprzedaje się w mediach tak dobrze jak strach. Dlatego też w XXI wieku nieustannie jesteśmy straszeni przez portale internetowe i stacje telewizyjne. Do największych współczesnych lęków należy ten przed zamachami terrorystycznymi. I nie ma co się temu specjalnie dziwić, skoro wciąż doskonale pamiętane są ludobójcze ataki z 11 września 2001 roku, a od tego czasu jeszcze wielokrotnie zachodnie społeczeństwa bywały celami zamachów ze strony ludzi nienawidzących wyznawanych przez naszą cywilizację wartości.

Terroryzm nie jest jednak zjawiskiem charakterystycznym wyłącznie dla naszej epoki. W XIX wieku również działali terroryści, z których ręki padły choćby takie osobistości jak: prezydenci USA Abraham Lincoln i William McKinley, austriacka cesarzowa Elżbieta czy następca tronu Austro-Węgier – arcyksiążę Ferdynand. Zabójcy tego ostatniego, Gawrile Principowi, należy się zresztą tytuł sprawcy zamachu, który pociągnął za sobą najwięcej ofiar – co prawda wystrzelone przez niego kule trafiły tylko Habsburga i jego żonę, ale w efekcie oddanych w Sarajewie strzałów wybuchła I wojna światowa, powodując cierpienie i śmierć wielu milionów ludzi.

Zagrożenie terrorystyczne gościło od czasu do czasu na łamach „The Illustrated Police News", szczęśliwie na tyle rzadko, że w przeciwieństwie do ich żyjących w XXI wieku potomków poddani królowej Wiktorii nie musieli funkcjonować w stanie ciągłej czujności. Nie tylko zresztą mniejsza częstotliwość jego aktów odróżniała ówczesny terror od tego znanego nam. Inaczej niż dziś wyobrażano sobie potencjalnego zamachowca – dla czytelników „IPN" miał on twarz Irlandczyka albo (przynajmniej w jednym przypadku)… Polaka.

Brytyjskie rządy w Irlandii cechowały brutalność i wyzysk niewiele mniejsze od tego, jakich doświadczali mieszkańcy egzotycznych kolonii. W ciągu wieków, jakie upłynęły od podboju Zielonej Wyspy, jej elity zostały wyniszczone, większość ziemi przeszła pod kontrolę protestanckich kolonistów z Anglii, a katoliccy tubylcy borykali się ze straszliwą nędzą, która olbrzymie rzesze wygnała z ojczyzny do Ameryki. Nic więc zatem dziwnego, że w końcu zaczęli organizować opór. W XIX wieku przyjął on postać aktów o charakterze terrorystycznym, co w prasie brytyjskiej uczyniło z Irlandczyka niemalże synonim zamachowca, na który, przyznajmy, ciężko sobie zapracował.

6 maja 1882 w parku w Dublinie grupa bojowników z organizacji Narodowych Niezwyciężonych Irlandii zaatakowała i zasztyletowała dwóch dygnitarzy zajmujących się w rządzie sprawami Zielonej Wyspy. Pod ciosami sztyletów padł lord Frederick Cavendish – sekretarz ds. Irlandii oraz podsekretarz – Thomas Henry Burke. W dwa tygodnie później, gdy opinia publiczna nadal znajdowała się w stanie szoku, „IPN" poświęciły temu wydarzeniu okładkę, na której w formie przypominającej komiks znalazły się kadry prezentujące profile ofiar, alegoria Brytanii i Irlandii jako dwóch kobiet pogrążonych w żałobie, rysunki prezentujące miejsce zbrodni z dołączoną mapką oraz w centralnej części kompozycji wielką grafikę z personifikacją sprawiedliwości zamierzającej się mieczem na dzierżących noże i pistolety zamaskowanych zamachowców przypominających, wskutek groteskowych deformacji twarzy, bardziej orków z „Władcy Pierścieni" niż ludzi.

Irlandzcy terroryści powrócili z wielkim (dosłownie!) hukiem w następnym roku, kiedy to w marcu zdetonowali ładunki wybuchowe przed siedzibą rządu w Londynie. Eksplozje stały się sygnałem dla całej serii zamachów bombowych, które miały jeszcze długo wstrząsać Wielką Brytanią. Cudem nie doszło do wybuchu pakunku pozostawionego przed redakcją „Timesa", ale 29 października aż 40 londyńczyków odniosło obrażenia w trakcie zamachu bombowego w metrze, a w lutym 1884 roku na Victoria Station eksplodowała kolejna bomba, powodując nowe ofiary. Policja ruszyła do walki ze stojącymi za tą czarną serią irlandzkimi bojownikami, m.in. przechwytując transport płynących z Irlandii do Liverpoolu materiałów wybuchowych, likwidując fabrykę dynamitu w Birmingham czy dokonując nalotów na kryjówki spiskowców w Londynie i Glasgow. „IPN" stały się wyrazicielem od-

eprasa.pl 639267e58f

czuć brytyjskiego społeczeństwa, gdy 26 kwietnia 1884 roku opublikowały grafikę, na której odziany w średniowieczną zbroję, lecz wciąż mający na głowie charakterystyczny kask, angielski policjant walczy z trzygłowym potworem. Podpis pod ilustracją głosił „Współczesny św. Jerzy pokonuje smoka dynamitu".

„The Illustrated Police News" donosiły jednak nie tylko o sprawach krajowych, lecz także o wydarzeniach w innych częściach świata. Kiedy więc 13 marca 1881 roku w zamachu bombowym zginął car Rosji Aleksander II, informacja o jego śmierci znalazła się wraz z ogromną i szczegółową grafiką w brukowcu, wypełniając całą jego stronę tytułową. W kontekście ataku terrorystycznego, który pozbawił życia samodzierżcę, po raz pierwszy (i chyba jedyny) na okładkę „IPN" trafił… Polak – Ignacy Hryniewiecki, zamachowiec odpowiedzialny za ciśnięcie w Aleksandra II drugiej bomby, będącej tamtego feralnego dnia w użyciu. Pierwsza, rzucona przez rosyjskiego terrorystę, wybuchła przed carskim powozem, zabijając jednego z towarzyszących władcy kozaków oraz przechodnia obserwującego przejazd cara. Monarcha, wstrząśnięty (ale nie zmieszany) wyszedł jednak z eksplozji bez szwanku i wysiadł z wozu, by pokazać, że nic mu nie jest. Na to tylko czekał nasz rodak, który miotnął w Romanowa drugi ładunek wybuchowy. Pozbawionemu osłony Aleksandrowi wyczerpał się już limit szczęścia… Prezentujący te dramatyczne wydarzenia rysunek pojawił się w „IPN" w dwa tygodnie po śmierci rosyjskiego imperatora i trzeba przyznać, że czas, jaki upłynął od chwili zdarzenia, został dobrze wykorzystany. Grafika przykuwa uwagę szczegółowością, co jest o tyle interesujące, że została stworzona w Londynie przez człowieka, który nigdy nie był w Rosji. Miast na otoczeniu, którego siłą rzeczy nie mógł realistycznie oddać, rysownik skupił się na twarzach i sylwetkach biorących udział w scenie postaci, uzyskując niezwykle dynamiczną kompozycję. Oblicze cara, które łatwo można było skopiować ze zdjęć dostępnych w Anglii, oddane zostało realistycznie, zaś jako że nie dało się tego samego zabiegu powtórzyć w przypadku jego polskiego zabójcy, Hryniewiecki został przedstawiony, stojąc tyłem do obserwatora, chwilę po rzuceniu bomby właśnie eksplodującej u stóp Aleksandra.

Człowiek pogryzł psa

Markowi Twainowi przypisuje się stwierdzenie: „To, że pies pogryzł człowieka, to żadna wiadomość. To, że człowiek pogryzł psa, to jest wiadomość". Nie wiadomo, kiedy amerykański pisarz i dziennikarz wygłosił ową maksymę ani czy czytywał „IPN". Jeśli jednak ową podstawową medialną zasadę sformułował przed wiosną 1881 roku, oznaczałoby to, że obdarzony był zmysłem prorockim. Jeżeli zaś później, możliwe, iż zainspirował go brytyjski tabloid. 19 marca tegoż roku na łamach ulubionego tygodnika wiktoriańskiego ludu pojawiła się relacja o walce, jaką w wiosce Stacksteads koło Manchesteru stoczyli miejscowy osiłek, znany pod przezwiskiem Samsona, i sporych rozmiarów buldog. Broń w tym pojedynku stanowiły… zęby i choć może wydawać się to nieprawdopodobne, na starciu o wiele gorzej wyszedł pies.

W rzeczonej osadzie większość mężczyzn pracowała w przędzalniach bawełny. Robotnicy wolny czas spędzali na niewyszukanych rozrywkach, takich jak picie. Największym moczymordą ze wszystkich był wspomniany Samson, prymitywny brutal, którego pasję stanowiło chlanie na umór, bijatyki, hazard i… popisywanie się siłą swych zębów. Zbój przegryzał szyjki od butelek, talerze i filiżanki, a gdy naszła go szczególna fantazja, również gardła złapanych szczurów. Pewnego razu założył się z grupą innych osobników spod ciemnej gwiazdy, że byłby w stanie przegryźć gardło psu. Za zamkniętymi drzwiami szopy, na prowizorycznym ringu doszło do walki człowieka i zwierzęcia. By wyrównać szanse, Samson nakazał związać sobie dłonie i stanął do pojedynku na czworaka na oczach publiczności składającej się z lokalnych mętów. Przeciwnicy rzucili się na siebie z wyszczerzonymi kłami, a choć buldog był wielki i agresywny, człowiek chwycił go zębami za gardło, powalił na ziemię i zacisnął szczęki. Najlepszy komentarz do całego wydarzenia zostawił reporter pewnej lokalnej gazety, pisząc: „[…] a co do brutala, który pobił i zagryzł psa, pozostaje mieć tylko nadzieję, że nie jest żonaty". Ilustrująca szokujący news grafika w „IPN" przedstawiała chwilę, w której Samson wgryzł się w szyję buldoga. W tle widać widzów o twarzach sprawiających, że nie chciałoby się ich spotkać w ciemnej ulicy, zaś na pysku nieszczęsnego zwierzęcia maluje się bardzo ludzki wyraz zaskoczenia.

Jak widać, pościg za sensacją nie jest cechą wyłącznie współczesnych mediów. Już u zarania współczesnego rynku medialnego redakcje poszczególnych gazet, tak jak dzisiejszych portali i stacji telewizyjnych, najchętniej oferowały czytelnikom informacje szokujące i przykuwające uwagę. „The Illustrated Police News" bez wątpienia osiągnęły mistrzostwo w tej konkurencji, aczkolwiek przynajmniej do śmierci George'a Purkessa Jr stawiały sobie także wyższe cele niż samo dostarczanie taniej sensacji. Wraz z odejściem człowieka, który wyprowadził brukowiec z zaułka pomiędzy księgarnią a warsztatem szewskim i wyniósł go do pozycji króla brytyjskich tabloidów, zaczął się powolny zmierzch tytułu, aż w końcu w okresie międzywojennym sięgnął on dna, zapełniając swe strony ksenofobią, obskurantyzmem i golizną (w tym czasie w „IPN" pełno było wyuzdanych rysunków roznegliżowanych kobiet, w jednym przypadku w towarzystwie lubieżnego szympansa w smokingu). Czyli tym, co dziś atakuje nas w Internecie. ■

eprasa.pl 639267e58f



Krzysztof Karnkowski

Nie budzić Śnieżki

Najnowsza odsłona „Śnieżki" Disneya okazała się być porażką na każdym niemal polu. Choć filmowi trochę zaszkodził sam Disney, miotając się między nadmiarem politycznej poprawności a wokeizmu, to najwięcej strat wizerunkowych przyniosła odtwórczyni głównej roli, Rachel Zegler.

eprasa.pl 639267e58f

Historię „Śnieżki" znało każde dziecko na świecie. Mieliśmy klasyczną baśń, po której przyszła ekranizacja Disneya z 1937 roku, która sama szybko stała się klasyką. Jednak w ostatnich latach kino w dużym stopniu zaczyna opierać się na liczniejszym niż wcześniej tworzeniu nowych wersji starych dzieł. Po to, by zarobić, w czym nie ma nic zdrożnego, a przy tym by starą treść ubrać w nowoczesną formę. Technika idzie przecież błyskawicznie naprzód. Dla widza gorzej, gdy treść zostaje zmieniona w imię chwilowej mody. Dla producenta – gdy trafia na moment, gdy moda ta zdaje się właśnie przemijać.

Kontrowersje wokół krasnoludków

Kultura „woke", zgodnie z deklarowaną definicją, miała uwrażliwiać społeczeństwo na kwestie równości, inkluzywności, praw mniejszości. Ale w praktyce szybko zaczęła funkcjonować jako narzędzie symbolicznego zawłaszczenia przestrzeni kultury. Tęczowe logotypy, parady dumy, obowiązkowa różnorodność rasowa i płciowa w każdej produkcji – wszystko to stało się nie dodatkiem, lecz głównym składnikiem. Oczywiście do ekstremum dochodziliśmy w czerwcu, „miesiącu dumy", gdy wszystkie korporacje przemalowywały na tęczowo swoje logotypy. Wydawało się, że marsz ideologii „woke" przez popkulturę jest nie do zatrzymania. Aż do teraz.

Nowy film Disneya miał być przecież kolejnym krokiem triumfalnego pochodu. Producenci zignorowali jednak sygnały świadczące o nadchodzącej zmianie, tym razem o charakterze kontrrewolucyjnym. A może wiedzieli o nich, sami szli przecież na drobne ustępstwa w kilku innych produkcjach, ta jednak miała być najpotężniejszym taranem. Sami potykali się na tej drodze o własne nogi. Przykładem przedawkowania własnej ideologii jest kwestia krasnoludków. Na początku ci klasyczni bohaterowie mieli się nie pojawić – co wzbudziło protesty ze strony części środowisk osób niskorosłych. Potem powstała idea wieloetnicznej siódemki, ostatecznie zastąpiona przez komputerowo wygenerowane „magiczne postacie". I wtedy inna grupa aktorów o niewielkim wzroście poczuła się dyskryminowana – właśnie pozbawiono ich jednej z niewielu możliwości zarobku. Między innymi przez takie historie „Śnieżka" Disneya okazała się być porażką na każdym niemal polu.

Widzowie i krytycy są bezlitośni

Owszem, „Śnieżka" zarabia pieniądze, które wydają się być ogromne, lecz tylko do chwili, gdy porównać je z nakładami. Na sam film i na jego promocję. Po kilku tygodniach widać już, że pozornie oczywisty przebój może się nawet nie zwrócić. Film zarobił globalnie około 181,6 mln dolarów, z czego 81,9 mln pochodzi z USA i Kanady, a 99,7 mln z rynków międzynarodowych. Przy szacowanym budżecie produkcyjnym między 240 a 270 mln dolarów, „Śnieżka" nie zdołała osiągnąć progu rentowności. Analitycy szacują, że film musiałby zarobić około 500 mln dolarów, aby wyjść na zero.

Do tego dochodzi marna ocena publiczności. Spójrzmy na zajmujące się zbieraniem ocen użytkowników portale. Na międzynarodowym IMD film otrzymał średnią ocenę 2,0/10, z czego 78 proc. to najniższe możliwe noty. Taki wynik plasuje go wśród najgorzej ocenianych filmów w historii serwisu. Odbiór na serwisie Rotten Tomatoes sugeruje podział między bardziej liberalnymi profesjonalnymi recenzentami a mniej poprawną politycznie publicznością: krytycy przyznali filmowi 42 proc. pozytywnych recenzji, podczas gdy widzowie dali mu 19 proc. pozytywnych opinii. Jest jeszcze nasz Filmweb, ale tu jest jeszcze gorzej. Średnia ocena widzów wynosi 2,7/10, a krytyków 3,2/10, co wskazuje na ogólnie negatywny odbiór filmu w Polsce. Z drugiej strony, oddajmy sprawiedliwość, „Śnieżka" nieźle radziła sobie w naszym box office. Do czasu, bo jej oglądalność skończyła się szybko i dość dramatycznie, a bardzo popularny dziś „Minecraft" w jeden weekend zdobył ponad czterokrotnie większą widownię. Z liczb najgorzej wypada ta, którą widzimy w ocenach Google. Tu nieudany ewidentnie przebój Disneya pozytywnie ocenia jedynie 6 proc. widzów i liczba ta sukcesywnie spada.

Główna antybohaterka

Skoro już wiemy, że jest źle, zastanówmy się dlaczego. Filmowi trochę zaszkodził Disney, miotając się między nadmiarem politycznej poprawności a wokeizmu, które kazały zmienić charakter głównej postaci, księcia przerobić na rzezimieszka, a krasnoludki, o których już wspomniałem, na nie wiadomo co. Jednak najwięcej strat wizerunkowych przyniosła odtwórczyni głównej roli, Rachel Zegler. Już sam fakt jej obsadzenia był dość niefortunny, jest ona bowiem aktorką pochodzenia kolumbijskiego (co po niej widać) i, po ojcu, polskiego (co widać zdecydowanie mniej i o czym mało się mówi, zwłaszcza na krytycznej wobec Zegler prawicy), i na pewno nie jest śnieżnobiała. Tyle że nowa Śnieżka swoje miano zawdzięcza nie kolorowi skóry, a burzy śnieżnej, podczas której się urodziła. I tak jest tu ze wszystkim. Młoda aktorka od początku przygody z filmem stawała się ambasadorką nie tyle odświeżonej marki, co stojącej za niej agendy

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 639267e58f

ideologicznej. Już w momencie ogłoszenia jej obsadzenia do roli Królewny Śnieżki, Zegler wyrażała swoje krytyczne zdanie na temat klasycznej animacji Disneya. Uważała, że tradycyjny obraz Królewny jest przestarzały, a relacja między postaciami – często opisywana jako romantyzm oparty na ratunku – wymaga nowej interpretacji. Jej wypowiedzi podkreślały potrzebę pokazania silnej, niezależnej bohaterki, co nie obyło się bez krytyki ze strony części widzów przywiązanych do oryginalnych wartości Disneya. O klasycznym filmie mówiła, że jest „dziwny", zaś księcia określała mianem „stalkera".

Co więcej, przy wielu okazjach komentowała też wydarzenia spoza planu i scenariusza. Zegler nie odmawiała sobie wypowiedzi na tematy polityczne. Jej komentarze dotyczące konfliktów międzynarodowych, takich jak sytuacja na Bliskim Wschodzie, a także stanowisko wobec spraw związanych z tożsamością płciową, budziły skrajne emocje. Wypowiedzi te przysporzyły jej zarówno zwolenników (wśród elit), którzy doceniali jej odwagę i autentyczność, jak i przeciwników, jak na złość – potencjalnych widzów i grup docelowych filmu, którzy krytykowali ją za angażowanie się w kwestie, zdaniem niektórych, nieodpowiednie dla osoby publicznej. Apogeum nastąpiło po wyborze Donalda Trumpa na prezydenta. Jak można było się spodziewać, Zegler decyzję Amerykanów przyjęła bardzo źle i zareagowała na nią wyzwiskami i złorzeczeniem pod adresem nowego prezydenta i jego wyborców. Tego było za wiele nawet dla Disneya, który wymusił na niej przeprosiny, mało zresztą przekonujące. Jakby tego wszystkiego było mało, Zegler jest bardzo zaangażowana w kwestię Palestyny, co sprawia, że nie tylko na ekranie zaiskrzyło między nią a grającą Złą Królową Gal Gadot, aktorką z Izraela, mającą za sobą służbę w służbach specjalnych tego państwa. Zbyt wiele składników zapowiadało katastrofę, by do niej nie doszło. Co więcej, śledzący ten upadek, z perwersyjną radością konserwatywni youtuberzy zauważają, że i Zegler, i Disney zamiast klapę zamilczeć, próbują wciąż przekonywać świat o wielkim sukcesie produkcji.

Co za dużo…

Krytyk filmowy Łukasz Adamski mówi mi, że „Śnieżkę" krytykowano nie tylko w prawicowych mediach, bo, poza wszystkim innym, jej problemem był też po prostu słaby scenariusz. Czy jednak przy okazji kłopoty superprodukcji nie nałożyły się na zmianę kulturową? W Stanach zmęczenie wokeizmem stało się emocją bardzo częstą poza elitarną, demokratyczną bańką. Doświadczyły tego firmy, które po odnotowaniu strat musiały rezygnować ze zbyt kontrowersyjnych dla przeciętnych obywateli wątków w kampaniach reklamowych. Studia filmowe, które zaczęły rezygnować z wątków osób niepewnych swej tożsamości płciowej lub orientacji, wpychanych nawet do produkcji dla dzieci (o tych dla nastolatków nawet nie wspominając). Wreszcie świat polityki, który zmianę sentymentu poczuł najmocniej, gdy wybory prezydenckie wygrali Trump z katolickim konserwatystą Vancem i niezbyt ideowym, ale wrogim wobec procedur zmiany płci wśród młodzieży z racji doświadczenia rodzinnego Elonem Muskiem u boku.

Na międzynarodowym IMD film otrzymał średnią ocenę 2,0/10, z czego 78 proc. to najniższe możliwe noty. Taki wynik plasuje go wśród najgorzej ocenianych filmów w historii serwisu.

Czy pójdzie za tym również fabryka snów? Oddajmy głos Adamskiemu: „Przez lata polityczna poprawność była nie tylko narzucana, ale też… monetyzowana. Tak, jak to się robi w Hollywood. Zawsze powtarzam: najważniejszym kolorem w tej branży nie jest kolor tęczy, tylko zielony – kolor dolarów. Jeśli producenci zorientują się, że mogą zarabiać na łamaniu norm, które wcześniej sami promowali, to właśnie to będą robić". Według krytyka potwierdza to cała historia Hollywood. „Gdy większość Amerykanów miała konserwatywne poglądy – w latach 50. – Hollywood tworzyło filmy konserwatywne. Kiedy w latach 70. sukcesy zaczęło odnosić nowe, rewizjonistyczne kino, przemysł filmowy błyskawicznie się dostosował. Wtedy przeszczepiano francuską Nową Falę na amerykański grunt. Teraz dzieje się dokładnie to samo".

Wygląda więc na to, że bardziej konserwatywna część widowni będzie miała szansę poczuć się trochę bezpieczniej w kinie lub zasiadając z dziećmi przed telewizorem. Oczywiście dopóki wiatr znów nie zmieni kierunku. ■

eprasa.pl 639267e58f

Marek Kalinowski

Deszcze niespokojne

Była już muzyka średniowiecza, były ludowe kołysanki, a nawet portugalskie pieśni fado. Muzycy Bastardy tym razem odważnie sięgają po zupełnie współczesny repertuar – największe dzieła polskiej muzyki filmowej. Proszę się jednak nie obawiać kolejnego „the best of…". Ze znanych kompozycji Kilara, Komedy czy Korzyńskiego wyciągają warstwy dotąd schowane. Tak właśnie powinno się robić covery!

Pisana gotycką czcionką litera B to znak charakterystyczny okładek zespołu Bastarda. Tym razem ciekawie wkomponowana w rzymską dziesiątkę. Stali słuchacze zapewne wiedzą, bo trochę przyszło im czekać na dziesiątą płytę zespołu. Spis utworów (dziesięciu – dodajmy) podsunie jednak skojarzenie mniej oczywiste – mamy do czynienia ze znanymi utworami filmowymi, a zatem z dziesiątą muzą. Wreszcie najmłodsi odbiorcy, albo przynajmniej ci dorośli, którzy pozostają w kontakcie nastolatkami, dodatkowo połączą XB z bliskim brzmieniowo i graficznie, popularnym emotikonem XD, a więc uśmiechem, jakimś wyrazem rozbawienia albo przynajmniej dystansu.



Bastarda, XB, Lado ABC

Gdzież tam jednak śmiech i Bastarda… Tematyka podejmowana przez zespół, choć różna, to do śmiechu raczej nigdy nie nastrajała, wręcz przeciwnie – brzmiała poważnie, czasem wręcz śmiertelnie poważnie, zwłaszcza na płycie „Ars Moriendi". Muzycy Bastardy (Paweł Szamburski – klarnet, Tomasz Pokrzywiński – wiolonczela oraz Michał Górczyński – klarnet kontrabasowy) to przede wszystkim wybitni interpretatorzy muzyki dawnej, a mrokiem średniowiecza potrafili przyodziać nawet portugalskie pieśni z płyty „Fado", o której z zachwytem miałem okazję już się z państwem dzielić.

Nie inaczej jest na nowym krążku „X", podejmującym chyba najbardziej współczesny i bliski nam repertuar – polską muzykę filmową. Wybór utworów to frajda przede wszystkim dla rówieśników muzyków z Bastardy, ludzi urodzonych na przełomie lat 70. i 80. ubiegłego wieku, bo kto inny mógłby z całego bogactwa repertuaru Andrzeja Korzyńskiego sięgnąć akurat po „Marsz Wilkołaków" – pokoleniowe doświadczenie lęku wyniesione z niezapomnianej filmowej adaptacji przygód Ambrożego Kleksa. I proszę mi wierzyć, emocje wracają z podwójną siłą!

Kolejne dzieła to już absolutna klasyka. Ot, choćby do bólu ograna kołysanka Komedy z filmu „Rosemary's Baby" Polańskiego, temat z serialu „07 zgłoś się" albo motyw z „Czterech pancernych". Bastarda zabiera jednak te najbardziej znane kompozycje w zupełnie nową przygodę, nadając im mroczniejsze barwy i wciskając w odległe konteksty. „Taniec Eleny" Lorenca zamiast do zatracenia w pląsach, skłania bardziej do głębokiej zadumy. Znane motywy są nierzadko pretekstem do zabaw z improwizacją – jakże udanych, ukrywających odniesienia do innych filmów, utworów, a przy okazji prezentujących również czyste piękno dźwięku instrumentów, którymi posługują się muzycy Bastardy.

Zachęcam Państwa nie tylko do odsłuchu studyjnych nagrań, lecz także do spotkania z zespołem na żywo. Koncerty Bastardy uzupełniają koncept o kolejne kompozycje, a że jest to w dużej części muzyka improwizowana, to za każdym razem przynosi też nowe doświadczenia.

Były już średniowieczne pieśni, portugalskie fado, kołysanki wschodniego pogranicza, a teraz klasyka muzyki filmowej. Sam jestem ciekaw, dokąd ich to jeszcze zaprowadzi. ■

FOT. MAT. PRAS.

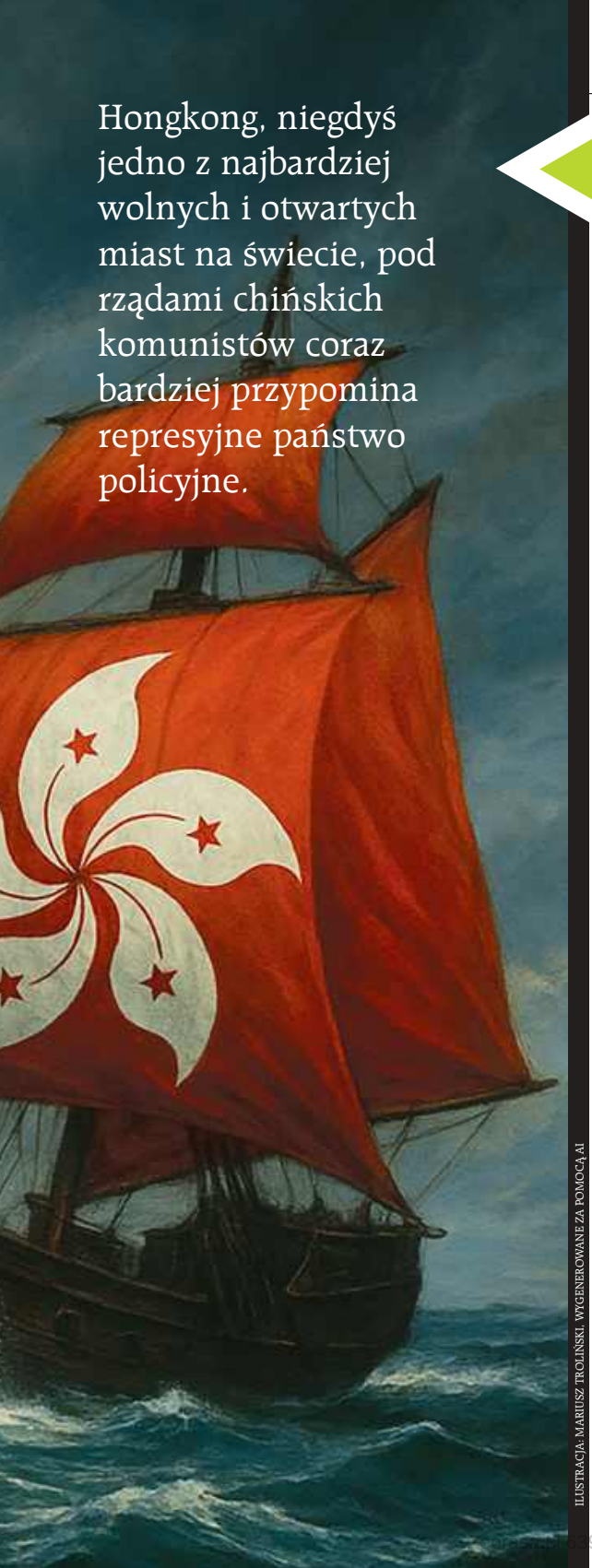
eprasa.pl 639267e58f

Hanna Shen



Hongkong umiera

Hongkong, niegdyś jedno z najbardziej wolnych i otwartych miast na świecie, pod rządami chińskich komunistów coraz bardziej przypomina represyjne państwo policyjne.



ILUSTRACJA: MARIUSZ TROLIŃSKI, WYGENEROWANE ZA POMOCĄ AI

W połowie kwietnia Partia Demokratyczna (PD), ostatnia działająca formacja opozycyjna w Hongkongu, podjęła decyzję o rychłym rozwiązaniu. Uchwała dotycząca oficjalnego rozwiązania partii ma zostać przyjęta na kolejnym walnym zgromadzeniu, które odbędzie się w tym roku.

Pozbycie się opozycji

W wypowiedzi dla agencji Reuters pięciu wysoko postawionych członków PD przyznało, że w ostatnich miesiącach chińscy urzędnicy ostrzegali ich, iż albo dojdzie do rozwiązania partii, albo wielu jej członków spotkają poważne konsekwencje, takie jak aresztowania. PD została założona w 1994 roku, czyli trzy lata przed przekazaniem Hongkongu Chinom przez Wielką Brytanię. Była to wiodąca siła demokratyczna, której celem było wywieranie nacisku na Pekin w celu przeprowadzenia reform demokratycznych oraz obrona swobód obywatelskich. Jednocześnie partia nie kwestionowała zwierzchnictwa Pekinu, co jasno wynika z jej manifestu, w którym stwierdzono, że Hongkong jest nieodłączną częścią Chin. Do prominentnych członków PD należą Martin Lee, nazywany „ojcem demokracji" miasta, Albert Ho, były lider partii i jeden z organizatorów corocznych uroczystości upamiętniających ofiary masakry na placu Tiananmen – dziś już zakazanych w Hongkongu – oraz dziennikarka Emily Lau. Po masowych protestach antyrządowych w 2019 roku Chiny wprowadziły w Hongkongu tzw. Ustawę o bezpieczeństwie narodowym, która posłużyła do ścigania wielu czołowych aktywistów, w tym członków Partii Demokratycznej. Obecnie co najmniej pięciu członków tej partii, w tym Albert Ho, przebywa w areszcie. W 2021 roku władze zmieniły system wyborczy w Hongkongu, aby umożliwić kandydowanie jedynie „patriotom", czyli osobom wyrażającym poglądy zgodne z linią Pekinu. W rezultacie większość polityków PD nie może brać udziału w wyborach.

Kiedy w 1997 roku Hongkong przeszedł z rąk brytyjskich pod kontrolę Chińskiej Republiki Ludowej, Pekin zobowiązał się w umowie międzynarodowej, podpisanej pomiędzy Wielką Brytanią a Chinami i notyfikowanej w ONZ, że do 2047 roku była brytyjska kolonia będzie cieszyć się autonomią. Prawie 30 lat później Komunistyczna Partia Chin zniszczyła wszelkie wolności i pozbyła się opozycji. Wiele osób z Hongkongu przyznaje, że ich miasto, niegdyś nazywane Perłą Orientu, umiera. Dziś Hongkończycy mogą prowadzić działalność na rzecz odzyskania swobód dla swojego miasta za granicą, ale nawet tam może to być niebezpieczne.

Copyright 69267e58f

Zastraszanie dysydentów na Zachodzie

10 kwietnia hongkońska policja zatrzymała na kilka godzin rodziców Frances Hui, działaczki na rzecz demokratyzacji Hongkongu, żyjącej na wygnaniu w Stanach Zjednoczonych. Mama Hui była już przesłuchiwana w grudniu 2024 roku. Wszystko to dlatego, że Frances Hui najpierw prowadziła działalność opozycyjną w Hongkongu, a po opuszczeniu miasta w lipcu 2020 roku i otrzymaniu azylu politycznego w USA, stała się członkinią Komitetu na rzecz Wolności w Hongkongu. Kobieta przyznaje, że aby zapewnić bezpieczeństwo swoim rodzicom, nie może utrzymywać z nimi regularnego kontaktu. W grudniu 2023 roku Departament Bezpieczeństwa Narodowego Policji Hongkongu ogłosił nagrodę w wysokości 1 mln dolarów hongkońskich (około 450 tys. zł) za pomoc w aresztowaniu Hui oraz czterech innych obywateli Hongkongu, którzy mieszkają za granicą. W grudniu ubiegłego roku policja uznała Frances za „zbiegłą", co skutkowało unieważnieniem jej hongkońskiego paszportu. Mimo represji, Hui często występuje w zachodnich mediach i na forach, opowiadając o sytuacji w swoim ukochanym Hongkongu oraz zagrożeniach ze strony komunistycznych Chin.

Od lat Frances zwraca też uwagę na tzw. represje transpaństwowe ChRL, czyli działania Pekinu podejmowane poza granicami Chin, mające na celu uciszenie głosów krytykujących Komunistyczną Partię Chin. Hui podaje konkretne przykłady. Kiedy jako studentka w USA zorganizowała wiec w Bostonie w obronie wolności Hongkongu, w wyniku kampanii prowadzonej przez ambasadę ChRL wśród chińskiej społeczności w USA zaczęła otrzymywać groźby śmierci oraz była śledzona. Hui twierdzi, że KPCh wykorzystuje obywateli Chin za granicą do monitorowania działalności dysydentów. „Wielu z nich prawdopodobnie nie zdaje sobie sprawy, że pracuje dla rządu. Uważają, że są wykształceni, a od dzieciństwa wpajano im, że jeśli coś zauważą, muszą to zgłosić". Uczelnie zachodnie nie reagują na te represyjne działania, ponieważ chińscy studenci stanowią istotne źródło ich dochodów. Obawiają się również, że jeśli zwrócą uwagę na te praktyki, chińskie placówki zmobilizują lewicowe organizacje działające na Zachodzie, aby rozpętały kampanię oskarżającą je o rasizm i dyskryminację. Według Hui zachodnie uniwersytety, postępując w ten sposób, narażają na szwank bezpieczeństwo studentów z mniejszości, takich jak mieszkańcy Hongkongu, Ujgurzy i Tybetańczycy.

Jako katoliczka Hui zwraca również uwagę na zagrożenie ze strony Pekinu dla wolności religijnej, ponieważ Komunistyczna Partia Chin przejmuje kontrolę nad instytucjami religijnymi w Hongkongu. Proces ten, określany mianem „sinizacji religii", został zainicjowany przez obecnego prezydenta Chin, Xi Jinpinga.

Zachód opuścił Hongkong

W artykule, jaki ukazał się pod koniec ubiegłego roku na łamach brytyjskiego konserwatywnego tygodnika „Spectator", Benedict Rogers pisze, że „wolny świat opuścił Hongkong". Rogers, dziennikarz i autor wydanej także w Polsce książki pt. „Chińska sieć zła", mieszkał w Hongkongu przez pięć lat zaraz po tym, jak Brytyjczycy oddali miasto pod władanie Pekinu. Uważa on, że na początku swoich rządów w Hongkongu Chiny zachowywały pozory. „Wolność słowa i wolność prasy były nienaruszone, a jako dziennikarz w tamtych wczesnych latach mogłem pisać i publikować komentarze krytyczne wobec rządów Pekinu i Hongkongu, które dzisiaj nigdy nie zostałyby dopuszczone do druku i prawdopodobnie skończyłyby się dla mnie więzieniem. Partie polityczne opowiadające się za demokracją brały udział w wyborach, zdobywały miejsca w parlamencie i stanowiły aktywną opozycję wobec Pekinu" – pisze Rogers. Z biegiem czasu jednak zaczęło się rozmontowywanie wolności w byłej brytyjskiej kolonii, a Pekin stawał się w tych działaniach coraz bardziej śmiały, dostrzegając naiwność Zachodu oraz jego słabość w polityce zagranicznej.

31 marca br. sekretarz stanu USA Marco Rubio ogłosił, że kierowany przez niego Departament Stanu nałożył sankcje na sześciu urzędników z Hongkongu i Chin, którzy „zaangażowani byli w działania lub politykę naruszającą autonomię Hongkongu, w tym poprzez represje wobec osób przebywających w Stanach Zjednoczonych".

eprasa.pl 639267e58f

Wiele rządów podtrzymywało przekonanie, że Chiny pod rządami Komunistycznej Partii Chin mogą być dla Zachodu przyjacielem lub przynajmniej wiarygodnym partnerem handlowym. „Odkąd Xi Jinping objął władzę 12 lat temu – a nawet kilka lat wcześniej – sygnały ostrzegawcze były widoczne dla każdego, jednak postanowiono je zignorować. Problem polega na tym, że kolejne rządy przyjęły mentalność strusia, z niezwykłą zręcznością chowając głowę w piasek, zatykały uszy i zasłaniały oczy przed nasilającymi się represjami ze strony KPCh w kraju oraz agresją za granicą" – twierdzi Rogers. Na tę postawę strusia, którą przyjął Zachód, Pekin odpowiedział stłumieniem prodemokratycznych protestów w Hongkongu, uwięzieniem ich przywódców, przekształceniem lokalnego parlamentu w marionetkowe zgromadzenie pod kontrolą Pekinu oraz aresztowaniem 77-letniego Jimmy-'ego Laia, katolika i wydawcy antykomunistycznej gazety „Apple Daily".

Nadzieja w Trumpie

Hongkong umiera, ale wielu Hongkończyków podejmuje działania za granicą, które mają na celu zwiększenie świadomości na Zachodzie na temat sytuacji w byłej kolonii brytyjskiej. Tak, Hongkończycy często czują się rozczarowani postawą zachodnich polityków, ale wielu z nich dostrzega nadzieję w nowej administracji w USA. Lewicowe media często krytykują Donalda Trumpa za brak działań na arenie międzynarodowej w kwestii praw człowieka. Tymczasem działania administracji 47. prezydenta Stanów Zjednoczonych w kwestii Hongkongu stoją w sprzeczności z tą tezą. 31 marca bieżącego roku sekretarz stanu Marco Rubio ogłosił, że kierowany przez niego Departament Stanu nałożył sankcje na sześciu urzędników z Hongkongu i Chin, którzy „zaangażowani byli w działania lub politykę naruszającą autonomię Hongkongu, w tym poprzez represje wobec osób przebywających w Stanach Zjednoczonych". Wśród osób ukaranych przez USA znajduje się Dong Jingwei, obecny dyrektor Biura Ochrony Bezpieczeństwa Narodowego Chińskiej Republiki Ludowej w Specjalnym Regionie Administracyjnym Hongkongu. Wcześniej jako wiceminister bezpieczeństwa państwowego Chin, Dong kierował działaniami mającymi na celu śledzenie dysydentów oraz łapanie rzekomych zagranicznych szpiegów. Sankcje objęły również Raymonda Hak Yee Siu, komisarza policji Hongkongu, oraz Paula Ting Kwok Lama, sekretarza sprawiedliwości Hongkongu, za ich rolę w „zmuszaniu, aresztowaniu, zatrzymywaniu lub więzieniu" osób na mocy Ustawy o bezpieczeństwie narodowym. Ukarani urzędnicy wykorzystali też Ustawę o bezpieczeństwie narodowym, aby poza granicami Hongkongu „zastraszać, uciszać i nękać hongkońskich działaczy prodemokratycznych, którzy zostali zmuszeni do ucieczki, w tym obywatela USA oraz czterech innych rezydentów tego kraju". Sankcje oznaczają m.in., że wszelka własność i udziały w majątku osób objętych nimi w USA zostaną zamrożone, a one same nie będą miały prawa wjazdu na terytorium Stanów Zjednoczonych.

Wraz z ogłoszeniem sankcji Departament Stanu opublikował coroczny raport, w którym stwierdzono, że rząd Hongkongu nadal wykorzystuje „szeroko zakrojone przepisy dotyczące bezpieczeństwa narodowego do podważania praw człowieka i swobód obywatelskich w Hongkongu". Zauważono, że w grudniu ubiegłego roku władze Hongkongu oferowały nagrody za informacje prowadzące do aresztowań dysydentów mieszkających za granicą. Raport zwraca też uwagę na naruszenia wolności wypowiedzi i prasy w byłej brytyjskiej kolonii. Hongkong wprowadził ograniczenia dotyczące podróży oraz wniosków wizowych dla zagranicznych dziennikarzy, a coraz częściej odmawia wjazdu reporterom, którzy przybywają, aby relacjonować procesy prodemokratycznych działaczy.

Mieszkający w Stanach Zjednoczonych hongkońscy dysydenci z zadowoleniem przyjęli zarówno sankcje, jak i treść raportu. W wywiadzie dla gazety „New York Times" Frances Hui podkreśliła, że „to naprawdę wiele znaczy, iż Stany Zjednoczone przejmują inicjatywę w pociąganiu do odpowiedzialności urzędników, którzy zorganizowali działania wymierzone w prodemokratycznych działaczy".

Jest również obietnica przedwyborcza, która padła z ust Donalda Trumpa w trakcie kampanii, a wielu Hongkończyków jej realizację uzna za istotne wsparcie dla swoich działań. Kilka dni przed wyborami, w wywiadzie przeprowadzonym przez konserwatywnego komentatora politycznego Hugh Hewitta, Trump zapowiedział, że „na 100 procent doprowadzi do uwolnienia" Jimmy'ego Laia. Choć do tej pory to się nie wydarzyło, sekretarz stanu Marco Rubio zapewnia, że nadal jest to priorytet, a obecna administracja wspólnie z innymi państwami pracuje nad tym zagadnieniem. Pod koniec marca odbyło się pierwsze spotkanie przedstawicieli rządu Trumpa z rodziną i obrońcami Laia. „Prezydent Trump był pierwszym prezydentem Stanów Zjednoczonych, który wymienił mojego ojca z nazwiska" – powiedział reporterom w Waszyngtonie Sebastien Lai, syn więzionego w odosobnieniu schorowanego wydawcy z Hongkongu. Dodał, że po rozmowach w Waszyngtonie ma znacznie więcej nadziei na uwolnienie taty. ■

eprasa.pl 639267e58f



Antoni Rybczyński

Trumpa gra w szachy z Persami



ILUSTRACJA: MARIUSZ TROLIŃSKI, WYGENEROWANE ZA POMOCĄ AI

Rozbrojenie programu atomowego Iranu to jeden z priorytetów Donalda Trumpa. Prezydent USA zarządził politykę „maksymalnej presji", aby osłabić reżim ajatollahów gospodarczo i zmusić do ustępstw. Nie będzie to jednak łatwe, bo za Teheranem stoją Chiny i Rosja. W kwietniu udało się rozpocząć negocjacje, ale wciąż bardzo prawdopodobna jest opcja militarna. Islamska republika jeszcze nigdy nie była tak słaba – po serii klęsk jej sojuszników i wasali z tzw. osi oporu w wojnach z Izraelem (Hamas i Hezbollah), upadku proirańskiego Asada i potężnej kampanii ataków USA na jemeńskich Huti. Najbliższe miesiące mogą zdecydować o trwałej rekonfiguracji układu sił na całym Bliskim Wschodzie.

Najpierw spotkanie w Omanie (12 kwietnia), potem w Rzymie (19 kwietnia). Jeśli przypomnimy sobie ostre wypowiedzi i groźby z poprzednich tygodni, wybór opcji dyplomatycznej zamiast militarnej przez Waszyngton i Teheran wcale nie wydawał się oczywisty. Prawdopodobieństwo wybuchu poważnego konfliktu regionalnego zmniejszyło się, ale nie zniknęło. Stany Zjednoczone i Iran zadeklarowały zamiar pokojowego rozwiązania wszystkich różnic, co z pewnością jest dobrą wiadomością. Żadnej ze stron nie zależy na wojnie. Jednak może to być tylko odsunięcie w czasie tego, co nieuniknione: uderzenia Izraela z mniejszym lub większym udziałem USA na Iran. Nic bowiem nie wskazuje na to, by Ali Chamenei był gotów zrezygnować z programu atomowego. Najważniejszy ajatollah pamięta doskonale, czym skończyła się rezygnacja z prób uzyskania broni jądrowej dla Muammara Kadafiego. Libijski dyktator stracił kluczowy środek odstraszania. W Teheranie nie ufają też Trumpowi po tym, jak zatopił porozumienie zawarte z Obamą w 2015 roku. Twardogłowi w Iranie rozumują całkiem logicznie: bez broni atomowej lub dokładniej, bez opcji szybkiego jej uzyskania, pozycja Iranu będzie osłabiona wobec USA, Izraela, ale też choćby Arabii Saudyjskiej. Obecnie Teheran jest w stanie wyprodukować materiał rozszczepialny potrzebny do stworzenia głowicy nuklearnej w ciągu kilku dni. Większość szacunków sugeruje, że gdyby Iran chciał, mógłby zbudować sprawne bomby w ciągu zaledwie kilku miesięcy. Innymi słowy, islamska republika znaj-

egazeta.pl 69267e58f

duje się na progu stania się dziesiątą potęgą atomową na świecie.

Jeśli Teheran wciąż marzy o byciu mocarstwem numer jeden w regionie, nie może zrezygnować z takiego atutu. Zgoda na prowadzenie rozmów dyplomatycznych wydaje się grą na czas – wszak poprzedziła ją niebywała koncentracja sił przez Amerykanów w regionie: dodatkowe systemy obrony powietrznej w Izraelu, sprowadzenie F-35, dwa lotniskowce USS „Harry Truman" i USS „Carl Vinston" i lądowanie na Diego Garcia „niewidzialnych" bombowców B-2 zdolnych przenosić 14-tonowe bomby, burzące ukryte głęboko pod ziemią instalacje – a właśnie tak Iran ukrywa swoje atomowe obiekty. Ostatecznie skończyć się może tak, jak z wysiłkami Trumpa, aby doprowadzić do rozejmu na Ukrainie. Zła wiadomość dla Iranu jest taka, że nauczony doświadczeniem gry na czas Władimira Putina, kolejny raz prezydent USA nie będzie aż tak cierpliwy.

Cele USA muszą być realne

Stany Zjednoczone są zainteresowane zniesieniem sankcji na Iran w zamian za pozbycie się zagrożenia wejścia przez Teheran w posiadanie broni jądrowej. Głównym motywem działań administracji Białego Domu wydaje się być chęć zalania rynku tanią ropą naftową. Porozumienie z Iranem wpisuje się w tę logikę, podczas gdy wojna jest z nią sprzeczna. Trump ma niemal instynktowne zamiłowanie do zawierania umów i powiedział, że chce, aby Iran znów prosperował. I można mu wierzyć. Ale też urzędnicy Trumpa, nawet jeśli podjęli rozmowy, zwiększyli presję na Teheran. Sam Trump wyznaczył Iranowi krótki, dwumiesięczny termin na osiągnięcie porozumienia w sprawie jego programu nuklearnego. Jeśli obie strony zawiodą, wyraźnie zagroził atakiem na ten kraj. Jeśli dyskusja sprowadzi się, jak chciałby Teheran, bezpośrednio do programu nuklearnego, porozumienie wydaje się możliwe. Islamska republika zawsze oficjalnie zaprzeczała, jakoby jej celem było posiadanie broni nuklearnej. Publicznie dostępne oceny zachodniego wywiadu potwierdzają, że Iran rzeczywiście nie powrócił do programu nuklearnego od 2003 roku. Wzbogacanie uranu do poziomu zbliżonego do broni jądrowej sprawia jednak wrażenie próby stworzenia nuklearnej strategicznej dwuznaczności, by wszyscy wokół mieli wrażenie, że przy odpowiedniej woli politycznej broń jądrowa może zostać opracowana w ciągu kilku miesięcy. Nie ma gwarancji, że Iran będzie skłonny zrezygnować z tej gry, lecz szansa istnieje.

Presja USA musi być powiązana z realistycznymi celami. W końcu porozumienie nuklearne z 2015 roku powstało nie tylko ze względu na dodatkowe sankcje, lecz także dlatego, że Stany Zjednoczone były gotowe zrezygnować z wymogu całkowitego zamknięcia programu nuklearnego przez Teheran, o ile irańskie zapasy uranu i plutonu zostaną znacznie ograniczone i będą ściśle monitorowane. Jeśli Trump naprawdę chce podpisać porozumienie, musi – podobnie jak Iran – być przygotowany na dostosowanie się przynajmniej do pewnego stopnia. Co oznacza na przykład pozwolenie Iranowi na utrzymanie elementów jego programu nuklearnego lub programu rakietowego, jednocześnie oferując złagodzenie sankcji, w tym na irański handel ropą i dostęp do zamrożonych aktywów. Stany Zjednoczone powinny podejść do rozmów ze świadomością, że „model libijski" (jak zaproponował izraelski premier Benjamin Netanjahu), polegający na żądaniu całkowitego demontażu irańskiej infrastruktury nuklearnej, raczej nie zadziała. Z drugiej strony, ograniczenia i przejrzystość mogą znacznie przyczynić się do rozwiązania kwestii nierozprzestrzeniania broni jądrowej, wyraźnie oddalając program islamskiej republiki od progu nuklearnego.

Zły czas dla ajatollahów

Twardogłowi w Teheranie coraz częściej twierdzą, że potrzebują broni nuklearnej, aby zapewnić Iranowi bezpieczeństwo. Z kolei Chamenei nadal wydaje się postrzegać program nuklearny jako dźwignię negocjacyjną. Ważnym czynnikiem staje się też czas. Porozumienie nuklearne z 2015 roku zawierało mechanizm „snapback", mający na celu umożliwienie każdej ze stron porozumienia ponowne nałożenie międzynarodowych sankcji. Bez pokojowego rozwiązania, od października Francja, Niemcy i Wielka Brytania prawdopodobnie uruchomią mechanizm i republika islamska ponownie podlegać będzie ograniczeniom sprzed 2015 roku. Tyle że dziesięć lat później Teheran jest w dużo gorszej formie. Do niedawna był to prawdopodobnie najważniejszy podmiot regionalny na Bliskim Wschodzie, bardziej wpływowy niż Egipt, Izrael, Arabia Saudyjska czy Turcja. Jednak w ciągu kilku miesięcy irańskie wpływy runęły w gruzach. Iran jest słabszy i bardziej bezbronny niż był od dziesięcioleci, prawdopodobnie od czasu wojny z Irakiem, a nawet od rewolucji w 1979 roku.

Regionalne wpływy Teheranu wynikały w dużej mierze z finansowania i uzbrajania grup terrorystycznych i milicji w Strefie Gazy, Iraku, Libanie, Syrii, Jemenie i innych krajach. Ci proxy sprzeciwiali się Izraelowi (i wszelkim porozumieniom między Izraelem a Palestyńczykami) i zagrażali interesom USA i Zachodu. Ta pośrednia strategia zwielokrotniła wpływ Iranu w całym regionie, jednocześnie pozwalając Teheranowi uniknąć lub przynajmniej zminimalizować bezpośredni odwet. W Iraku Iran był głównym beneficjentem wojny z 2003 roku, w której Stany Zjednoczone odsunęły od władzy Saddama Husajna, a także zlikwidowały sunnicki reżim w Bagdadzie, który chciał i był w sta-

eprasa.pl 639267e58f

nie równoważyć szyicki Teheran (vide wojna 1980–1988). Iran był w stanie wykorzystać chaos wywołany inwazją i pokrewieństwo z irącką większością szyicką, aby zastąpić Stany Zjednoczone jako siłę zewnętrzną o największych wpływach w kraju. Hezbollah, będący głównym odbiorcą irańskiej pomocy wszelkiego rodzaju, a zatem lepiej wyposażony niż jego lokalni rywale, działał z niemal całkowitą niezależnością w Libanie. Następnie był Hamas. Przez kilka dziesięcioleci, pomimo faktu, że grupa ta jest sunnicka, Iran wspierał ją gotówką, szkoleniami i bronią, mając na celu zwiększenie szans na to, że odrzucenie, a nie porozumienie, zdominuje palestyńskie podejście do Izraela. W Syrii Iran, wraz z Rosją, zaangażował się we wspieranie reżimu Baszszara al-Asada, gdy ten stanął na krawędzi upadku w następstwie „arabskiej wiosny". Reżim przetrwał ponad dekadę, dzięki czemu główny szlak lądowy, którym wysyłano broń do Hezbollahu, pozostał nienaruszony. Iran zainwestował również w rozwój Huti w Jemenie, którzy byli głównym bohaterem wojny domowej w tym kraju (walcząc nie tylko z rządem, lecz także z siłami Arabii Saudyjskiej i Zjednoczonych Emiratów Arabskich).

Pokusa obalenia islamskiej republiki

Początek końca regionalnego prymatu Iranu nadszedł, jak na ironię, wraz z czymś, co wydawało się triumfem reżimu: atakami Hamasu z 7 października 2023 roku. Nieco ponad rok później ta taktyczna wygrana Iranu zakończyła się strategiczną porażką. Izrael zdegradował Hamas do tego stopnia, że nie jest on już skuteczną siłą bojową. W ślad za tym Izrael przeprowadził szereg ataków na Hezbollah, które wyeliminowały jego przywództwo i większość arsenału. Wydarzenia te ułatwiły obalenie Asada. Hezbollah nie był już w stanie wspierać jego reżimu. Gdy Rosja skupiła swoje zasoby i uwagę na Ukrainie, siły rebelianckie, dowodzone przez islamistów i wspierane przez Turcję, szybko zniszczyły dynastię, która bezwzględnie rządziła Syrią przez ponad pół wieku. Sam Iran też jest teraz bardziej bezbronny niż kiedykolwiek wcześniej. Dwukrotnie w 2024 roku (najpierw w kwietniu, a następnie w październiku) zaatakował Izrael bezpośrednio za pomocą dronów i pocisków rakietowych. Ataki Iranu spowodowały niewielkie szkody. Izrael odpowiedział dwukrotnie, niszcząc obronę powietrzną, zapasy amunicji i krytyczne elementy irańskiej bazy obronno-przemysłowej, jednocześnie demonstrując zdolność do prowadzenia działań wojskowych nad Iranem z niemal całkowitą swobodą.

Głównym problemem reżimu ajatollahów nie jest jednak brak środków wojskowo-technicznych, lecz sytuacja społeczno-gospodarcza. Rosnące ceny, spadające dochody oraz kryzys energetyczny i wodny najbardziej uderzają w biednych Irańczyków. Kiedyś byli oni głównym filarem społecznym reżimu, ale teraz system dotacji nie zapewnia już ich lojalności. Umiarkowane protesty podczas obchodów Nowruz, które pozostały bezkarne, pojedyncze wypowiedzi na portalach społecznościowych i publikacje w opozycyjnych mediach pokazują rosnące niezadowolenie w społeczeństwie. Ludzie nie rozumieją, dlaczego konieczne jest drażnienie Ameryki i Izraela programem nuklearnym, który i tak nie zapewnił krajowi niezawodnej ochrony, a jedynie sprowokował konflikt. Oskarżenia o nieodpowiedzialność władz słychać coraz częściej i spotykają się one z rosnącym zrozumieniem.

Ta słabość ponownie otworzyła debatę na temat tego, w jaki sposób Stany Zjednoczone i ich partnerzy powinni podejść do irańskiego wyzwania. Niektórzy widzą w tym szansę na zajęcie się zarówno potencjałem nuklearnym Teheranu, jak i jego wrogą aktywnością w regionie. Są też tacy, którzy mówią, że to najlepsza okazja, by obalić islamską republikę. Logika tego argumentu jest taka, że demokratyczny i prozachodni Iran wyrzekłby się broni nuklearnej i wycofałby się ze wspierania proxy. Zmiana reżimu rozwiązałaby więc za jednym zamachem dwa główne problemy. Po dostarczeniu Teheranowi w marcu ultimatum Trumpa, prezydent Masoud Pezeszkian i przewodniczący parlamentu Ali Larijani podobno przekonali Najwyższego Przywódcę Alego Chameneiego, który wcześniej zakazał negocjacji, do porzucenia tego bezkompromisowego stanowiska. Podczas gdy jastrzębie w Korpusie Strażników Rewolucji Islamskiej wierzą, że uderzenie izraelsko-amerykańskie może zgromadzić ludzi wokół przywódców państwa, umiarkowane skrzydło obawia się, że wojna może doprowadzić do eksplozji społecznej, która obali reżim.

Wojna się nie opłaci

Ze względu na ciągłe zagrożenie działaniami wojskowymi Iran zwrócił szczególną uwagę na widoczność i wrażliwość kluczowych obiektów podczas ich budowy. Wiele z nich jest dobrze rozproszonych, a niektóre znajdują się w górach lub są ukryte pod ziemią. Większość irańskich obiektów jest prawdopodobnie pokryta warstwami wzmocnionego betonu o dużej gęstości, skał, upakowanej ziemi i innych materiałów, których grubość może wynosić 80–100 metrów. Zanim cele zostaną osiągnięte, siły atakujące będą musiały poradzić sobie z obroną przeciwlotniczą. Wydaje się, że nie sprawiły one Izraelowi zbyt wiele kłopotu podczas ataków w październiku 2024 roku, a jeszcze mniej prawdopodobne jest, że sprawią kłopot amerykańskim siłom powietrznym. Jednak wokół kluczowych obiektów będą znajdować się intensywne systemy obronne, z których nie wszystkie mogą być znane amerykańskiemu wy-

eprasa.pl 639267e58f

wiadowi. Poważna kampania przeciwko irańskiemu programowi nuklearnemu musiałaby być zatem szeroko zakrojona i ciągła. Izrael użył ponad 100 odrzutowców w październikowych atakach na Iran, więc teraz liczba samolotów potrzebnych do uderzenia w irańskie zakłady wzbogacania uranu i inne kluczowe cele musi być co najmniej dwukrotnie większa.

Jednak nawet zmasowany amerykańsko-izraelski atak prawdopodobnie nie położy kresu irańskiemu programowi nuklearnemu. Islamska republika ma po prostu zbyt dużo wzbogaconego materiału i przechowuje zbyt wiele zaawansowanych wirówek w zbyt wielu miejscach, by można było zniszczyć je wszystkie. Iran posiada również wielu ekspertów nuklearnych, którym można powierzyć zadanie podniesienia programu z gruzów. Nawet szacunki wywiadowcze USA przewidują, że niepowodzenie programu w wyniku ataku wojskowego byłoby krótkotrwałe – być może tylko kilka miesięcy. Aby naprawdę powstrzymać program przy użyciu siły, Stany Zjednoczone musiałyby albo często powtarzać ataki wojskowe, albo spróbować przeprowadzić kampanię zmiany reżimu, aby przerwać ten cykl.

Tymczasem odwet Iranu miałby potężne skutki. Nie jest możliwe idealne zabezpieczenie przed atakami wszystkich amerykańskich obiektów w regionie, zwłaszcza w Iraku. Jeśli sąsiednie kraje arabskie dadzą powód do oskarżenia ich o współudział w agresji, na przykład udostępniając swoją przestrzeń powietrzną samolotom, ich infrastruktura naftowo-gazowa stanie się naturalnym celem. Na krótkim i średnim dystansie irańskie rakiety i drony stanowią poważne zagrożenie, zwłaszcza biorąc pod uwagę ich liczbę. Iran jest też w stanie zablokować cieśninę Ormuz, przez którą przepływa jedna trzecia światowej ropy sprzedawanej drogą morską. Innymi słowy, konflikt regionalny może doprowadzić do najmniej pożądanych dla Białego Domu konsekwencji – ceny ropy naftowej i gazu wzrosłyby gwałtownie, zwiększając presję inflacyjną na całym świecie i obniżając wzrost gospodarczy. Udana operacja wojskowa mogłaby cofnąć Teheran o kilka lat, ale mógłby on zdecydować się na odbudowę swojego programu w bardziej ufortyfikowanych pozycjach i poza zasięgiem amerykańskiej i izraelskiej amunicji. Taki atak zostałby również wykorzystany przez Iran jako dalsze uzasadnienie potrzeby posiadania broni jądrowej. Wewnętrzne skutki takiego scenariusza w Iranie są nieznane. Mogłyby one równie łatwo wywołać reakcję nacjonalistyczną, jak i zachęcić do protestów antyreżimowych. Na arenie międzynarodowej taki atak prewencyjny mógłby okazać się destabilizujący, ponieważ inni mogliby powołać się na niego jako precedens do podjęcia podobnych działań przeciwko rywalom.

Na porozumieniu skorzystają obie strony

Jeśli Waszyngton zaatakuje obiekty nuklearne Teheranu, może to tymczasowo zahamować program. Iran mógłby jednak podwoić wysiłki zmierzające do uzyskania broni jądrowej. Po zniszczeniu konwencjonalnych środków odstraszania Iran może również dojść do wniosku, że tylko broń jądrowa może go ochronić przed Izraelem i Stanami Zjednoczonymi. Natychmiast zareagowałby również własnymi atakami w regionie, jeszcze bardziej destabilizując sytuację na Bliskim Wschodzie. Nic dziwnego, że sam Trump powiedział, że „wszyscy zgadzają się, że zawarcie umowy byłoby lepsze, niż robienie rzeczy oczywistych". Z perspektywy Teheranu najważniejszym celem byłoby zachowanie systemu stworzonego przez rewolucję z 1979 roku. Cel ten powodował zmiany w polityce w przeszłości: w 1988 roku ajatollah Chomeini zaakceptował zakończenie wojny Iranu z Irakiem bez zwycięstwa, decyzję, którą porównał do wypicia trucizny, aby uratować republikę islamską. Obecna sytuacja jest analogiczna: Stany Zjednoczone zasygnalizowałyby swoją gotowość do życia z istniejącym reżimem, gdyby zaakceptował on daleko idące ograniczenia swoich ambicji nuklearnych i działań regionalnych. W ramach takiego porozumienia Iran byłby w stanie utrzymać program energii jądrowej, aczkolwiek pod surowymi ograniczeniami i monitoringiem, a także mógłby zapewnić polityczne i gospodarcze (ale nie militarne) wsparcie podmiotom regionalnym. Sankcje gospodarcze zostałyby znacznie złagodzone (a nawet te, które pozostały, mogłyby zostać złagodzone lub zniesione, gdyby Teheran zapewnił Irańczykom większą swobodę). Stany Zjednoczone zaakceptowałyby i byłyby gotowe uznać obecny irański rząd, rezygnując z prób zmiany reżimu.

Czas jest tutaj ważnym czynnikiem. Iran już podejmuje próbę pozbierania się i odtworzenia sieci swoich pełnomocników w regionie (widać to po destabilizujących działaniach w Syrii). Jeśli porozumienie zostanie osiągnięte i doprowadzi do obniżenia cen energii, będzie to korzystne dla amerykańskiej gospodarki (z wyjątkiem jej przemysłu naftowego), a bardzo niekorzystne dla Rosji. Rosyjska ropa ma znacznie wyższe koszty produkcji niż ropa z Bliskiego Wschodu, a sytuacja na rynku jest obecnie taka, że nawet niewielki spadek cen znacznie zmniejsza zdolność Kremla do finansowania wojny. To, w jaki sposób zakończy się obecna gra USA z Iranem, będzie miało poważne konsekwencje nie tylko dla Bliskiego Wschodu, lecz także dla reszty świata, w tym rynków energii. A Stanom Zjednoczonym pomoże określić, w jakim stopniu mogą w końcu zrealizować długo dyskutowany zwrot i przenieść zasoby wojskowe z Bliskiego Wschodu na inne priorytetowe odcinki, przede wszystkim na Indo-Pacyfik, by odstraszać najgroźniejszego rywala: Chiny. ■

eprasa.pl 639267e58f

Wspieraj wolne media, które nie boją się mówić prawdy!

Nie pozwól, by niezależne dziennikarstwo zostało zagłuszone. Dzięki Twojej prenumeracie **„Gazeta Polska”**, **„Gazeta Polska Codziennie”** oraz **„Nowe Państwo”** pozostają głosem patriotów i strażnikiem polskich wartości.



DOŁĄCZ DO TYCH, KTÓRZY WALCZĄ O PRAWDĘ!

Wolne Media potrzebują Twojej pomocy >>

Zamów prenumeratę teraz!
prenumerata.swsmedia.pl

NAPISZ **prenumerata@swsmedia.pl** / ZADZWOŃ **605 900 002** / SPRAWDŹ **prenumerata.swsmedia.pl**
DANE DO PRZELEWU **PL 82 1240 5963 1111 0010 3867 3017** / ADRES **ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa**

eprasa.pl 639267e58f

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Chiny

Od 1 maja w Chinach wchodzą w życie przepisy, które poważnie ograniczają działalność misjonarzy w tym kraju. Nowe ustawodawstwo ogłoszone przez Krajową Administrację Spraw Religijnych (NRAA), podlegającą Wydziałowi ds. Pracy Zjednoczonego Frontu, kontrolowanemu przez Komunistyczną Partię Chin (KPCh), zabrania zagranicznym duchownym przewodzenia praktykom religijnym dla Chińczyków bez zaproszenia i zgody władz. Dodatkowo osoby, które uzyskają taką zgodę, zobowiązane są do tego, aby ich kazania „nie zawierały treści wrogich Chinom, ekstremistycznych tendencji ideologicznych oraz nie mieszały się w sprawy religijne Chin". Nowe przepisy stanowią również, że jedynie duchowni chińscy mogą przewodniczyć obrzędom religijnym w sankcjonowanych przez władzę świątyniach, i to nie tylko dla swoich rodaków, lecz także dla obcokrajowców. Oznacza to formalne wykluczenie wszelkich kontaktów cudzoziemców z podziemnymi strukturami kościelnymi, na przykład z katolikami nienależącymi do kontrolowanego przez państwo Patriotycznego Stowarzyszenia Katolików Chińskich.

Nowe prawo stanowi element kampanii sinizacji religii, wprowadzonej przez prezydenta Xi Jinpinga, mającej na celu maksymalne podporządkowanie wszelkich wyznań KPCh. W kościołach, meczetach i innych świątyniach nie może dziać się nic, co pozostawałoby poza kontrolą partii. Przepisy wchodzą w życie sześć miesięcy po przedłużeniu kontrowersyjnego porozumienia między Watykanem a chińskim rządem. W wypowiedzi dla katolickiego portalu internetowego Pillar duchowni z Chin, pragnący zachować anonimowość ze względów bezpieczeństwa, stwierdzili, że nowe przepisy stanowią „pretekst" do aresztowania cudzoziemców za działalność religijną. Jeden z księży, dobrze zaznajomiony z podziemnymi wspólnotami katolickimi w ChRL, określił je wręcz jako „licencję na aresztowanie". „Załóżmy, że odwiedza cię katolik lub że mamy katolika z kraju zachodniego, który mieszka w Chinach; nie ma on możliwości uczestniczenia w mszy w żadnym innym miejscu niż w oficjalnym kościele, odprawianej przez księdza należącego do kościoła patriotycznego". W wypowiedzi dla Pillar chińscy duchowni podkreślili, że nowe ustawodawstwo niestety pokazuje, iż po zawarciu porozumienia między Stolicą Apostolską a Pekinem Kościół katolicki w Chinach „ma mniej, a nie więcej swobody działania". Podpisane w 2018 roku porozumienie między Watykanem a KPCh uznało rolę chińskiego rządu w mianowaniu biskupów i miało na celu uregulowanie statusu Kościoła w Chinach. Kościół ten jest podzielony na dwie frakcje: podziemną, uznającą zwierzchnictwo Ojca Świętego, oraz patriotyczną, podporządkowaną komunistycznym władzom. Umowa była odnawiana w 2020, 2022 i 2024 roku. Mimo że zakłada ona, iż biskupi w Chinach mają być mianowani w drodze współpracy między Pekinem a Rzymem (co rzeczywiście miało miejsce w kilku przypadkach), coraz częściej ze strony KPCh dochodzi do jednostronnych nominacji biskupich. Watykan nie był również w stanie zapewnić uwolnienia wielu duchownych, w tym niektórych biskupów, którzy zostali aresztowani lub „zaginęli" w wyniku działań chińskiego rządu po zawarciu umowy między Watykanem a Chinami w 2018 roku.

eprasa.pl 639267e58f

Opublikowany w marcu raport amerykańskiej Komisji ds. Międzynarodowej Wolności Religijnej (USCIRF) alarmuje, że prowadzona przez władze Chin polityka sinizacji religii systematycznie narusza prawo do wolności wyznania, uznawane i chronione w wymiarze międzynarodowym. W ChRL dochodzi do „całkowitego podporządkowania KPCh chrześcijańskich miejsc kultu oraz działalności religijnej zarówno duchowieństwa, jak i świeckich. Chiny zabraniają również nieletnim angażowania się w działalność religijną oraz otrzymywania edukacji religijnej" – czytamy w raporcie.

Korea Północna

Według południowokoreańskich mediów część z tysięcy żołnierzy wysłanych przez Koreę Płn. do Rosji, aby walczyć po stronie Moskwy przeciwko Ukrainie, to cywile z KRLD. Na front wysłano głównie żołnierzy z północnokoreańskiego Korpusu Szturmowego, jednostki sił specjalnych. Jednak dołączono do nich także tych, którzy zostali ukarani za przestępstwa popełnione podczas służby wojskowej, oraz osoby o „złożonym pochodzeniu społecznym", czyli tych, których krewni uciekli do krajów, takich jak Korea Płd. czy Chiny. Rodziny uciekinierów z Korei Płn. spotykają się z surowymi konsekwencjami, takimi jak przymusowe relokacje do odległych obszarów, uwięzienia w obozach pracy, a nawet publiczne egzekucje. Obecnie nową formą kary jest wysyłanie ich na wojnę, jaką Rosja prowadzi przeciwko Ukrainie.

Korea Płd. i USA szacują, że Pjongjang wysłał co najmniej 12 tys. żołnierzy do walki w rosyjskim regionie Kurska przeciwko armii ukraińskiej. Ukraina informuje, że około 4 tys. z nich zostało zabitych lub rannych. Ani Rosja, ani Korea Płn. nie potwierdziły obecności północnokoreańskich żołnierzy na polu bitwy. Gdy ciała poległych wracają do Korei Płn., władze nakazują pogrążonym w żałobie rodzinom, aby nie ujawniały informacji o zgonach bliskich.

Chiny–Wielka Brytania

Wielka Brytania, niegdyś kolebka rewolucji przemysłowej, stoi w obliczu poważnego kryzysu w przemyśle stalowym. W momencie gdy Londyn ogłosił zamiar zwiększenia produkcji w sektorze obronnym, Jingye Group, chiński właściciel British Steel, zapowiedział plany zamknięcia dwóch wielkich pieców oraz zakładów produkujących stal w Scunthorpe. Taki krok mógłby skutkować utratą nawet 2700 miejsc pracy oraz zakończeniem ponad 160-letniej tradycji produkcji stali w Wielkiej Brytanii. W rezultacie Zjednoczone Królestwo stałoby się jedynym państwem w grupie G7, które nie jest w stanie produkować stali na swoim terytorium. Wszystko zaczęło się w 2020 roku, kiedy to rządząca Partia Konserwatywna uznała, że ratunkiem dla huty British Steel w Scunthorpe będzie jej sprzedaż Chińczykom. Ostatecznie jednak skończyło się na 200 mln funtów w formie pożyczek, a produkcja stali w Wielkiej Brytanii w rzeczywistości zmalała. W kwietniu, gdy Jingye Group ogłosiła decyzję o zamknięciu huty, brytyjski rząd postanowił zareagować i przygotował ustawę, która przyznaje mu uprawnienia do nakazania właścicielowi utrzymania działalności huty w Scunthorpe. Ustawa ta daje również prawo do przejęcia kontroli nad British Steel, „używając siły, jeśli zajdzie taka potrzeba", oraz do zamawiania materiałów niezbędnych do produkcji stali. Nowe prawo zostało przyjęte w trybie ekspresowym podczas specjalnie zwołanej sesji parlamentu przed świętami wielkanocnymi. Brytyjscy politycy określają działania Chińczyków jako sabotaż, mający na celu uzależnienie Wielkiej Brytanii od Chin w zakresie zakupów stali. „Wciąż dajemy Pekinowi narzędzia ułatwiające nasz własny upadek […]. Nie powinniśmy oferować wrogiemu państwu, które chce nam zaszkodzić, dostępu do usług, których nasz kraj potrzebuje do funkcjonowania" – powiedział gazecie „Times" Luke de Pulford, dyrektor wykonawczy Międzyparlamentarnego Sojuszu ds. Chin (IPAC), grupy, która gromadzi posłów z różnych krajów i dąży do stworzenia skoordynowanej polityki państw demokratycznych wobec Chin w obszarach takich jak handel międzynarodowy, bezpieczeństwo oraz prawa człowieka.

British Steel to tylko jeden z przykładów ilustrujących, jak Londyn w ostatnich latach uzależnił się od komunistycznych Chin w kwestiach gospodarczych. Chińskie inwestycje obejmują szeroki zakres sektorów, od energetyki jądrowej po lotnisko Heathrow. Richard Dearlove, były szef brytyjskiego wywiadu MI6, ostrzega, że rosnące wpływy Chin w gospodarce Zjednoczonego Królestwa stanowią poważne zagrożenie. „Nie powinniśmy zgadzać się na ich zaangażowanie w żadną z naszych kluczowych krajowych infrastruktur, ponieważ nie są niezawodnymi partnerami, a ich postawa w kwestii stali doskonale to ilustruje" – podkreśla Dearlove. Były szef MI6 alarmuje, że produkcja wysokiej jakości stali pod kontrolą Chin, zwłaszcza w kontekście obecnych potrzeb związanych z budową okrętów podwodnych i czołgów, jest nie do przyjęcia. ■

eprasa.pl 639267e58f



„To oczywiste, że rola i znaczenie Arktyki zarówno dla Rosji, jak i dla całego świata rośnie. Ale niestety, geopolityczna konkurencja, walka o pozycje w tym regionie również się nasila"

Władimir Putin, 27 marca 2025

zebrał i opracował Antoni Rybczyński

Między Ameryką a Chinami. Arktyczna strategia Rosji

Zorganizowane przez Rosję Międzynarodowe Forum Arktyczne (IAF), które odbyło się w dniach 26–27 marca, nakreśliło wizję Rosji jako odpowiedzialnego i konstruktywnego gracza w Arktyce. W wydarzeniu tym wziął udział prezydent Władimir Putin, który przedstawił Arktykę jako region współpracy między państwami arktycznymi i niearktycznymi.

eprasa.pl 6392672581

Podczas przemówienia na forum arktycznym Putin stwierdził, że Rosja „opowiadała się i nadal się opowiada za równą współpracą w regionie" oraz że „niestety współpraca międzynarodowa w północnych szerokościach geograficznych przechodzi obecnie trudne czasy", ponieważ „wiele krajów zachodnich obrało kurs konfrontacyjny" – czytamy w analizie amerykańskiego think tanku Jamestown Foundation (Gabriella Gricius, „Podwójna gra Rosji w Arktyce: współpraca z nazwy, konfrontacja w praktyce", Jamestown Foundation, Eurasia Daily Monitor, 7 kwietnia 2025). „Międzynarodowe Forum Arktyczne, które odbyło się pod hasłem »Arktyka: terytorium dialogu«, wcześniej służyło jako miejsce spotkań międzynarodowych interesariuszy, ale teraz zostało zredukowane do podium dla retoryki Putina. Rosja jest wykluczona ze wszystkich formatów współpracy międzynarodowej, a jej partnerstwo z Chińską Republiką Ludową (ChRL) przynosi niewiele korzyści. W związku z tym Putin rzadko przyznawał, że model rozwoju Północnego Szlaku Morskiego jest niewykonalny" (Pavel K. Baev, „Wojenna ścieżka Putina prowadzi przez Arktykę", Jamestown Foundation, Eurasia Daily Monitor, 31 marca 2025). „Wizerunkowi Rosji dążącej do współpracy w regionie przeczy jednak rosnąca rozbudowa sił wojskowych w regionie Morza Bałtyckiego i Arktyki, o czym świadczą ćwiczenia i prowokacyjny język. Chociaż to dwutorowe podejście nie jest nowe, Rosja zintensyfikowała swoje arktyczne operacje wojskowe w ostatnich miesiącach, jednocześnie nadal utrzymując retoryczne zaangażowanie w pokój i współpracę w regionie. Odpowiedź na to podejście jest trudna, ponieważ państwa zachodnie muszą przyznać, że militarna odpowiedź na rosyjską strategię arktyczną grozi legitymizacją moskiewskiej narracji o zachodniej agresji i ekspansji w Arktyce, co z kolei może podsycać rosyjską dezinformację, która ma na celu osłabienie sojuszy innych państw arktycznych" (G. Gricius, „Podwójna gra Rosji w Arktyce: współpraca z nazwy, konfrontacja w praktyce", Jamestown Foundation, Eurasia Daily Monitor, 7 kwietnia 2025).

Arktyka: front przyszłej wojny z NATO

„W przeszłości zamarznięta Arktyka służyła jako naturalna bariera, chroniąca Rosję przed zagrożeniami morskimi. Jednak w miarę, jak lód ustępuje z powodu zmian klimatycznych, ta naturalna obrona słabnie, przekształcając geopolitykę Arktyki i stwarzając szanse i zagrożenia dla Moskwy. Topniejąca Arktyka rozszerza rosyjski teatr operacyjny, umożliwiając większą manewrowość marynarki wojennej i bardziej bezpośredni dostęp do północnego Atlantyku przez Przesmyk GIUK. Pozwoliłoby to rosyjskim siłom morskim na ominięcie tradycyjnych wąskich gardeł, takich jak cieśnina Øresund, komplikując wysiłki NATO w zakresie śledzenia i powstrzymywania" – zauważa Paulo Aguiar w analizie zamieszczonej przez Geopolitical Monitor. „Przesmyk GIUK – rozciągający się między Grenlandią, Islandią i Wielką Brytanią – od dawna stanowi morski punkt krytyczny. Przez cały XX wiek kształtował strategię morską, od ochrony alianckich linii zaopatrzeniowych w obu wojnach światowych, po służenie jako linia frontu w zimnej wojnie przeciw okrętom podwodnym. Kontrola nad tym przejściem determinowała przewagę militarną na północnym Atlantyku, wpływając na projekcję siły i obronę transatlantycką. Chociaż jego znaczenie zmalało po zimnej wojnie, GIUK Gap nabiera nowego znaczenia w obliczu rosnącej aktywności rosyjskiej marynarki wojennej, ekspansji arktycznej i pojawiających się zagrożeń hybrydowych, co czyni go ponownie morskim punktem krytycznym o znaczeniu strategicznym. To strategicznie ważne przejście morskie. Pełniąc funkcję centralnego wąskiego gardła na północnym Atlantyku, łączy Ocean Arktyczny z Atlantykiem i ułatwia ruch między Ameryką Północną a Europą, co czyni go stałym obiektem zainteresowania strategów morskich" (Paulo Aguiar, „Geopolityka Przesmyku GIUK: przeszłość, teraźniejszość, przyszłość", Geopolitical Monitor, 19 stycznia 2025).

Szczególnie strategów rosyjskich, co niepokoić musi tym bardziej, że Putin ogłosił, iż „liczba personelu wojskowego zostanie zwiększona" zgodnie z rocznym budżetem federalnym, aby wzmocnić obecność wojskową Rosji w Arktyce. „Ta rozbudowa jest częścią wzorca rozszerzonej rosyjskiej obecności wojskowej w regionie Morza Bałtyckiego i Arktyki. Ataki hybrydowe stają się coraz bardziej powszechne od czasu pełnej inwazji Rosji na Ukrainę w 2022 roku, w tym rosnące ataki hybrydowe na kable podmorskie. Podczas gdy liczba ćwiczeń wojskowych na Morzu Barentsa niekoniecznie wzrasta, warto zauważyć, że ćwiczenia obejmują obecnie personel wojskowy, który służył w Ukrainie. Rosja modernizuje również swoje zdolności w zakresie okrętów podwodnych" – pisze Gricius (G. Gricius, „Podwójna gra Rosji w Arktyce: współpraca z nazwy, konfrontacja w praktyce", Jamestown Foundation, Eurasia Daily Monitor, 7 kwietnia 2025). Wprowadzenie okrętów podwodnych klasy Yasen i Borej podkreśla zaangażowanie Rosji w odzyskanie przewagi morskiej. Te okręty podwodne są wyposażone w najnowocześniejsze technologie stealth, pozwalające im omijać tradycyjne systemy wykrywania, oraz zaawansowane uzbrojenie, takie jak pociski manewrujące Kalibr i pociski hipersoniczne Cyrkon. Dzięki zwiększonemu zasięgowi i precyzji, platformy te mogą atakować aktywa i infrastrukturę NATO ze znacznych odległości (P. Aguiar, „Geopolityka Przesmyku GIUK: przeszłość, teraźniejszość, przyszłość", Geopolitical Monitor, 19 stycznia 2025).

Rada Arktyczna, czyli lis w kurniku

„Rosyjska rozbudowa militarna jest wzmacniana przez narrację, że Stany Zjednoczone są agresywnym aktorem w Arktyce, a Rosja jedynie reaguje na imperialistyczne zachowanie. Jest to widoczne w reakcjach Putina na niedawną re-

ILUSTRACJA: MARIUSZ TROLIŃSKI, WYGENEROWANE ZA POMOCĄ AI

eprasa.pl 639267e58f

torykę prezydenta USA Donalda Trumpa dotyczącą zakupu Grenlandii. Podczas swojego przemówienia na Międzynarodowym Forum Arktycznym Putin stwierdził, że plan Stanów Zjednoczonych dotyczący »aneksji« Grenlandii jest częścią planów »systematycznego rozwijania swoich geostrategicznych, wojskowo-politycznych i gospodarczych interesów w Arktyce«. Poza nagłówkami na temat Grenlandii, rosyjscy urzędnicy oskarżyli również inne państwa arktyczne, takie jak Norwegia i Finlandia, o dążenie do konfrontacji z Rosją" (G. Gricius, „Podwójna gra Rosji w Arktyce: współpraca z nazwy, konfrontacja w praktyce", Jamestown Foundation, Eurasia Daily Monitor, 7 kwietnia 2025). „Putin określił plany Trumpa dotyczące przejęcia kontroli nad Grenlandią jako »poważne« i zapewnił, że Rosja nie ma nic przeciwko takiej rekonfiguracji suwerennych praw w Arktyce. To, co czyni tę hipotetyczną propozycję praktycznie użyteczną dla Rosji, to widoczna eskalacja napięć między Stanami Zjednoczonymi a Danią, która może pogłębić rozdźwięk w NATO. Spodziewając się pogłębienia tych napięć, Rosja wywiera presję na państwa Europy Północnej, kierując do Norwegii demarche przeciwko rzekomej »militaryzacji« archipelagu Svalbard" (Pavel K. Baev, „Wojenna ścieżka Putina prowadzi przez Arktykę", Jamestown Foundation, Eurasia Daily Monitor, 31 marca 2025).

„W 1996 roku Rada Arktyczna została utworzona przez Kanadę, Danię, Finlandię, Islandię, Norwegię, Rosję, Szwecję i Stany Zjednoczone w celu kierowania reakcjami na ten rozwój poprzez promowanie współpracy i unikanie militaryzacji i konfliktów. Z czasem Rada przyznała status obserwatora innym krajom, w tym ChRL, która w 2018 roku ogłosiła się »państwem bliskim Arktyce«. Pierwotni członkowie grupy byli skonfliktowani w kwestii przyjęcia ChRL do Rady Arktycznej, ponieważ siedmiu z ośmiu członków należy do NATO, a ósmy, Federacja Rosyjska, nie. Chiny uzyskały status obserwatora w 2013 roku, a Rosja naciskała na bardziej wzmocnioną pozycję, ale pozostali członkowie nie zgodzili się na to, co byłoby zmianą w dokumencie założycielskim organizacji. W 2022 roku siedmiu członków NATO ograniczyło prace Rady Arktycznej do »projektów, które nie obejmują udziału Federacji Rosyjskiej«, w odpowiedzi na pełną inwazję Rosji na Ukrainę. Skłoniło to Moskwę do potępienia Rady Arktycznej i zawieszenia kontaktów z innymi podobnymi grupami międzynarodowymi oraz skłoniło rosyjskich urzędników do opracowania planów ustanowienia alternatywnego organu arktycznego, który obejmowałby jej sojuszników" (Paul Goble, „Rosja koncentruje się na Arktyce, aby podzielić Zachód i rozszerzyć swoje wpływy i pozycję na Antarktydzie", Jamestown Foundation, Eurasia Daily Monitor, 6 marca 2025). „Po inwazji niektórzy w Moskwie sugerowali, że Rosja powinna zwrócić się do niearktycznych organizacji międzynarodowych, takich jak BRICS, aby zrównoważyć to, co postrzegają jako »kontrolowaną przez NATO« Radę Arktyczną. Jednak ostatnie oświadczenia rosyjskich decydentów wysokiego szczebla podkreślają, że wizja Moskwy dotycząca utrzymania suwerenności nad jej projektami arktycznymi pozostaje niezmieniona" (Nurlan Alijew, „Arktyka Rosji: co dalej?", Riddle, 2 kwietnia 2025).

Podwójna gra Rosji

„Zdecydowana większość paneli na Międzynarodowym Forum Arktycznym (IAF) opisywała Rosję jako głównego aktora dla przyszłych inwestycji biznesowych w Arktyce, szczególnie podkreślając Północny Szlak Morski. Wydarzenie to podkreśliło również wysiłki Rosji na rzecz ochrony środowiska Arktyki i jej współpracę humanitarną z innymi państwami. Poza IAF, rosyjscy urzędnicy forsowali narrację o konieczności amerykańsko-rosyjskiej współpracy gospodarczej i zbliżenia w Arktyce. Rosja ma możliwość wykorzystania rosnącego podziału między Stanami Zjednoczonymi a ich europejskimi sojusznikami w Arktyce w kwestiach takich, jak Grenlandia, aby wprowadzić zamieszanie co do swoich zamiarów w regionach arktycznych i bałtyckich. Stanowi to dla Moskwy wymówkę, aby przedstawić wszelkie zachodnie reakcje na jej działania w Arktyce jako agresywne. Takie reakcje dodatkowo uzasadniałyby, w oczach Moskwy, zwiększoną rosyjską obecność wojskową w Arktyce" (G. Gricius, „Podwójna gra Rosji w Arktyce: współpraca z nazwy, konfrontacja w praktyce", Jamestown Foundation, Eurasia Daily Monitor, 7 kwietnia 2025). „Niedawno rozpoczęły się negocjacje między Rosją a Stanami Zjednoczonymi, co zwiększa możliwość stopniowego powrotu zachodnich firm do projektów arktycznych. Według rosyjskich i amerykańskich urzędników i mediów, jednym z potencjalnych obszarów odnowionej współpracy mogą być projekty gospodarcze w Arktyce. Amerykańskie firmy mogą być szczególnie zainteresowane ropą naftową na morzu, LNG i metalami ziem rzadkich w rosyjskiej strefie arktycznej. Chociaż Stany Zjednoczone są obecnie głównym eksporterem LNG i konkurentem Rosji w tym zakresie, Waszyngton może zachęcać amerykańskie firmy do angażowania się w rosyjskie projekty LNG, tak jak to robił podczas zimnej wojny, ze względów geopolitycznych" (N. Alijew, „Arktyka Rosji: co dalej?", Riddle, 2 kwietnia 2025).

„Od czasu inwazji na Ukrainę w 2022 roku, rosyjskie projekty gospodarcze, podobnie jak wiele innych sektorów, zostały znacząco zakłócone przez wojnę. Brak inwestycji i technologii, w połączeniu z rezygnacją zachodnich firm ze wspólnych przedsięwzięć lub zawieszeniem udziału, stworzył poważne przeszkody dla rozwoju rosyjskich projektów opartych na zasobach naturalnych w Arktyce. Zachodnie inwestycje wyschły, a firmy stoczniowe i przemysłowe – te produkujące technologie dla lodołamaczy, statków klasy lodowej, wydobycia ropy naftowej na morzu i produkcji LNG – w dużej mierze wstrzymały lub zamroziły współpracę z Rosją. Rosja pogłębiła jednak więzi, głównie z Chinami i w mniejszym stopniu z Indiami, aby rozwijać swoje arktyczne projekty energetyczne i przekierować rynki z UE do Azji. Sankcje oznaczają jednak, że inni aktorzy nie mogą w pełni zastąpić

eprasa.pl 639267e58f

Zachodu. Co więcej, same Chiny nie mogą zastąpić zachodniej, południowokoreańskiej czy japońskiej wiedzy specjalistycznej w obszarach takich, jak wydobycie ropy i gazu na morzu czy budowa statków" (N. Alijew, „Arktyka Rosji: co dalej?", Riddle, 2 kwietnia 2025).

Chiny państwem „bliskiej Arktyki"

„W ciągu ostatnich trzech lat współpraca Rosji z Chinami osiągnęła bezprecedensowy poziom. Jest jednak jeden obszar, w którym oba kraje nie były w stanie znaleźć wspólnej płaszczyzny porozumienia: Arktyka. Nawet w obecnym klimacie geopolitycznym różnice w podejściu Moskwy i Pekinu do Arktyki okazały się zbyt duże, by je przezwyciężyć, ograniczając postępy Chin na Dalekiej Północy. Publicznie Rosja i Chiny utrzymują, że mają »kompleksowe partnerstwo strategiczne«, które rzekomo obejmuje kwestie Arktyki. Jednak ich interesy w regionie mogą być dość rozbieżne" (Andriej Dagajew, „Arktyka testuje granice chińsko-rosyjskiego partnerstwa", Carnegie Endowment, 18 lutego 2025). „Z jednej strony Kreml z zadowoleniem przyjmuje zaangażowanie Chińskiej Republiki Ludowej w Arktyce, ponieważ sankcje ograniczają rosyjskie działania w regionie. Z drugiej strony Moskwa obawia się, że ChRL może wzmocnić swoją pozycję i stać się dominującą potęgą w Arktyce. Takie obawy w Moskwie rzadko są wyrażane wprost, czego można się spodziewać, biorąc pod uwagę znaczenie utrzymywania pozytywnych relacji z Pekinem. Wydaje się jednak jasne, że te obawy dotyczące możliwego wyparcia przez ChRL pozycji Rosji w Arktyce są dziś większe niż bezpośrednio po deklaracji Pekinu z 2018 roku, że jest on państwem »bliskiej Arktyki« z własnymi interesami i obawami na dalekiej północy" (Paul Goble, „Chiny wykorzystują rosyjską słabość w Arktyce – a Moskwa ma powody do obaw", Jamestown Foundation, Eurasia Daily Monitor, 18 lutego 2025).

„Faktem jest, że oczekiwania, iż Chiny mogą zwiększyć swoją obecność w Arktyce poprzez partnerstwo z Rosją, nie zostały spełnione. Dla Pekinu priorytetem pozostaje swoboda współpracy ze wszystkimi zainteresowanymi stronami w Arktyce. W związku z tym, podczas gdy Chiny nadal realizowały rosyjskie zamówienia technologiczne na projekty energetyczne w Arktyce i importowały energię z regionu, powstrzymały się od dalszych inwestycji w rosyjskie inicjatywy arktyczne z obawy przed sankcjami. Chiny naprawdę cenią swoje relacje z innymi potęgami Arktyki i nie chcą ryzykować ich zrażenia poprzez nadmierne zbliżenie się do Rosji. Odkąd stały się obserwatorem Rady Arktycznej, Pekin szuka możliwości współpracy nie tylko z Moskwą, lecz także z innymi państwami regionu, w tym Islandią i Norwegią. Trzeba przyznać, że jego propozycje są obecnie coraz rzadziej brane pod uwagę, a jako powód zwykle podaje się obawy o bezpieczeństwo narodowe" (A. Dagajew, „Arktyka testuje granice chińsko-rosyjskiego partnerstwa", Carnegie Endowment, 18 lutego 2025).

Ryzyko północnego sojuszu z Pekinem

„Co więcej, istnieją wszelkie powody, by sądzić, że obawy Moskwy będą się dalej nasilać, w miarę jak rosyjskie zasoby i uwaga będą pochłaniane przez wojnę z Ukrainą, a także biorąc pod uwagę ambitne arktyczne programy ChRL w zakresie budowy lodołamaczy i rozwoju infrastruktury wzdłuż Północnego Szlaku Morskiego i nie tylko. Stosunki między Rosją a ChRL w Arktyce niekoniecznie zmierzają w kierunku natychmiastowego załamania lub punktu, w którym Zachód mógłby łatwo wykorzystać te różnice. Wręcz przeciwnie, Rosja i ChRL publicznie demonstrują swoją współpracę i wspólne interesy w tym regionie. […] Rozwijające się napięcia w tych relacjach mają jednak kluczowe znaczenie dla zrozumienia, zwłaszcza na Zachodzie, aby polityka mająca na celu powstrzymanie jednego z tych podmiotów nie otworzyła nowych możliwości ekspansji drugiego" (P. Goble, „Chiny wykorzystują rosyjską słabość w Arktyce – a Moskwa ma powody do obaw", Jamestown Foundation, Eurasia Daily Monitor, 18 lutego 2025). „Głównym powodem potencjalnego konfliktu między Rosją a ChRL w Arktyce jest ich odmienne ukierunkowanie. Podobnie jak w przeszłości, Rosja koncentrowała się przede wszystkim na kwestiach bezpieczeństwa. ChRL koncentrowała się przede wszystkim na kwestiach gospodarczych i możliwości wykorzystania Północnego Szlaku Morskiego do rozszerzenia handlu z Europą i Zachodem. Jednak w ciągu ostatniej dekady ChRL dała jasno do zrozumienia, że jej »ekonomiczne« podejście jest podstawą do rozwijania jej interesów bezpieczeństwa. Na razie interesy te są realizowane wspólnie z Rosją, ale w przyszłości może być inaczej, jak uważają niektórzy rosyjscy komentatorzy" (P. Goble, „Chiny wykorzystują rosyjską słabość w Arktyce – a Moskwa ma powody do obaw", Jamestown Foundation, Eurasia Daily Monitor, 18 lutego 2025).

„W miarę przedłużania się wojny rosyjscy komentatorzy wyrażają obecnie coraz większe obawy, że ChRL, choć nominalnie jest sojusznikiem Rosji, wzmacnia się kosztem Moskwy i będzie to robić nadal. Wasilij Kołtaszow, ekspert z Moskiewskiego Uniwersytetu Ekonomicznego im. Plechanowa, jest jednym z najbardziej znanych krytyków idei, że ChRL zawsze pozostanie sojusznikiem Rosji na Północy. Argumentował, że wszystko będzie dobrze, ale tylko wtedy, gdy Rosja będzie mogła kontrolować udział ChRL w sprawach Arktyki. W takim przypadku Pekin dokonałby inwestycji, których Rosja potrzebuje, bez kwestionowania pozycji Moskwy. Stwierdził jednak, że istnieje bardzo realne ryzyko, że jeśli pozycja Moskwy ulegnie dalszemu pogorszeniu lub jeśli Kreml nie zdoła dobrze zarządzać sytuacją, ChRL wykorzysta okoliczności, a Rosja zostanie »przekształcona w peryferie Chin«, czego Putin wyraźnie nie chce, ale może nie być w stanie temu zapobiec" (P. Goble, „Chiny wykorzystują rosyjską słabość w Arktyce – a Moskwa ma powody do obaw", Jamestown Foundation, Eurasia Daily Monitor, 18 lutego 2025). ■

eprasa.pl 639267e58f

Miasteczko WIEDŹM



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Znajduje się w górskim regionie Półwyspu Iberyjskiego. Tuż przed właściwą pirenejską ścianą rozgraniczającą Hiszpanię od Francji. Ścianą z charakterystycznym masywem Turbón, w którym lokalne legendy widzą miejsce spotkań czarownic. Tych samych, które następnie miały z taką lubością dręczyć pogodowymi anomaliami mieszkańców Alquézar.



Jedziesz do Alquézar? Naprawdę? – Oczy Fernando robią się coraz większe.

– Tak, taki mamy zamiar. Wyczytałem, że to jedno z piękniejszych miejsc całej Aragonii – odpowiadam, zagarniając łyżką kolejną porcję zimnej gazpacho, którą postawił mi hiszpański przyjaciel.

– Bo takie rzeczywiście jest… – mówiąc to, Fernando na chwilę się zawiesza. To potężnych rozmiarów mężczyzna o gołębim sercu. Bardzo wrażliwy człowiek. I przez to bardzo przeźroczysty. Jego intencje widać po nim od razu.

– Fernando… – zaczynam ostrożnie, aby nie spłoszyć mojego rozmówcy nazbyt gwałtowną propozycją. – Widzę, że posmutniałeś. Słuchaj, jedź ze mną. Spędzimy świetny czas. Zresztą, i tak potrzebuję przewodnika. Kogoś, kto będzie potrafił tłumaczyć mi te wszystkie zawiłości symboliki aragońskiej kultury. No i mój hiszpański, a twój…

– Esteban, nie mogę. Nie mogę… – Fernando po raz kolejny zwiesza apatycznie głowę. – Julia jest bardzo chora, powinienem być teraz przy niej przy łóżku.

– Rozumiem… – odpowiadam półszeptem, przypominając sobie historię chorej żony przyjaciela. – Gdybyś się jednak zdecydował, miejsce w samochodzie będziemy jutro dla ciebie trzymać.

– Dziękuję. – Naraz Fernando na nowo podnosi głowę, jakby sobie o czymś przypomniał. – Bo widzisz, Alquézar to takie moje marzenie. Ta miejscowość ma nieprawdopodobną wprost historię. Jedyną tego rodzaju tradycję i legendę w Europie.

– A opowiesz mi coś więcej o tej historii?

– Dowiesz się, jak przyjedziesz na miejsce. Nie sposób będzie nie zauważyć… – kończy tajemniczo Hiszpan.

▶ To musi być Alquézar

Południe. Ćwierćmilionowa Saragossa. Przejeżdżamy przez most Puente de la Almozara. Pod nami rozkołysane fale rzeki Ebro. Promienie słońca odbijają się od seledynowego odcienia wody. W tle widać jedną z najbardziej monumentalnych świątyń całego Półwyspu Iberyjskiego. To Bazylika Nuestra Señora del Pilar, miejsce objawień Matki Bożej świętemu Jakubowi. Tradycja mówi, że Maryja objawiła się tutaj Synowi Gromu, pojawiając się na kamiennej kolumnie. Tej samej, której fragment do dziś przechowywany jest we wnętrzu świątyni. Miejscu związanym z chyba najbardziej zjawiskowym uzdrowieniem w nowożytnych dziejach świata. Młody rolnik Miguel Pellicer, który od dwóch i pół roku miał amputowaną nogę, po cierpliwym zanoszeniu modlitw właśnie w tej świątyni… odzyskał utraconą kończynę. Noga w cudowny sposób odrosła. Zaświadczyli o tym tak sam zainteresowany, jak i jego rodzice, bliscy czy wreszcie cały sztab lekarzy zajmujących się tym przypadkiem. Cud otrzymał bardzo szczegółową dokumentację medyczną.

Cztery strzeliste wieże bazyliki przypominają w tym miejscu o potędze Niebios. Stojąc w korku po drugiej stronie rzeki, mam okazję długo przyglądać się ich kształtom. W samochodzie panuje cisza. Jakby wszyscy obecni mieli świadomość, że znajdujemy się w miejscu wyjątkowym.

Rozmowy zaczynają się dopiero po opuszczeniu rogatek miasta. Z początku droga poprowadzona jest granicą rozdzielającą z jednej strony żyzne tereny uprawno-sadowe wzdłuż rzeki Gallego i półpustynny step z drugiej. Po około pół godziny jazdy teren robi się już znacznie bardziej falisty. O rzece możemy póki co zapomnieć. Teraz przeważają piaszczyste łachy, gdzieniegdzie tylko porośnięte kolczastym mchem. Po odczuwalnych na kierownicy zwrotach czuć też, że pojawił się silny wiatr. Wjeżdżamy na górzyste tereny prowincji Huesca. Będzie się ona ciągnęła aż do granicy z Francją w wysokich Pirenejach.

Półtorej godziny jazdy na północ za nami. Naraz pejzaż znowu się zmienia. Pojawiają się drzewa. Ciepłozielone murawy. Co rusz przekraczamy też nie za szerokie strumyki. Bardzo szczelnie przykryte rosnącymi wokół nich drzewami i zaroślami. Jeszcze kilka skrętów i powinniśmy być na miejscu.

– Stój! – krzyczy do mnie jeden z siedzących z tyłu auta pasażerów. – Zobacz tylko!

Faktycznie. Po prawej na litej skale widać miasteczko. O tej godzinie zręcznie podświetlane przez południowe słońce. Kolorystyka murów i elewacji zdaje się przechodzić od pomarańczy przez rudy, na czerwieni skończywszy. Zatrzymujemy się, żeby zrobić zdjęcia. Akurat pojawiła się przy drodze malownicza zatoczka. Ktoś przewidział.

– To właśnie Alquézar – odpowiada Krzysztof, sprawdzając na mapie w swojej aplikacji. – Nie może być inaczej.

▶ Trzy wieki oczekiwania

Historia tego miejsca to opowieść na książkę. Tereny te zamieszkane były już bowiem w szóstym tysiącleciu przed Chrystusem. O bytności człowieka świadczą dziś naskalne rysunki, jakie można znaleźć w jaskiniach znajdujących się u podnóża Alquézar. Jest tam choćby jeleń, którego wyrazistość zachwyca artystycznym realizmem, pięknem i siłą wyrazu. Archeolodzy wskazali na bardzo misterną jak na tamte czasy sztukę rysunku, polegającą na wykonaniu wpierw obrysu, a dopiero następnie wypełnianiu go płaskimi tuszami. Rysunek jelenia – ale i znajdujący się w innej jaskini naskalny rysunek małej kozy – uważa się dziś

eprasa.pl 639267e58f



Fetysze mające chronić mieszkańców przed kolejnymi atakami czarownic nadal zdobią tutejsze odrzwia czy okiennice.

powszechnie za jeden z najpiękniejszych przykładów sztuki aragońskiej.

I o ile o tym odległym życiu ludzi na tych terenach wiemy niewiele, o tyle właściwie historia tego miejsca rozpoczyna się w IX wieku, gdy na okolicznym wzgórzu jeden z muzułmańskich dowódców nakazuje wznieść twierdzę. Jalaf ibn Rasid, bo o nim mowa, chciał w swym zamierzeniu stworzyć przyczółek obronny przed siłami chrześcijańskimi pragnącymi odzyskać rozległe ziemie doliny Ebro. I rzeczywiście jego koncepcja sprawdziła się. Muzułmańska twierdza była nieprzejęta przez kolejne 300 lat.

O jej zdobyciu w drugiej połowie XI wieku krążą zaś do dziś legendy. Jedna z nich opowiada historię mądrej i bardzo pięknej dziewczyny z okolicznej wioski Buera.

Zamek na klifie

Na fasadzie tutejszego Casa el Estanquero znajduje się herb pochodzący z 1784 roku. Przedstawia podzieloną na trzy poziomy wieżę, z której ktoś wystawia ramię trzymające w dłoni coś okrągłego. Powszechnie przyjęta teoria głosi, że tym okrągłym obiektem jest… głowa. Historia zdobycia zamku pasowałaby wówczas do teorii uzasadniającej symbolikę tego herbu.

Historyczne podania wskazują, iż król Maurów poddawał swoich poddanych ciągłym prześladowaniom. Mieszkańcy okolicznych wiosek bali się wręcz zbliżać do zamku, aby nie stać się przedmiotem zainteresowania strażników szukających kolejnych sług dla swego pana. Władca miał też swoje kaprysy. Pewnego dnia roku 1067 zażądał, aby przyprowadzono do niego najpiękniejsze z młodych dziewic z całego regionu. Blady strach padł na mieszkańców. Ojcowie obawiali się o córki. Bracia o siostry. Nie było jednak odważnego, który sprzeciwiłby się rozkazowi dyszącego żądzą ciała Maura.

Nie było odważnego, ale tylko do czasu. Widząc jak się sprawy mają, zgłosiła się bowiem dziewczyna. Pochodziła ze wspomnianej już wioski Buera. Wiedziała, że prędzej czy później przyjdą także po nią. Tym bardziej, że była niezwykłej urody. Postanowiła zatem uprzedzić bieg wydarzeń i przejąć inicjatywę. Nikomu nie udało się wyperswadować jej szalonego pomysłu. Ani ojcu, ani matce, ani innym bliskim. Gdy zapadła noc, dziewczyna przywdziała swoje najpiękniejsze stroje, upięła długie, jasne włosy spiczastym grzebie-

eprasa.pl 639267e58f

niem i stawiła się w zamku. Z informacją dla władcy, że tej nocy chce się jemu oddać.

Król otępiony nieco wieczornym winem, nie czekał długo. Widząc stojącą przed nim dziewczynę w uwodzicielskim stroju, dał się kierować najbardziej przyziemnym instynktom mężczyzny. Udał się z dziewczyną do swej komnaty, by tam dopełnić dzieła. Gdy dziewczyna oddała się władcy, ten pod wpływem wrażeń oraz wypitego wina szybko zasnął. Wtedy leżąca obok niego dziewczyna rozpuściła włosy, uwalniając trzymający je do tej pory ostry grzebień. I wbiła go władcy w samo serce. Po czym jego własnym mieczem odcięła mu głowę i wywiesiła ją z okna. Dokładnie tak, jak przedstawia to herb na Casa el Estanquero.

Był to umówiony znak z chrześcijańskimi wojskami znajdującymi się w pobliżu. Dowódcy widząc go, zarządzili atak na twierdzę. Nie było to jednak łatwe. Znajdująca się w najwyższym punkcie skały twierdza była wręcz stworzona do obrony. Strome nagie ściany, opływająca skałę woda pobliskiej rzeki Vero i półtorametrowej grubości kamienne mury zamku, do którego prowadziło tylko jedno wejście.

Śmierć władcy podziałała jednak deprymująco na obrońców. Spanikowani zaczęli popełniać kolejne błędy, sprawiając, że wojskom chrześcijańskim udało się wedrzeć do środka twierdzy. Wtedy muzułmanie postanowili sami sobie odebrać życie. Zakrywając koniom oczy, pogalopowali wprost na krawędź klifu, na której usytuowany był zamek. Spadając w ciemną pustkę. Legendy mówią, że do dziś podczas niektórych nocy nadal można usłyszeć rżenie koni i rozpaczliwe krzyki spadających żołnierzy mauretańskich. Zamek w Alquézar został zdobyty.

▶ Zagubieni pod chatą Baby Jagi

Wchodzimy do miasta. Dziś niedziela. Na ulicach pustki. Pozamykane butiki, pozamykane restauracje. Wiosna jeszcze nie zagościła u wrót północnej Hiszpanii – właściciele lokali czekają z otwarciem na początek sezonu. Póki co prócz mojej grupy znajomych dostrzegam jedynie pewną hiszpańską rodzinę z dzieckiem. Tata trzyma za rękę malca i pokazuje mu mury obronne twierdzy. Powoli idą ku górze.

Idziemy więc i my. Śniadopomarańczowe elewacje domków bardzo pięknie zlewają się z kolorystyką okolicznych skał. Sam łapię się na tym, że nieraz nie wiem, czy to jeszcze elewacja, czy już naga skała. Domek przy domku, ściana przy ścianie.

– Stefan, widziałeś to? – wołający mnie głos dochodzi gdzieś spod jednego z kilku domów znajdujących się nieco wyżej.



O potędze i stromości skały, na której zbudowano średniowieczne Alquézar, najlepiej przekonać się, schodząc do pobliskiego potoku Vero.

– Co takiego? – pytam, docierając wreszcie do wołającego do mnie Andrzeja.

– Na przykład to…

Baranieję. Chwila ciszy. Rozglądam się wokoło, czy aby na pewno jesteśmy pod tym domem zupełnie sami. Póki co nie widać nikogo. Przed nami zaś na drzwiach poprzybijana gwoździami noga dzika. Z wyraźnym czarnym kopytem. Nieco wyżej ktoś przybił zakrzywiony pazur jakiegoś wielkiego ptaka. To nie koniec. Wystarczy przejść kilkanaście metrów dalej, a podobnych odkryć będzie więcej. Co któreś drzwi przystrojone są w ten sposób. Gdzieś wisi skóra węża. Jeszcze gdzie indziej ogon wilka. Przyozdobiony dodatkowo liściem ostu.

Przypatrując się tym trofeom, odnoszę wrażenie, że niczym Jaś i Małgosia zgubiłem na chwilę drogę, natrafiając na chatę Baby Jagi. Albo jakiejś innej wiedźmy, żyjącej w skrytości na aragońskiej ziemi.

Dopiero teraz niczym echo powracają do mnie słowa Fernando, gdy dzień wcześniej wspólnie rozmawialiśmy o przyjeździe do Alquézar. O tym, że „sam się przekonam, dlaczego to miejsce jest tak unikatowe w skali całego kontynentu". Teraz już widzę. Rzeczywiście jest.

eprasa.pl 639267e58f



Pomimo tylu wieków historii ornamentyka wnętrza tutejszego zamku pozostaje w świetnym stanie.

Czarownice z Alquézar

Mówią, że to talizmany. Że mają działanie odstraszające. Że dzięki nim czują się bezpieczniej. Mieszkańcom Alquézar przekazali tę wiedzę ich dziadkowie, którym z kolei mówili o tym ich przodkowie. A wszystko dotyczy ciemnych i złowrogich czasów miasteczka, gdy w całej Aragonii słynęło ono z… plagi czarownic. Ten koszmar miał odcisnąć na mieszkańcach tak głębokie piętno, że do dziś są wierni tradycji wieszania na drzwiach swoich domów fetyszy związanych z tamtą tradycją.

I rzeczywiście wertując zapiski o historii pirenejskiej prowincji Huesca z łatwością można natknąć się na opowieści o „złych istotach", które bardzo upodobały sobie to miejsce. Jak czytamy, jedną z bardziej charakternych wśród nich osób były czarownice z Alquézar. Kobiety te miały bowiem bardzo uciążliwą dla mieszkańców skłonność do zaklinania zjawisk meteorologicznych. Lubowały się w przywoływaniu ulew, wichur czy gradobicia. I to zazwyczaj w najmniej odpowiednich dla rolników porach. Czarownice niszczyły więc okoliczne zbiory, degradowały sady, równały z ziemią pastwiska. Co gorsza, wszystkie te sprawki autoryzując. Pozostawiając po sobie bardzo jasny ślad. Coś na kształt podpisu. Legendy mówią, że w kulkach zesłanego przez złośliwe czarownice gradu znaleźć można było ich własne włosy. Dla mieszkańców miał to być znak rozpoznawczy zjawiska. Mieli się bać jeszcze bardziej,

Ludzie z Alquézar nie chcieli się jednak bać. Woleli znaleźć rozwiązanie trapiącego ich problemu. To, jak to zwykle w tego typu przypadkach bywa, znaleźli w modlitwie i w *sacrum*. Znakiem, który płoszył złośliwe istoty, okazał się być bowiem głośny dzwon z pobliskiej kolegiaty pod wezwaniem Matki Bożej Większej – Santa María la Mayor.

Z tym dzwonem wiąże się w Alquézar jeszcze jedna legenda. Mówi ona o pewnym młodym mężczyźnie, który, szukając zajęcia, natrafił na ogłoszenie o pracy dla dzwonnika. Przyszedł więc do kolegiaty, aby dać się zatrudnić tutejszemu opatowi. Ten bez dłuższych rozmów zdecydował się na to, aby dać to zajęcie młodzieńcowi. Zanim jednak rozpoczął swą pracę, mężczyzna zapragnął zobaczyć z bliska ów dzwon, który od tak dawna rozpalał jego wyobraźnię, a którego jedynie gong miał okazję do tej pory słyszeć. Wtedy to właśnie, gdy szedł po kryjomu na dzwonnicę, spotkał w kościele tajemniczą kobietę. Ostrzegła go, aby nie zbliżał się do dzwonu, gdyż ten „jest zaczarowany

eprasa.pl 639267e58f



Zamek w Alquézar wznosi się na wyraźnym wypiętrzeniu skały, górując nad pozostałą częścią miasteczka.

i nie lubi żywych ludzkich rąk". Niepomny ostrzeżeń mężczyzna kontynuował jednak swoją wspinaczkę na szczyt dzwonnicy, gdy wtem usłyszał, jak dzwon zaczyna dzwonić. Nie mając pojęcia, kto mógł go uruchomić, młodzieniec się zląkł. Ale ciekawość była silniejsza. Wdrapał się na górę i wtedy ogarnęło go zimne przerażenie. Naraz zgasła jedyna świeca rozświetlająca wnętrze dzwonnicy, sam zaś młodzieniec usłyszał głos. Głos przedstawił się jako były opat tej świątyni. Przyznał się, że zgrzeszył nieczystością i przez to do dziś jego dusza będzie się błąkać w zawieszeniu przez całą wieczność. Gdy całe to zdarzenie dobiegło końca, a przerażony mężczyzna zszedł z dzwonnicy, dowiedział się, że opat, z którym rozmawiał o przyjęciu go do pracy, nie żyje.

Krzyż na popiele

Nie tylko jednak dzwon tutejszej kolegiaty stał się narzędziem walki ze złośliwymi czarownicami z Alquézar. Mieszkańcy zauważyli, że kobiety próbują wkradać się do domów, by dodatkowo uprzykrzać życie całym rodzinom. Zwykle wybierały do tego drogę przez dach i komin. To rozwiązanie zagadki, dlaczego do dziś kominy w Alquézar, jak w całej okolicy, ozdobione są charakterystycznymi zadaszeniami. Dodatkowo jeszcze przygniecione wylanymi ze stopu stożkami. W niektórych przypadkach stożkami uformowanymi w kształt krzyża. Wszystko po to, aby utrudnić czarownicom dostęp do wejścia.

Co jednak w sytuacji, gdyby wiedźmie udało się sforsować przeszkodę? Mieszkańcy Alquézar mieli rozwiązanie także na takie przypadki. Rury kominowe tutejszych domów łączono z paleniskiem, w których to pozostawiano na noc otwarte szczypce w kształcie krzyża. Niektórzy mieszkańcy rysowali znak krzyża w popiele na kominkowym palenisku. W ten sposób uznawano, że dom jest zabezpieczony, i ze spokojem kładziono się spać.

Plac z kamieni

Idziemy dalej. Odnoszę wrażenie, że już i tak wąska do tej pory uliczka Arrabal robi się jeszcze węższa. Nie mam pojęcia, jak samochodami jeżdżą tędy lokalni mieszkańcy. Fetysze w postaci sierści zwierząt czy kopyt powtarzają się jeszcze w kilku domach. Wreszcie docieramy do niewielkiego rynku.

To Plaza Mayor. Chyba jedna z najbardziej urokliwych części miasteczka. Jej piękno wzięło się przede

eprasa.pl 639267e58f



Do dziś kominy w Alquézar, i w okolicy, ozdobione są charakterystycznymi zadaszeniami. Po to, aby utrudnić wiedźmom dostęp do domowego paleniska.

wszystkim z chęci okolicznych mieszkańców do udekorowania swoich domów przylegających elewacjami do placu. W ten sposób każdy z sąsiadów na swój sposób ozdobił jedną ze ścian Plaza Mayor. Niektóre elewacje mają więc zakończenie belkowe, inne półkoliste. Ktoś inny jeszcze postawił na ozdobne filary. Różnią się wielkością. Jedyne co mają wspólne, to budulec. Kamień i cegła.

Migdały i góra Turbón

Stojąc u podnóża zamku, spoglądam przez niewysoką barierkę w dół. Nieopodal rozpoczyna się szlak wiodący w dół. Ku rzece Vero. Szlak pełen przyklejonych do nagiej skały mostków i stopni. Z huczącymi u naszych stóp wodospadami i bystrzami. Cud natury. Niezwykłość stworzenia.

Także stąd widać znajdujący się w pobliżu kościoła kolegiackiego niewielki sad. A w nim praktycznie same drzewa migdałowe. Po układzie sylwetek tutejszych pni można wywnioskować, że drzewa są bardzo wiekowe. To sad niejakiego Mosena Rafela Ayerbe, urodzonego w oddalonym o dwa kilometry Radiquero księdza, który poświęcił lata na eksperymenty z nowymi odmianami migdałów. Wszystko działo się w połowie XX wieku, a celem duchownego było uzyskanie takiej odmiany, którą cechowałaby wysoka odporność na przymrozki i górskie wiatry. Prace przyniosły owoc w postaci odkrytego przez księdza Mosena gatunku Desmayo (czasem nazywanego też Largueta). Odmiana migdała znalazła uznanie w wielu prestiżowych konkursach ogrodniczych, zaś sam duchowny otrzymał za dokonane przez siebie odkrycie rolniczy Wielki Krzyż Zasługi.

Przy dobrej pogodzie z sadu widać oddalony stąd 45 kilometrów na północny wschód szczyt. Ten charakterystyczny masyw to Turbón. W lokalnej aragońskiej tradycji znajdować się tam miało miejsce rytualnych spotkań wspomnianych czarownic. W niektórych starożytnych podaniach można znaleźć informację o tym, jak to wiedźmy, zanim zdecydowały się wysłać nad Alquézar kolejną chmurę, bawiły się nią, siedząc właśnie na górze Turbón.

Dziś o dawnym lęku mieszkańców świadczą przede wszystkim wymyślne artefakty poprzybijane gwoździkami do drzwi. I pozakrywane w najbardziej wymyślny sposób kominy. No i ten dźwięk dzwonu pobliskiej kolegiaty. Może i ja wejdę na chwilę do środka. Nie trzeba będzie rysować krzyży w popiele. Tam w środku przecież na pewno już nic nam grozić nie będzie. ■

eprasa.pl 639267e58f

Tomasz Sakiewicz

Nowa generacja solidarnych



fot. Filip Błażejowski/Gazeta Polska

Obserwowałem zachowanie trzech urzędniczek, które reżim Tuska osadził w aresztach i poddał psychicznym torturom, żeby zgodziły się obciążyć swoich przełożonych. Upokarzano je jako kobiety, oddzielono od dzieci, a jednej grożono nawet odebraniem dziecka. W skali draństwa reżim doszedł do poziomu łajdactwa z czasów komuny. Ale mimo to panie nie dały się złamać. Podobnie było z posłem Dariuszem Mateckim. Miał obciążyć Zbigniewa Ziobrę, a zamiast tego publicznie wystawił mu laurkę. Tak potrafili zachować się tylko najtwardsi opozycjoniści. To ich przykład budował potem wzory dla setek tysięcy działaczy Solidarności. Oczywiście nie wszyscy byli tacy „twardzi". Wielu załamało się pod wpływem represji, nigdy ich za to nie krytykowałem. Każdy ma swoją wytrzymałość i nie zna jej granic, póki nie przejdzie próby. Jednak cytując słynne przemówienie Lecha Kaczyńskiego nad grobem pułkownika Kuklińskiego: bohaterami byli ci, którzy się nie ugięli. Solidarność oznaczała wspólny opór wobec zła i wzajemną pomoc wobec represji.

Przykłady trzech pań urzędniczek i posła Mateckiego będą promieniować na innych. To są współcześni bohaterowie. Powoli tworzy się nowa generacja solidarnych. Jest bardzo potrzebna, marzenia o spokojnym życiu trzeba odłożyć na lepsze czasy. Polska jest dzisiaj w realnej potrzebie i przykład odwagi oraz charakteru musi ukształtować nowe pokolenie ludzi. Takie przykłady nigdy nie wpływają na wszystkich, są jednak na tyle znaczące, że kształtują elity zdolne do walki. Te elity wkrótce zaczną być widoczne. Tego już nie da się zatrzymać. ■

eprasa.pl 639267e58f

niezależna.pl



Twój portal informacyjny na każdy dzień!
Wejdź na **niezalezna.pl** i bądź na bieżąco!

niezależna.pl
Informacje, którym możesz zaufać

www.Niezalezna.pl
www.facebook.com/NiezaleznaPL
www.x.com/niezaleznapl
www.instagram.com/niezaleznapl

eprasa.pl 639267e58f